

Katarzyna
Pisarzewska

Brawurowe
połączenie
humoru
à la Chmielewska
z klimatem filmów
Almodóvara!

KONCERT LGARZY



Handwritten text in red ink, appearing as a list or notes, possibly related to the book's content or author's notes.

Świat Książki

Katarzyna
Pisarzewska

KONCERT ŁGARZY

Ilustrował
Tomasz Wawer


Świat Książki

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Helena Klimek

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Alicja Chylińska
Halina Ruszkiewicz

Copyright © by Katarzyna Wideńska, 2009
Copyright © for this edition by Bertelsmann Media sp. z o.o.,
Warszawa 2009

Świat Książki
Warszawa 2009
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa
tel. 691962519

Opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

ISBN 978-83-247-1283-0
Nr 6578

1. PERŁA Z KOLCAMI

Kiedy oswoiłem się z dziennym światłem i wirującymi tumanami kurzu, dostrzegłem, że nie jestem sam. Przyczyną tej dziwnej sytuacji była kobieta, co odgadłem z niemałym trudem, raz, że widziałem ją słabo przez tumany kurzu, dwa, że ubrana była uniseksualnie, a twarz zasłaniała jednorazową chusteczką higieniczną. Chusteczkę przytrzymywała dłonią, dłoń była szczupła, paznokcie czerwone, a na serdecznym palcu iskrzyło coś, co uznałem za małe kamyczek w pierścionku. W czasach, kiedy jeszcze wychodziłem z domu, takie dłonie należały do kobiet. Oczywiście, nie jest to żadnym dowodem przy dzisiejszym tempie zmian w świecie, którego nie oglądałem nie wiem jak długo - może dwa tygodnie, a może dwa lata, nie pamiętam. Jednego byłem pewien - że osoba ta nie jest wytworem mojej fantazji. Nigdy, tym bardziej podświadomie, nie wyprodukowałbym obrazu kobiety w tenisówkach, bojówkach i bluzce z obrazkiem jabłka, skrywającej coś mniejszego niż rozmiar D. Jestem normalnym facetem, a przynajmniej się staram.

Dziś, z perspektywy czasu, myślę, że gdyby ta dziewczyna przyszła do mnie na długich opalonych nogach, na wysokich obcasach i w krótkiej spódniczce, intuicja od razu i jak zwykle celnie podpowiedziała mi, że tak udany początek zwiastuje rzeczy nieprzyjemne, od których lepiej trzymać się z daleka. Kłopoty przychodzą na długich nogach. Wiem to, niestety, nie z doświadczenia, ale z literatury i filmu - na oczekaniu potrafię wymienić co najmniej cztery tytuły.

Tymczasem czekaliśmy, aż opadnie tuman kurzu, wywołany przez nią zbyt energicznym rozsunięciem zasłon. Jedna z nich, zerwana, zwisała teraz smętnie, częściowo przestaniając okno i

zamglony Pałac Kultury i Nauki w tle. Czekałem na reakcję dziewczyny, bo ze swej strony nie miałem jej nic do zaproponowania. Mogłem próbować odnaleźć się jakoś w roli gospodarza, ale fakt, że jej nie zapraszałem, nieco komplikował nasze wzajemne relacje. Skąd się wzięła? Czego szukała? Po co rozsuwała zasłony i dlaczego patrzyła teraz na mnie oczyma jak szparki, wyzierającymi spomiędzy chustki a grzywki - te oto pytania kłębiły mi się w głowie pośród innych, takich jak - po co istniejemy, dokąd to wszystko zmierza oraz co się stało z moim ostatnim piwem.

- Nie do wiary - rzekła wreszcie dziewczyna, odslaniając twarz o przyjemnych rysach kontrastujących z nieprzyjemną miną. - Twój wuj mówił prawdę. Myślałam, że przesadza, ale teraz wiem, że patrzy na ciebie przez różowe okulary. Myślałam, że cię przeklina, ale teraz widzę, że chciał ci przesłać pozdrowienia. Myślałam, że obrzuca cię obelgami, ale teraz rozumiem, że to były czułości.

- Jakie czułości? - zaciekawilem się niepotrzebnie.

- Leń, obibok, łajza, męta...

- Chyba „męt” - przerwałem, jednocześnie próbując się podnieść.

Nie potrafiłem jednak odkleić się od krzesła, co rzuciło pewne światło na zagadkę ostatniego piwa. Podałem się, nim dziewczyna dostrzegła moją walkę, i patrzyłem na nią dalej z oznakami spokoju i opanowania.

- Chlejemy i gramy - kontynuowała, rozglądając się bezceremonialnie i nawet nie próbując ukryć dezaprobaty. - A wujaszek opłaca ZUS.

Było dla mnie ciąglą zagadką, po co on to robi, jaki ma w tym interes, skoro skąpy jak galicyjski chłop, tak skąpy, że nawet kiedy mnie zatrudniał, płacił mi w jajach sadzonych w barze mlecznym. Podejrzywałem w tym jakiś grubszy przekręt, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek był w stanie go rozgryźć, i nie zaprzętałem sobie nadmiernie tym głowy, mam bowiem zamiar umrzeć szczęśliwy, a do tego trzeba sporo naiwności. Rzekłem

więc tylko:

- Nie mam o to pretensji, choć znam wiele przyjemniejszych sposobów wyrzucania pieniędzy w błoto.
- Próbowałam się do ciebie dodzwonić.
- Widocznie Tepsa nie dała mi drugiej szansy. Są dziedziny, w których działa naprawdę błyskawicznie. Jak się tu znalazłaś?
- Twój wuj dał mi klucz.
- Sprytnie - skomentowałem, zaskoczony. - Może się czegoś napijesz?

Zrobiłem nieokreślony ruch dłonią, wskazując kilka pustych butelek na lewo i prawo. Dziewczyna słusznie zignorowała moją propozycję i rzekła:

- Mam zlecenie. Widzimy się za dwadzieścia minut na pierwszej lepszej ławce w parku. Jeśli cię tam nie będzie, jesteś wykluczony. Nie będę czekać ani sekundy. I jeszcze jedno - masz wyglądać inaczej.

Odwróciła się i wyszła. Czuję, że nie żartuje, i lepiej będzie zrobić tak, jak powiedziała, mimo że w dalszym ciągu nie wiedziałem, z kim mam do czynienia i o co właściwie chodzi, bo już od dawna byłem wykluczony ze wszystkiego, z czego dało się mnie wykluczyć, prócz listy wyborców, o ile i w tej dziedzinie prawo nie zostało udoskonalone.

Natychmiast zerwałem się z krzesła, zostawiając na nim część spodni, których przywiązanie do tego mebla okazało się silniejsze niż fabryczne szwy. W dwóch susach wpadłem do łazienki i chwyciłem kieszonkowe lusterko, które leżało na umywalce na wypadek, gdybym chciał się ogolić i akurat miał czym. Akurat nie miałem, przerzedziłem więc tylko brodę nożyczkami i odświeżyłem oddech, rozgryzając kawałki zaschniętej pasty, podczas gdy w wannie czekała pachnąca chlorem kąpiel. Czas gonił, zanurzyłem się więc tylko jak baptysta na chrzcie i ściągając po drodze mokre gacie, pobiegłem do szafy.

Dziewczyźnie wyraźnie chodziło o kamuflaż, co niezbyt mnie zdziwiło. Zawód prywatnego detektywa (który niezbyt wytrwale

wykonuję) jest podobny do zawodu aktora, z tą tylko różnicą, że guzy są zwykle prawdziwe. Może powinienem wspomnieć o otwartych złamaniach, krwawieniach z nosa i wstrząsach mózgu, ale szczerze mówiąc, jeszcze nic takiego mi się nie przytrafiło, odkąd przestałem się bawić na podwórku. Zmieniłem tiszert z Rumcajsem na tiszert z Cypiskiem i owinąłem biodra kiltem, który dostałem niegdyś od ciotki Dzierżyszczaw z okazji Dnia Służb Mundurowych. Właściwie była to jej stara spódnica w szkocką kratę, ale nie czas na wypominki. Wciągnąłem na nogi wysłużone sandały i wybiegłem z domu, nie zapominając zamknąć drzwi na klucz, gdyż nie sądziłem, aby skrupuły moralne powstrzymały moich sąsiadów lub ich gości przed spenetrowaniem mieszkania i wyniesieniem wszystkiego, co zmieści się w drzwiach. Muszę od razu i na wstępie podkreślić, że mimo skromnego wyposażenia, daleko odbiegającego nie tylko od najnowszych trendów, ale od jakichkolwiek trendów, gdyż nie gonię za modą, ale pozwalam, żeby ona dopadła mnie (co jednak nigdy się jej nie udało), posiadam dwie rzeczy, które całkowicie zdominowały moje życie intelektualne i uczuciowe. Są to komputer oraz modem, których niezakłócone działanie, mimo notorycznego ignorowania rachunków telefonicznych, pozostaje tajemnicą Berty.

Widzę, że ta opowieść nie ruszy bez Berty, choć tak bardzo chciałem tego uniknąć. Berta naprawdę nazywa się Oliwka, Amelka albo Nikola, ale tylko analogia z Grubą Bertą pozwala mi dopasować do niej jakiegokolwiek imię. Kiedyś o drugiej w nocy wpuściłem ją do mieszkania zapłakaną, zziębniętą i wystraszoną, i tak zagnieździła się w moim życiu jak podstępny pasożyt. Nie wiem, czy ma rodziców, psa lub brata - może mi o tym mówiła, ale nigdy jej nie słuchałem. Dzięki Bercie moje życie gnije w słodkim marazmie, podczas gdy jej dzięki mnie rozkwita. Odczuwam wobec niej pewien podziw. Jako dziecko dwunastoletnie, choć osiągające rozmiary małego słonia, jest już zupełnie dojrzała społecznie i zdolna do prowadzenia samodzielnego, pełnego sukcesów życia w naszym mieście. Jest

sprytna, kłamliwa, podstępna, przymilna i biegła w przekleństwach. Zawłaszczyła moje mieszkanie i korzysta z niego bez skrępowań. Wynajmuje je na godziny, urządza imprezy, zloty i spotkania, zawiera kontrakty i prowadzi negocjacje. Używa go jako magazynu na towar z drugiej ręki i jako szklarni dla kilku rachitycznych roślinek sprowadzonych z Holandii. Trzeba przyznać, że dba o to, by mnie niepotrzebnie nie stresować: podczas bardziej intymnych albo drastycznych scen nakrywa mnie kocem. W zamian opłaca (niektóre) rachunki i napędza (no, bez przesady) lodówkę, dzięki czemu mogę całymi dniami i nocami grać w Internecie z podobnymi sobie nierobami w grę, której nazwa większości z was i tak nic nie powie. Niech wystarczy, że nie angażuje intelektu bardziej niż kółko i krzyżyk, nie stwarza więcej dramatycznych sytuacji niż jazda niemiecką autostradą, nie stawia żadnych wymagań zręcznościowych, nie odwołuje się do jakiegokolwiek wiedzy, a mimo to całkowicie wysysa moje siły intelektualne, emocjonalne i fizyczne.

Wierzę, że prócz kilku tysięcy ofiar tego samego nałogu, równie nieszczęsnych i zagubionych jak ja, reszta ludzkości doskonale orientuje się w tak zwanych współczesnych realiach, ma właściwą hierarchię wartości i dobrze wie, w którym kierunku się udać, kiedy wyjdzie z domu.

Ostatnia uwaga nie była bezzasadna. Kiedy wybiegłem na ulicę, ruch, światło i dźwięk, nie mówiąc o smrodzie spalin, sparaliżowały moje zmysły, przyzwyczajone do ograniczonych bodźców, z jakimi miałem ostatnio do czynienia. Szybko jednak dostrzegłem mokre i gołe pnie drzew, co przypomniało mi, że mieszkam naprzeciwko parku. Przebiegłem ulicę, zakłócając ruch samochodowy i przyczyniając się do powstania korka od Żoliborza po Ursynów (co nasuwa ograne porównanie z huraganem i skrzydłami motyla), i udałem się pędem na poszukiwanie pierwszej lepszej ławki z dziewczyną, która odwiedziła mnie siedemnaście i pół minuty wcześniej. Kiedy odnalazłem ją, zasłoniętą granatowym parasolem na ławeczce wtulonej w bezlistną płataninę krzewów, już zbierała się do

odejścia. Na mój widok nie okazała entuzjazmu, raczej przeciwnie. Najpierw na jej twarzy odmalował się szok, a następnie coś, co nazwałbym odrazą, gdybym nie był dla siebie łaskawszy.

- Twój wuj zapomniał dodać, że jesteś idiotą - syknęła. - Po jaką cholerę włożyłeś spódnicę?

- Myślałem, że chodzi o kamuflaż - odparłem zgodnie z prawdą, ponieważ nigdy nie kłamię bez potrzeby.

- Chyba pomieszało ci się w głowie. Uważasz, że ktoś nas śledzi? Jeśli nie potrafisz odróżnić rzeczywistości od swoich urojeń, to lepiej od razu mi o tym powiedz.

Naprawdę nie wiem, jakim cudem znała mnie tak dobrze. Uznałem, że jeśli mam poprawić swój wizerunek w jej oczach, to już powinienem zacząć kłamać.

- Spokojnie, kobieto, po co te nerwy? Nie mam żadnych urojeń. Po prostu się nie zrozumieliśmy. Jeśli chcesz, mogę rzucić ten kilt, chociaż uprzedzam, że zgodnie ze szkołą tradycją nie mam nic pod spodem.

Dziewczyna nie podchwyciła sugestii.

- Słuchaj, bałwanie - rzekła, hamując złość. - Nie przyszedłem tu z własnej woli i nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

- Słuchaj, dziewczyno - odparłem, starając się dostosować do jej tonu, ponieważ wiem, że mimikra to połowa sukcesu w negocjacjach. - To ty wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Nie wiem, po co do mnie przyszedłeś, i nie rozumiem, o co ci chodzi. Wytłumacz wszystko spokojnie i dokładnie, a może będę mógł pomóc. Zacznij od swojego imienia, a potem przejdziemy do sedna.

Widocznie powiedziałem coś nie tak, bo dziewczyna nie była ani bardziej spokojna, ani przyjaźniej nastawiona.

- Znamy się przynajmniej od pół roku - wycedziła.

- Jak to? - byłem zszokowany. - Czyżby coś między nami...? Wybacz, nie pamiętam...

- Nazywam się Rozalia Aik i jestem sekretarką twojego wuja. Widzieliśmy się dwa albo trzy razy.



Za każdym pytałeś mnie o imię i próbowałeś poderwać.

- Naprawdę? Nie mam pamięci do twarzy, ale nogi sekretarki wuja rozpoznam zawsze i wszędzie, pod warunkiem, że je zobaczę.

- Uwierz mi na słowo, bo nie zamierzam ci nic udowadniać. A teraz przestań się wydurniać i słuchaj uważnie. Jest zlecenie.

- O - westchnąłem rozluźniony. - Jesteśmy w domu. O co chodzi?

Rozalia zastanowiła się chwilę, nim rzekła ostrożnie i niepewnie:

- Zdaje się, że o kradzież pewnego maszynopisu. Mamy dokonać tego wspólnie.

- Jak to wspólnie? Przecież jesteś tylko sekretarką.

- No właśnie, tylko sekretarką - rzekła z goryczą. - Najwyższy czas pokazać, że stać mnie na więcej. Chcę być takim samym pracownikiem jak wy, a ściślej mówiąc, dużo lepszym, co nie powinno być trudne, zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie. Twój cholerny wuj jest jednak staroświeckim, skostniałym umysłowo prykiem i nie sposób go przekonać, że kobieta nadaje się do czegoś więcej oprócz odbierania telefonów i podawania herbaty. Urabiałam go trzy dni, zanim pozwolił mi włączyć się do tej sprawy, i to pod warunkiem, że ty wykonasz robotę, a ja będę reprezentować firmę w rozmowach ze zleceniodawcą. Mam nadzieję, że poślisz się na tej gównianej sprawie. Wtedy ja wykonam ją jak należy i udowodnię twojemu wujowi, kto się tu do czego nadaje.

- Moja droga Rozalito - powiedziałem kojącym głosem. - Zapewniam cię, że rozumiem twoje słuszne pretensje, wywołane już to echami równouprawnienia, już słuszną oceną własnych możliwości, już równie słuszną oceną kondycji umysłowej wuja Dzierzyszczawa. Wuj nie potrafiłby rozpoznać perły, nawet gdyby ktoś wręczył mu ją oszlifowaną, natomiast z uporem maniaka daje szansę takim miernotom jak ja, jeśli należą do rodziny. Ty jesteś nieoszlifowaną perłą, Rozaleno, a ja mogę cię oszlifować i przedstawić twoją wartość wujowi, choć nie ręczę,

że coś z tego wyniknie. Moje pobudki są czyste. Chcę ci pomóc. Zawrzyjmy przyjacielską umowę, zwaną szowinistycznie gentleman's agreement. Uważam, że powinniśmy działać jako team, choć zważywszy na banalność problemu, w zupełności wystarczyłby team jednoosobowy. Nieraz robiłem podobne rzeczy. Wuj wie, w czym jestem dobry, a może po prostu lubi, kiedy dostaje za niego po mordzie. - Zamyśliłem się. - A wiesz, że kiedy tak to rozważam, to jestem gotowy przekazać ci cały trud tej sprawy? W zamian wziąłbym połowę pieniędzy i nie mieszałbym się do niczego. To chyba uczciwa cena za chrzest bojowy?

Rozalia zdusiła przekleństwo, ale niezbyt skutecznie, bo bez trudu je zrozumiałem.

- Nie zgadzasz się ze mną? - spytałem.

- Nie zgadzam się z tobą w dziewięćdziesięciu procentach - odparła. - Na przykład nie podoba mi się twoja odkrywczą teoria szlifowania pereł. Tylko jedna uwaga wydaje mi się słuszna - powinniśmy oficjalnie działać jako team. Szczegóły ustalimy później. Teraz możesz wracać do swojej nory i zdjąć to głupie przebranie. Jeśli będę miała ci coś do powiedzenia, wpadnę wieczorem i wystukam na drzwiach hasło „CWKS - Legia”. Nie trudź się i nie sprzątaj, i tak nie przestąpię twojego progu, póki nie zrobisz dezynfekcji. Powiedziałam już chyba wszystko, cześć.

Rozalia podniosła się z ławki i zamierzała odejść. W ostatniej chwili powstrzymałem ją gestem, to znaczy, złapałem za rękę.

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko - zawołałem. - Coś mi się tu nie zgadza. Tak naprawdę nie dowiedziałem się nic oprócz tego, że nie realizujesz się zawodowo. Co to za zlecenie? Od kogo je dostaliśmy? Co jest w maszynopisie? Komu trzeba go ukraść? I przede wszystkim, ile za to dostanę?

Rozalia nie była zadowolona z mojej dociekliwości.

Natychmiast wyswobodziła rękę i wyjaśniła chłodno i służbowo:

- Niewiele potrafię wyjaśnić. Nie wiem, kto jest zleceniodawcą, bo nie przyszedł do nas z wizytówką. W ogóle do nas nie przyszedł. Rozmawiałam z nim przez telefon. Powiedział, że

interesuje go maszynopis pewnej powieści jakiejś pisarki. Za jego wykradzenie dostalibyśmy - tu Rozalia nachyliła się do mojego ucha i szepnęła sumę, która, choć śmiesznie niska, absolutnie mnie usatysfakcjonowała, choć udałem, że jest inaczej. - Nic więcej nie wiem.

- Dlaczego wieczorem miałabyś wiedzieć coś więcej? - spytałem czujnie.

- Tak powiedziałam? - zdziwiła się Rozalia. - A, bo zapomniałam dodać, że dziś mam zobaczyć się z naszym zleceniodawcą. Właściwie nie powinno cię to obchodzić.

Dla dobra sprawy nie powinieneś uczestniczyć w rozmowach.

- Mylisz się, Rozalko, i to bardzo - oświadczyłem z głębokim przekonaniem. - Po pierwsze, chciałbym usłyszeć na własne uszy to, co facet ma nam do przekazania, a po drugie, chciałbym zadać mu kilka celnych i inteligentnych pytań, w czym jestem po prostu dobry. Kiedy spotykamy się z naszym tymczasowym pracodawcą?

Wcale mnie to nie interesowało, chciałem tylko trochę się przy niej pokręcić. Rzadko mam do czynienia z takimi dziewczynami. Rzadko mam do czynienia z kimkolwiek. Rozalia ociągała się z odpowiedzią, a w końcu rzekła niechętnie:

- O siedemnastej, jak koniecznie chcesz wiedzieć. Możemy się spotkać parę minut wcześniej na rogu Targowej i Ząbkowskiej. Jeśli uznam, że wyglądasz nieprofesjonalnie, nigdzie ze mną nie pójdziesz, rozumiano? A teraz do widzenia.

- Do wieczora - rzekłem ciepło, myśląc raczej o jej nogach odbitych na negatywach mej pamięci niż o całej tej dziwacznej rozmowie.

Zapamiętałem z niej tylko jedno. Rozalia przywiązuje zbyt dużą wagę do kategorii „porządek” i „bałagan”, a to znamionuje osoby, które prą pod górę wyboistymi ścieżkami społecznego awansu, niechętnie oglądając się za siebie.

2. SIOSTRZENIEC STAREGO KOMUCHA

Zgodnie z życzeniem Rozalii pojawiłem się za pięć piąta na rogu Targowej i Ząbkowskiej, a ponieważ zachmurzyło się i zrobiło ciemno, stanąłem pod latarnią. Latarnia co prawda nie świeciła, uznałem jednak, że będę się tam bardziej rzucał w oczy, co potwierdziło kilka osób, pytając, co tu robię i czy nie mam drobnych. Fakt, że nie budziłem agresji, ale raczej życzliwe zainteresowanie, utwierdził mnie w przekonaniu, że dobrze się zakamuflowałem. Miałem na sobie poliestrowy, przyciasny garnitur (prezent od ciotki Dzierżyszczaw na jej własny pogrzeb, który się jednak nie odbył) oraz zielony krawat, kupiony w sklepie „Sam Szyk. Zachodnia odzież na wagę” za jedyne pięćdziesiąt groszy. Całości dopełniały wspomniane wcześniej sandały.

Zapewne dziwne się wyda, że włożyłem tyle pracy i inwencji w swój wygląd, dzięki czemu upodobiłem się do urzędnika państwowego średniego szczebla albo beneficjenta pomocy społecznej. Chciałem jednak wyglądać na człowieka skromnego i nienarzucającego się ze swym machismo, a także nie sprawić zawodu Rozalii. Już ją trochę polubiłem i chociaż nie podzielałem jej zapału do działania, potrafiłem go zrozumieć. Nieudolne wysiłki wuja Dzierżyszczawa, zmierzające do utrzymania agencji „A. A. Kowalski i Detektywi” na wzburzonych wodach drobnej przedsiębiorczości, mogły doprowadzić do desperacji co bardziej energiczne jednostki.

Dociekliwy czytelnik (a takich nigdy nie brakuje) natychmiast zada pytanie, kim jest A. A. Kowalski i dlaczego nam patronuje. Niegdyś ufałem, że człowiek ten rzeczywiście istnieje, jest mózgiem naszej firmy i ujawnia się nie przez fizyczną obecność, ale przez opatrnościowe interwencje. Jednak samowola wuja i

wiele jego przedsięwzięć, których charakter, na poły przestępczy, na poły poroniony, naraził nas na groźby materializujące się w kilku pobiciach i trzech próbach podpaleń, wyrobiły we mnie przekonanie, że A. A. Kowalski to nie osoba, tylko parawan - pozwala wujowi ukryć prawdziwe nazwisko przed ludźmi, którzy zdążyli go już poznać, a zarazem daje nam pierwszeństwo wśród agencji detektywistycznych, jeśli idzie o porządek alfabetyczny, ponieważ na żaden inny nie mogliśmy liczyć.

Wróćmy jednak na Ząbkowską. Estetyczne wymagania Rozalii okazały się wyśrubowane, bo kiedy do mnie podeszła, odezwała się ostro i bezlitośnie:

- Ogoliłeś się. To jedyna pozytywna rzecz, jaką można o tobie powiedzieć.

Sama włożyła swój profesjonalny sekretarski mundurek, odslaniający długie nogi na wysokich obcasach. Dopiero teraz naprawdę uwierzyłem, że mam do czynienia z osobą, za którą się podawała. Weszliśmy w zasikaną bramę, z której Rozalia poprowadziła mnie do jeszcze bardziej zasikanej klatki schodowej. Gdybyśmy mieli kierować się doznaniem węchowym, jak początkowo przypuszczałem, powinniśmy zejść do piwnicy. Parę razy sfinalizowałem interes w jeszcze bardziej przygnębiającej scenerii, toteż nie dałem poznać po sobie zdziwienia. Rozalia wybrała jednak schody na górę. Wdrapaliśmy się na trzecie piętro - Rozalia przodem, a ja za nią, z twarzą na wysokości jej niewiarygodnie smukłych łydek. Była to miła, choć krótka podróż. Zakończyliśmy ją pod drzwiami z tabliczką „Henryk Szczupaczydło”. Rozalia nacisnęła dzwonek i po chwili znaleźliśmy się w mieszkaniu.

Przedpokój okazał się ciemny, wąski i nieco zatęchły, dzięki czemu od razu poczułem się jak w domu. Z grzeczności zdjąłem sandały i boso podążyłem za Rozalią oraz człowiekiem, który nas wpuścił. Był to mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, dość szczupły, średniego wzrostu, bez żadnych cech szczególnych poza stężałym grymasem wyższości na gładko wygolonej twarzy.

Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał przyzwoicie i nie śmierdział, co stanowiło całkowite przeciwieństwo domu, w którym mieszkał. Weszliśmy do dużego pokoju, zastawionego starymi meblami oraz popiersiami i dziełami ojców i dziadów marksizmu i tu dokonaliśmy prezentacji.

- Robal Owaki - przedstawiłem się. - A pan to zapewne Henryk Szczupaczydło?

Chciałem zabłysnąć spostrzegawczością, ale nie wyszło.

- Henryk Szczupaczydło nie żyje. Ja nazywam się Longin Palmister - odparł mężczyzna.

- Czy mamy się zająć ciałem pana Szczupaczydło? - spytałem. - To znacznie podniesie koszty usługi, choć nie stanowi dla nas wielkiego problemu. Jesteśmy gotowi spełnić najbardziej oryginalne wymagania klientów zgodnie z dewizą naszej firmy: „Tysiąc usług, zero pytań”.

- Henryk Szczupaczydło już od lat osiemdziesiątych zajmuje wygodną kwaterę na Cmentarzu Bródnowskim i nie wymagam od nikogo, aby zajmował się jego ciałem. Ten stary komuch był nieuleczalnym ideowcem i kretyńcem, jakich mało. Byliśmy spokrewnieni przez stryjecznego dziadka, odziedziczyłem więc te głupie sto metrów niemal zupełnie legalnie. Czy wiecie, ile ludzi pcha się teraz, żeby je odkupić? Im kto lepiej zarabia, tym bardziej marzy o tym, żeby zamieszkać obok menela z sinym tatuażem. Ale nie spotkaliśmy się po to, żeby dyskutować o laifstajlu.

- Oczywiście - rzekła Rozalia, uśmiechając się do Palmistra i wdeptując mi obcas w stopę.

Nie przypuszczałem, że moja koleżanka jest niezdarą. Widocznie jednak nerwy odebrały jej część wrodzonego wdzięku. Zdusiłem jęk i padłem na kanapę zupełnie bez czucia. Kiedy oprzytomniałem, dotarło do mnie, że przez chwilową utratę świadomości zostałem pominięty przy serwowaniu drinków i teraz muszę się zadowolić wzmożonym przełykaniem śliny. Nic jednak nie powiedziałem i zacząłem uważnie słuchać tego, co mówił Palmister. Palmister mówił:

- Ujawniłem wam swoje prawdziwe nazwisko, co nie znaczy, że pozwolę się na nie bezkarnie powoływać. Jestem dyrektorem dobrze prosperującej drukarni oraz ambitnego, niszowego wydawnictwa pod nazwą „Gwiazda Zaranna”. To oficjalne stanowisko. Nieoficjalnie mamy takie same kłopoty, jak wszyscy przedsiębiorcy w tym złym, szalonym kraju. Sam biskup nie potrafi temu zaradzić ani modlitwą, ani tacą. Nie bez kozery wspominam o biskupie, gdyż jest on nominalnym właścicielem firmy „Gwiazda Zaranna”, moim przyjacielem i spowiednikiem, dzięki czemu co niedziela mogę całować jego pierścień. Nie najlepsza sytuacja na rynku zmusza nas do działań, powiedziałbym, odważnych. Muszę pracować brudne pieniądze ludziom, których nawet nie lubię. Dobrze, że nie wiem, gdzie je ubrudzili. Muszę godzić się na to, aby w naszej drukarni drukowano pornografię i lewicową prasę. Całe szczęście, że nic o tym nie wiem. A tak na marginesie, mogę dać wam plakat reklamowy z miss lipca naszej diecezji. Proszę, niech pan sobie weźmie, drogi chłopcze. Czy mogę zwracać się do pana per ty?

- Proszę bardzo. A ja do pana?

- W żadnym wypadku. Dorodna Słowianka, czyż nie?

- O, tak, zwłaszcza w niektórych aspektach zgodziłem się skwapliwie.

Palmister zaśmiał się swobodnie, a ja mu zawtórowałem. Po chwili dołączyła do nas Rozalia najwidoczniej po to, aby udowodnić, że uniwersalny, męski punkt widzenia nie jest jej obcy. Kiedy omówiliśmy już wybrane aspekty miss lipca, Palmister podjął swoją opowieść.

- Jako wydawnictwo „Gwiazda Zaranna” wydajemy wiele ważnych i ciekawych pozycji, wszystkie pod hasłem „prawda zbawia”. Nie jest łatwo głosić prawdę i jeszcze na tym zarabiać, drodzy przyjaciele. Przędziemy jako tako tylko dzięki temu, że zajmujemy się tym, czym nie powinniśmy. Nie macie pojęcia, jakie to frustrujące: obracać pieniędzmi, które należą do kogoś innego! Mówię to po to, byście zrozumieli, że moje działania rozpięte są pomiędzy pragnieniem czynienia rzeczy wielkich a

dramatycznym brakiem gotówki. Wasza obecność pomoże mi, mam nadzieję, poświęcić się temu pierwszemu mimo tego drugiego.

Trochę się już pogubiłem. Zaniepokoiła mnie zwłaszcza sugestia, że jestem narzędziem osiągnięcia wielkich celów. Palmister nie zważał jednak na rozterki, widoczne na mojej twarzy jak szlam w mętnej kałuży, i kontynuował beztrząsco:

- Jestem gościem w tym mieście i w tym mieszkaniu. Potraktujmy je jako miejsce naszych spotkań. Oczywiście nie nocuję w tej zaszczonej ruderze. Mieszkam w dobrym hotelu, nie zamierzam jednak was tam zapraszać. Grunt to dyskrecja. Przyjechałem do Warszawy dla jednego istotnego powodu, który to powód jest także powodem naszego dzisiejszego spotkania.

Ucieszyłem się, że gaduła Palmister wreszcie przechodzi do rzeczy, i pochyliłem się ku niemu z wyrazem skupienia na twarzy, które ćwiczyłem długo przed lustrem. Palmister przez chwilę przyglądał mi się w osłupieniu, po czym wrócił do opowiadania.

- Jakiś czas temu otrzymałem przesyłkę, w której znajdowało się siedemnaście stron maszynopisu. Szesnaście z nich to był fragment powieści, a jedna - list. Nadawcą przesyłki i autorką tekstu była moja przyjaciółka Halina Mentiroso, a list zawierał prośbę o szczerą recenzję przesłanego fragmentu. Halina Mentiroso, jak pani zapewne wie, pani Rozalio, pisze beznadziejne romanse dla durnych kobiet, bardzo popularne, nad czym ubolewam. Wydaje je wydawnictwo „Harcownik Editors”, które prowadzi jej mąż, Sławomir Harcownik. Dzięki tym nędznym powieściom prosperuje cała firma i rodzina Haliny oraz ona sama, niestety! Ale nowa książka Haliny jest zupełnie inna. Szybko zorientowałem się, jak wartościowa to rzecz. Wpisuje się w nurt nowego brutalizmu. Lecz prowadzi z nim inteligentną grę. Jest boleśnie szczerą. I bezlitośnie obnaża mechanizmy funkcjonowania współczesnego świata. Stawia ważne pytania. I formułuje odważne odpowiedzi. Walczy z lękami współczesnego człowieka. I pogłębia je. Nie boi się takich

mało medialnych tematów, jak borowanie zębów, wędkarstwo i syndrom Halo-Lejpopa. Największą wartością powieści jest jednak język. Autentyczny. Gwałtowny. Celny. Dosadny. Szokujący. Przebijający skorupę cynizmu współczesnego człowieka i trafiający go w samo, że użyję banału, serce. Lecz nie tylko w serce. Ale i w mózg. Gdyż jest to dzieło trudne. Erudycyjne. Wymagające. I doskonale korespondujące z naszym hasłem: „Prawda zbawia”.

Widząc, że ziewamy coraz otwarciej, Palmister zakończył:

- Reasumując, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ją wydać. Nie mogłem jednak wprost napisać tego mojej drogiej przyjaciółce, gdyż w biznesie obowiązują zupełnie inne zasady niż w przyjaźni. Odpowiedziałem jej więc wymijająco, że nadmiar obowiązków nie pozwala mi natychmiast przeczytać fragmentu tej z pewnością arcyciekawej książki, ale kiedy tylko będę dysponował wolnym wieczorem, zajmę się nią z całą uwagą i życzliwością przyjaciela oraz wydawcy.

- Dlaczego pani Mentiroso zwróciła się o recenzję właśnie do pana, skoro ma pod ręką własnego męża wydawcę? - spytałem.

- Ponieważ, i bardzo słusznie, nie ufa jego osądowi. Sławomir Harcownik zbija kokosy na zatruwaniu kobiecych umysłów miazmatami szczęśliwej miłości. Od lat stara się zabić w Halinie wszelkie ambicje, interesuje go tylko sukces komercyjny. Nie rozpozna, że ma do czynienia z dobrą książką, jeśli nie wyczyta tego w swojej ulubionej gazecie. Jeśli jednak zwęszy, że jestem zainteresowany książką Haliny, i dojdzie do wniosku, że można na niej zarobić, wówczas na pewno zaproponuje jej lepsze warunki. Czy wspominałem, że moje wydawnictwo ma pewne kłopoty?

- Owszem - przyznałem pośpiesznie, by Palmister oszczędził nam powtórnej jeremiady.

Palmister pokiwał głową z głębokim frasunkiem.

- Książka Haliny, przy właściwej promocji, przyniesie nam niezły zysk, oczywiście pod warunkiem, że zatają przed nią liczbę sprzedanych egzemplarzy. Muszę więc działać ostrożnie w

swoim jak najlepiej pojętym interesie. Przyjechałem tu po to, aby złożyć mojej drogiej przyjaciółce stosunkowo atrakcyjną propozycję. Zadzwoiłem do niej dziś rano i powiedziałem, że przesłany mi fragment wprawdzie mnie nie zachwyił, ale mając na uwadze naszą długoletnią przyjaźń, byłbym skłonny przeczytać całą książkę, a nawet ją wydać. Rozumiecie?

- Tak jakby - powiedziałem ostrożnie jak zawsze, kiedy odwołuję się do swoich kompetencji intelektualnych.

- Cieszę się. A teraz uwaga. Zanim zaproponuję Halinie coś konkretnego, będę potrzebował pewnych danych. Po pierwsze, muszę wiedzieć, czy Halina aby nie udostępniła swojej książki Harcownikowi i czy ten dureń jakimś cudem nie zrozumiał, że ma do czynienia z materiałem na bestseller. Człowiek inteligentny działa według logicznych schematów, ale dureń, moi drodzy, jest nieprzewidywalny i przez to niebezpieczny. Chciałbym więc, mój chłopcze, abyś już dziś dowiedział się od Haliny, czy Harcownik wie o książce i czy jest skłonny ją wydać. Jeśli tak, to będę musiał przedsięwziąć określone kroki, żeby temu zapobiec. Czy wyrażam się jasno?

- Wręcz jaskrawo - zapewniłem. - Interesuje mnie tylko jedno: w jaki sposób mam wyciągnąć od pani Mentiroso to, na czym panu zależy? Czy życzy pan sobie, abym ją uprowadził i przemocą skłonił do współpracy?

- Na początek spróbujmy metod pokojowych. Udawaj dziennikarza albo fana jej twórczości i umów się z nią na spotkanie. Halina jest próżna, na pewno się zgodzi, zwłaszcza jeśli zaprosisz ją na kolację. Kobiety lubią jeść na mieście i pić w domu. Halina jest wprawdzie narcystyczna, pragmatyczna i makiaweliczna, ale jeśli podejdziesz ją diablo umiejętnie, bez trudu skłonisz ją do zwierzeń. Ludzie, którzy nie ufają najbliższym, chętnie otwierają się przed obcymi.

Po tej solidnej porcji refleksji nad naturą Haliny w szczególności i kobiet w ogólności zadumałem się na dłuższą chwilę. Nie będę ukrywać, słowa Palmistra wzbudziły we mnie niepokój. Wreszcie wyraziłem swą opinię w słowach prostych i

skromnych:

- Nie chcę podważać moich zdolności interpersonalnych, osobiście jednak wolę zadania zręcznościowe. W związku z tym uważam, że do tej misji bardziej nadaje się Rozalia.

- Niestety, Rozalia nie nadaje się z bardzo prostego powodu: Halina Mentiroso nie przepada za przedstawicielkami własnej płci. Natomiast ty jako mężczyzna możesz się jej wydać pociągający, oczywiście przez telefon, a kiedy już cię zobaczy, będzie za późno na ucieczkę.

Palmister wręczył mi numer telefonu i wskazał stary aparat stojący w kącie pod grubą warstwą kurzu, którą początkowo wziąłem za misternie tkany szal. Wytarłem słuchawkę połami marynarki i wykręciłem numer, wzbudzając przy tym niepokój wśród licznych nieznanym mi wcześniej owadów, które miały swoje kolonie pod cyframi 6, 8 i 0.

- Słucham - po drugiej stronie słuchawki odezwał się gniewny kobiecy głos.

- Mówi Błażej Popidresku - przedstawiłem się niskim, aksamitnym, głębokim i zmysłowym głosem. - Czy mogę mówić z panią Mentiroso?

- Przy telefonie.

- Jestem tłumaczem z Rumunii, reprezentuję wydawnictwo Abrakoptul. Chciałbym spotkać się z panią w sprawie tłumaczenia kilku powieści. Niestety, tak się składa, że jutro rano muszę wracać do kraju. Czy moglibyśmy zatem spotkać się jeszcze dziś wieczorem w hotelu Bristol? Zapraszam panią na kolację.

- Kolacja? Cóż, trochę mnie pan zaskoczył, ale na szczęście jeszcze nic dziś nie jadłam - jej głos stał się słodki i lepki jak budyń. - Widzimy się za godzinę?

- Jawohl - zgodziłem się i odłożyłem słuchawkę.

Palmister spojrział na mnie z uznaniem i rzekł:

- Zaimponowałeś mi, Robalu! Kłamiesz wybornie, i to z marszu. Widzę, że jesteś właściwą osobą na właściwym miejscu. Ale nie mówmy już o tym. Mamy chwilę, żeby popracować nad

twoim wyglądem oraz znajomością kiepskiej literatury. Najpierw będziesz musiał się przebrać. Kochani, proszę za mną.

Palmister zaprowadził nas do drugiego pokoju, który okazał się ekssypialnią Henryka Szczupaczydło. Poznałem to po dużym łóżku, niesprzątniętym od czasu, gdy skonał na nim właściciel. Wyjaśnił nam to sam Palmister, dodając, że denata znaleziono dopiero po dwóch tygodniach i że gdybym odkrył koldrę, zobaczyłbym na prześcieradle drugi całun turyński. Słyszając to, Rozalia zzieleniała i wybiegła z pokoju, zakrywając usta dłonią. Kiedy zostaliśmy sami, Longin Palmister wskazał gdańską szafę i zaproponował, abym sobie coś z niej wybrał.

W szafie było chyba kilkanaście starożytnych garniturów. Nie potrafiłem ocenić ich elegancji, więc wyciągnąłem pierwszy z brzegu. Palmister pochwalił moją decyzję.

- Dobry wybór, Robalu. W tym garniturze Henryk ścisnął rękę jednego z pierwszych sekretarzy. Jest nawet z tego pamiątkowe zdjęcie, może ci je kiedyś pokażę. Ten twój krawat w kolorze mizerni jest trochę ekstrawagancki, ale nic nie szkodzi. W końcu przedstawiłeś się jako obcokrajowiec. Proszę, włóż buty Henryka. Piją? No i dobrze, przynajmniej nie spadną. Weź dyktafon. Oszczędzi mi to słuchania twojego sprawozdania, które, jak sądzę, nie będzie ani dokładne, ani ciekawe. Tu masz streszczenia ostatnich siedemnastu książek Haliny Mentiroso, które przygotowała moja sekretarka, a tu jej najnowsze romansidło. Z tyłu na okładce jest zdjęcie mojej drogiej przyjaciółki. Jeśli dodasz dwadzieścia lat i spartaczony lifting, rozpoznasz ją bez trudu. Ça ira i do widzenia, przyjacielu.

To rzekłszy, Longin Palmister wypchnął mnie i Rozalię w mrok klatki schodowej. Obiecując sobie, że następnego dnia odbiorę swój garnitur oraz sandały, ruszyłem z Rozalią w drogę powrotną przez schody i bramę na ulicę, gdzie przywitała nas rześista ulewa.

3. PAPERBACK WRITER

Okazało się, że Rozalia, której dotychczasową pomoc oceniłem jako wyjątkowo dyskretną, dysponuje własnym samochodem, a konkretnie żółtym garbusem. Schroniłem się w jego wnętrzu, przyjmując postawę zgodną z ludową nazwą marki, i odetchnąłem z ulgą. Ulżyło mi tym bardziej, że Palmister zapomniał obdarować mnie gotówką, a ja w swej skromności zapomniałem go o nią poprosić. Wprawdzie postarałem się o jedną z jego kart kredytowych, jednak poszukiwanie taksówki w tej okolicy i w tych warunkach atmosferycznych narażało moją przyszłość i urodę miss lipca na szybki i burzliwy koniec.

Droga do hotelu, w milczącym i nachmurzonym towarzystwie Rozalii, pod strugami deszczu łomoczącymi bezlitośnie w dach samochodu, dała mi czas na pospieszłą lekturę streszczeń przygotowanych przez Palmistrę.

Akcja książki „Georgina w puszczy” toczyła się gdzieś w siedemnastym wieku. Bohaterka, nastoletnia dziewczyna, żyła w świecie szczęśliwym i bezpiecznym, dopóki jej rodzina nie wyruszyła w podróż w poszukiwaniu lepszych warunków egzystencji. W drodze przez leśną głuszę napadli ich zbójcy, mordując wszystkich jak leci oprócz bohaterki, która zdołała umknąć i ukryć się w puszczy. Błąkała się wiele tygodni, w chłdzie i głodzie, upokarzana przez wieśniaków zamieszkujących okoliczne przysiółki, aż zaopiekował się nią pewien szlachcic-odludek (po coś dodawać - młody i przystojny). Dziwak ten opuścił ludzką wspólnotę i zaszył się pośród bagien, po tym, jak w przeddzień ślubu odkrył podwójną zdradę - swojej narzeczonej oraz brata. Georgina oraz ów szlachcic zakochali się w sobie - zajęło im to ładnych kilka lat oraz wielokrotnie większą liczbę stron książki (co wynotowała na marginesie sumienna

sekretarka Palmistra). Na ślub przybył wuj dziewczyny i szczęśliwy z odnalezienia swej jedynej latorośli, obdarował siostrzenicę nieprzyzwoitym wprost majątkiem. Nie wiem, jak czytelnika, ale mnie w tej historii urzekł życiowy, choć literacko wyolbrzymiony motyw ingerencji wuja.

Fabula powieści „Józefina - ofiara dziewicy” została zlokalizowana w wieku dziewiętnastym i rozwijała się, jak następuje: bohaterka została sprzedana przez ojca, opoja i hazardzistę, do domu publicznego, z którego wykupił ją osobnik nieprawego pochodzenia, choć przysposobiony przez bogobojną i dobrze sytuowaną rodzinę. Ten narwaniec (po cóż dodawać - młody i przystojny), chcąc wywołać zazdrość jakiejś panienki, sprokurował bohaterce fałszywą metrykę i przy pomocy zaufanych wychowawców oszlifował ją na damę, po czym wprowadził na salony. Wdzięk, inteligencja i maniery Józefiny z kretesem zatarły stygmaty jej pochodzenia, tak że podbiła serca dziesiątków kawalerów, kładących się pokotem u stóp rzekomej damy. Ona jednak w cichości serca wołała swego chwackiego wybawcę. Ten zaś w swej męskiej głupocie nie spostrzegł, że czuje podobnie. Trzeba było kilkudziesięciostronicowych perypetii, by bohaterowie odślonili przed sobą głębię swych uczuć i wzięli ślub, a kiedy to się stało, wybranek Józefiny okazał się nieślubnym synem starego księcia, który umierając bezpotomnie - w związkach sakramentalnych - zostawił mu w spadku nieliczne posiadłości i równie przyzwoity tytuł. To zakończenie także bardzo mi odpowiadało, jeszcze bardziej z osobistych powodów, o których może kiedyś wspomnę.

„Tajemny owoc Lindy” nie był wbrew pozorom opowieścią o skrytej sadowniczce. Bohaterka była wyjątkowo urodziwą, a przy tym inteligentną przedstawicielką wyższych sfer jednego ze współczesnych amerykańskich miast. Mimo wszelkich obiektywnie sprzyjających warunków (willa z basenem, osobisty masażysta) nie była szczęśliwa. Mąż nadmiernie oddawał się pracy i zaniedbywał biedaczkę, a dylematy moralne, wynikające

z posiadania trzeciego kochanka, nie pozwalały Lindzie cieszyć się nartami w Aspen ani rozmowami z ojcem, wybitnym kirkegardzistą. Przeciwnie, wprawiało ją to w melancholię. Kiedy zdążyłem już Lindę znienawidzić, jej los odmienił się diametralnie: ojciec zmarł ze starości, a mąż uciekł z najlepszą przyjaciółką (nie wiadomo, swoją czy bohaterki), zostawiając Lindę w długach, które odstraszyły wszystkich trzech kochanków oraz pewną liczbę znajomych, pętających się dotąd po jej wielkim domu, wraz z którym przejął ich nowy właściciel. Nieoczekiwanie Lindzie podał rękę były asystent jej ojca (po cóż dodawać - młody i przystojny), którego Linda uważała przedtem za nieprzystosowanego świra, żyjącego obsesjami o wojnie kultur. Podczas gdy Linda coraz bardziej przekonywała się do człowieczeństwa, a nawet męskości swego wybawiciela, jego teorie zaczęły robić niespodziewaną karierę, nie bez pomocy Lindy, która wysyłała fragmenty, streszczenia i recenzje jego prac przyjaciółom swego ojca, w tym osobom z najwyższych szczytów władzy, zawsze żądnym przepowiedni zdolnych wywołać w obywatelach poczucie zagrożenia i otworzyć ich umysły na nowe sposoby ograniczania wolności osobistej. Gdy konferencje w najpiękniejszych kurortach świata, wywiady w najpoczytniejszych magazynach i milionowe nakłady książek stały się rzeczywistością, Linda ze zdumieniem odkryła, że jest zakochana, a obiekt jej miłości, wczorajszy świr, a dziś bohater massmediów, wyznał skromnie, że od lat żywi do niej analogiczne uczucie.

Byłem pozytywnie zdziwiony, że Halina Mentiroso porusza także dylematy współczesne, bliskie każdemu z nas (mam na myśli wojnę kultur), gdy Rozalia zahamowała tak gwałtownie, że wyrzuciła czaszkę w deskę rozdzielczą z fatalnym dla niej (deski, nie czaszki) skutkiem.

- Wsiadaj, ofermo - warknęła Rozalia.

Masując czoło, zebrałem rozrzucone papiery, które po namyśle postanowiłem pozostawić, podobnie jak plakat z miss lipca. Nie miałem go już nigdy odzyskać.



Do jednej kieszeni włożyłem dyktafon, a do drugiej książkę „Los Aurelii” i wysiadłem z samochodu, rzucając Rozalii posępne, zagadkowe spojrzenie. Niestety, nie zadała sobie trudu, by je pochwycić. Blask jasnej dłoni zatraskującej drzwi oraz błotnisty rzucik spod kół na garniturze Henryka Szczupaczydło stanowiły ostatni wyraz jej chłodnej obecności.

Myślę, że każdy czytelnik, który wykosztował się na kupno tej książki, nieraz bywał na kolacji w Bristolu. Dlatego oszczędzę sobie opisu wnętrza, do którego się dostałem, stoczywszy najpierw wzrokowy pojedynek ze śmiesznie ubranym mężczyzną przy wejściu. Postanowiłem zająć pierwszy stolik z brzegu, gdyż było to zgodne z obiema regułami rządzącymi moimi wyborami, to jest: decydować szybko i bez namysłu. Wyciągnąłem z kieszeni „Los Aurelii” i od czasu do czasu opędzając się od natrętnych kelnerów, pogrążyłem się w czytaniu.

Początkowo lektura dość mnie męczyła ze względu na druk, jednak już wkrótce poczułem, że historia absorbuje mnie bardziej niż pijące buty. Natura tego zaabsorbowania była bardzo podobna, to jest bolesna. Znalazłem się oto w krainie niezbyt egzotycznej, bo ponurej i deszczowej, pełnej nieprzyjaznych, podejrzliwych ludzi, z których jeden, a konkretnie bohater (co odgadłem bez trudu, gdyż był młody i przystojny), wracał właśnie do domu ze swej stajni. Wiek musiał być dziewiętnasty, bo mężczyzna niósł lampę naftową, którą oświetlał błotniste podwórze. Kiedy jednak wszedł po schodach i stanął na ganku, jego lampa wydobyła z ciemności coś nieoczekiwanego: szczupłą i niewątpliwie żeńską postać owiniętą w chustę. Ledwie mężczyzna, powodowany raczej niechęcią niż ciekawością, spytał dziewczynę, co robi na progu jego domu, głośne chrząknięcie poderwało mnie z miejsca. W pierwszej chwili pomyślałem, że kelnerzy zamykają lokal i wypraszają wszystkich, którzy się do tej pory nie najedli. Już chciałem głośno zaprotestować przeciwko takiemu bestialstwu, kiedy

zorientowałem się, że chrząka nader szczupła kobieta w czerwonej bluzce i czarnym kostiumie. Twarz miała niesympatyczną, nieufną i zde gustowaną. Szybko zerknąłem na okładkę „Losu Aurelii” i poznałem, że mam przed sobą Halinę Mentiroso.

Cóż, nie była nowalijką.

Chciałem podbić ją uprzejmością i wysoką kulturą osobistą, rzekłem więc wskazując na zdjęcie:

- Ani trochę nie zmieniła się pani przez te dziesięć lat.

- To zdjęcie zrobiono trzy lata temu - odparła i sztywno usiadła na brzegu krzesła.

Trochę się zdenerwowałem tym niezręcznym początkiem, wsadziłem więc nos w kartę i udałem, że studiuje jadłospis. Kilka razy zerknąłem na Halinę Mentiroso, ale ona najwyraźniej usiadła na szpilce albo cierpiała na niestrawność - trudno powiedzieć, bo jej mina wskazywała jednakowo obie te przyczyny. Żeby ją trochę lepiej usposobić, zaproponowałem przystawki i całą resztę, kierując się wyłącznie najwyższą ceną. Była to słuszna decyzja. Twarz Haliny zrobiła się bardziej przystępna i wkrótce droga przyjaciółka Palmistra poszła w moje ślady, jeśli chodzi o zaliczanie cenowych ośmiotysięczników.

- Przepraszam, że zorganizowałem nasze dzisiejsze spotkanie w takim pośpiechu - zagailem. - Sam jestem tym zdziwiony, by nie powiedzieć zszokowany. Nie chciałem jednak wyjeżdżać, nie nawiązawszy z panią kontaktu. Pani książki są tym, czego potrzebujemy, ja i moje wydawnictwo Abrakoptul. Poszukujemy atrakcyjnych, uniwersalnych romansów. Nasz rynek jest bardzo chłonny, a rodzimi pisarze nie nadążają za potrzebami czytelników. Przejrzałem kilka pani książek. Jestem pod wrażeniem ich niezwykłej popularności.

- Ja też - odrzekła Halina Mentiroso z nutą goryczy. - Może wyjaśnienia należy szukać we wrodzonej naiwności kobiet połączonej z ewidentną perfidią mężczyzn. Być może o wszystkim decyduje duży druk i niska cena. Sam pan powinien wiedzieć o tym najlepiej. Zgodziłam się na tę kolację, żeby coś

zjeść, więc nie mówmy już więcej o tym, co zepsuje mi apetyt. Wystarczająco zirytowałam się dziś rozmową z moją nieznośną córką Anetką. A jeśli chodzi o tłumaczenia, proszę zadzwonić do „Harcownik Editors”. Oni się wszystkim zajmą.

Byłem na swój sposób zadowolony z odkrycia, że jest więcej ludzi takich jak ja, którzy znają swoją wartość, stoją mocno na ziemi i wiedzą, co jest nad i pod nimi, o ile pod nimi jest cokolwiek oprócz dna. Na których słodkie komplementy nie robią wrażenia, którym zwyczajnie nie chce się gadać, którzy wolą coś wypić i zjeść, właśnie w takiej kolejności.

Lecz z drugiej strony przyszedłem tu przecież po to, żeby gadać o tym, o czym ona nie chciała gadać. Drażnienie tematu nieznośnej córki raczej nie popchnęłoby sprawy naprzód, toteż uczepliłem się jak pijany płotu swojej spalonej taktyki i nerwowo i chaotycznie powróciłem na tor przeszkód, na którym właśnie przed chwilą doznałem porażki.

- Wie pani - brnąłem uparcie - jestem po prostu ciekaw, jak pani to robi, że pisze tyle, wciąż o tym samym, a jednak ciągle znajduje pani inne słowa, inne zdania, że się pani nie powtarza, że każda ta historia jest pisana zupełnie na nowo... Pani pełny profesjonalizm, pani szacunek dla czytelnika podbił mnie od pierwszej chwili, kiedy ze tknąłem się z pani dziełami...

Widziałem, jak Halina Mentiroso się płoszy, jak popada w konsternację, jak marszczy brwi i patrzy na mnie spode łba. W końcu rzekła:

- Powiem panu coś całkiem szczerze. Czy mogę mówić szczerze?

- Byłbym wzruszony - odetchnąłem.

- Zawsze byłam ambitna i obiecująca. Chciałam pisać. Rozwijać się. Zdobywać uznanie krytyków i szacunek czytelników. I tak dalej. Dalej i dalej. Pan to rozumie?

- Oczywiście - skłamałem.

- Pomyśl z pisaniem romansów uważałam początkowo za dobry żart. Wcześniej ja, mój mąż i jeden z naszych przyjaciół prowadziliśmy zupełnie inną działalność wydawniczą: słuszną,

potrzebną i zakazaną. Kiedy czasy zmieniły się nie bez naszego bohaterskiego udziału, postanowiliśmy nadal wydawać książki. Niestety, pojawił się wolny rynek, a wraz z nim takie przykre zjawiska jak prawa autorskie, marketing i konkurencja. Jeszcze przez jakiś czas nieźle sobie radziliśmy, drukując bez licencji zagraniczne bestsellery, kiedy nagle okazało się, że jest to nielegalne. Nasze wydawnictwo znalazło się na krawędzi bankructwa. Te okropne romansidła uratowały nas od katastrofy, ale przez nie wpadliśmy w fatalną spiralę zarabiania pieniędzy. Czy pan to zna?

Odparłem zgodnie z prawdą, że nic nie wiem o fatalnej spirali zarabiania pieniędzy. Halina Mentiroso westchnęła zazdrośnie i dodała:

- Lecz najgorsze, panie Popidresku, było to, że te romanse przykleiły mi paskudną etykietkę. To straszny los, panie Popidresku. Nikt cię nie szanuje, nikt nie robi o tobie reportaży w „Wysokich Obcasach”, nikt nie zaprasza do programów, w których miłe redaktorki liżą ci tyłek. Pismaki z najgorszych brukowców mają czelność pytać, czemu zarabiasz na życie w taki podły sposób. Nawet twoje czytelniczki nie chcą się do ciebie przyznawać, a jeśli już, to ty nie chcesz przyznawać się do nich. Ale na szczęście nie załamalam się, panie Popidresku. Napisałam coś, co wszystkich rzuci na kolana. Wreszcie pokażę prawdziwe oblicze Haliny Sopelkundel. Wreszcie będą mnie pokazywać w wysokokulturowych programach po północy, gdzie można mówić głośno: pedał, ciota i pizda.

Kilka osób zerknęło na nas z podziwem, a nawet poszło w ślady Haliny. Mimo tej swojskiej atmosfery postanowiłem zmienić temat.

- Czy powiedziała pani „Sopelkundel”? - spytałem.

- To moje prawdziwe nazwisko. Mój mąż uważał, że jest zbyt niemieckie jak na historie o miłości. To on wymyślił pseudonim „Mentiroso”. Zresztą, sama na to nalegałam. Pan rozumie, wcale nie zamierzałam ujawniać, że piszę romanse. Ale kiedy nagle, bez żadnej reklamy, te powieściidła stały się popularne,

kiedy czytelniczki zaczęły się domagać spotkań z autorką, uległam i pokazałam światu twarz... Ale nie nazwisko. Dopiero teraz, jako Sopolkundel, udowodnię, kim naprawdę jestem. Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć żyć na maksa i przemówić własnym głosem, panie Popidresku. Właśnie kończę rozmowy z wydawcami, którzy aż przebierają nogami, żeby wydać moją nową powieść. Jednym z nich jest mój mąż, który wreszcie poszedł po rozum do głowy i zrozumiał, że nie powinien ograniczać mojego rozwoju, co robił systematycznie przez niemal trzydzieści lat naszej znajomości.

- Cieszę się, że pani mąż nie jest kretynem. Dzięki temu będę mógł wkrótce zabrać się do tłumaczenia pani nowej książki - powiedziałem. - Wydawnictwo Abrakoptul szuka nie tylko literatury lekkiej, łatwej i przyjemnej, pani Mentiroso. Szukamy również lektury nielekkiej, niełatwej i nieprzyjemnej. Bo czyż nie taka jest prawda o człowieku?

- Zachwycająco trafnie pan to określił - odrzekła, patrząc na mnie przychylniej.

- O czym właściwie jest ta książka?

- To spowiedź dziecięcia wieku - wyznała, uśmiechając się chytrze. Nie wiedziałem, do czego pije, ale podejrzewałem, że chce wprowadzić czytelników w błąd co do swoich lat. - Ludzie potrzebują prawdy albo czegoś jeszcze gorszego i ja im tego dostarczę.

- Rozumiem, że w sprawie przekładu będę musiał kontaktować się z pani mężem?

- Chyba mnie pan nie słucha, panie Popidresku, albo jest pan durniem. Przecież powiedziałam, że jeszcze nie wiem, czy to Harcownik zostanie moim wydawcą. Wkrótce zdecyduję, czy dam szansę jemu, czy też komuś innemu. Tak czy inaczej, planuję, że książka ukaże się na rynku najpóźniej za cztery miesiące, a wówczas może się pan zgłosić bezpośrednio do mnie. Obiecuję, że jeśli zaproponuje mi pan odpowiednie warunki, to z panem pierwszym podpiszę umowę na przekład.

- W takim razie wypijmy za pani sukces.

Byłem uszczęśliwiony faktem, że mój wdzięk oraz inteligencja tak szybko rozmiękczyły Halinę Mentirosoi przyniosły odpowiedź na pytania Palmistra. Natychmiast zamówiłem szampana, którego cena przekroczyła wszystko, co do tej pory wypilem, a nie jestem pod tym względem skąpcem. Kiedy kończyliśmy pierwszą butelkę, Halina wyznała, że jestem znacznie przystojniejszy, niż wydawało się jej na początku, a ja przysiągłem, że według mnie w ciągu ostatniej godziny odmłodziła co najmniej o dziesięć lat. Ona nie potwierdziła, że wyglądam żałośnie, a ja zaprzeczyłem, jakoby przypominała marabuta.

Ona oceniła, że jestem inteligentny i zabawny, a ja zauważyłem, że jest sympatyczna i wrażliwa. Ona przyznała, że była głupia, biorąc mnie za golca i naciągacza, a ja oświadczyłem, że myliłem się co do jej odpychającego charakteru.

Tak oto, bez wstydu i opamiętania prawiąc sobie dusery, skończyliśmy drugą butelkę. Posłużyłem się kartą Palmistra i bez drżenia ręki podpisałem rachunek jego nazwiskiem. Od dziecka mam bowiem tę dziwną cechę, że własne nazwisko zamyka przede mną wszystkie drzwi, podczas gdy cudze daje mi siłę, odwagę i przebojowość oraz uwalnia od przykrych zobowiązań.

Opuściliśmy restaurację jako przyjaciele. Niebo wypogodziło się i wieczór stał się niemal przyjemny. W tych niecodziennych okolicznościach wyznałem, że chciałbym pójść na spacer przez Cafe Cardinale w stronę Powiśla, a potem porwać barkę i popłynąć nią aż do Gdańska. Halina odparła, że jako obcokrajowiec (choć mówiący po polsku niemal poprawnie) mam prawo żywić romantyczne złudzenia na temat wieczornych spacerów po Warszawie oraz możliwości porywania czegokolwiek, co doplynie aż do morza. Ona jednak nie podziela mojego optymizmu graniczącego z szaleństwem i radzi, abym wrócił do hotelu i położył się do łóżka z zimnym okładem na głowie. To powiedziawszy, wsiadła do taksówki i odjechała, przesyłając mi dłonią całusa. Kiedy samochód uwiózł ją w ulicę

Nowy Świat, zdjąłem buty, wyrzuciłem je do kosza i ruszyłem w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Barcę porwę innym razem.

4. NIEOCZEKIWANA ZMIANA PLANÓW

Następnego dnia obudziłem się w Warszawie. Codziennie od ponad dwudziestu lat budziłem się w Warszawie i nie było w tym nic dziwnego, nic nadzwyczajnego zgoła, stwierdzając jednak ten fakt, fakt, że obudziłem się w Warszawie, stwierdzałem zarazem, że ciągle tkwię w tym przedsionku czyścica jak w jakiejś brudnej, zatłoczonej poczekalni, że obudziłem się już niestety, że z kacem, że po wczorajszym nastroju nie pozostał nawet ślad i że znowu, jak co rano, jestem irracjonalnie podenerwowany, nastawiony jednocześnie agresywnie i pasywnie, i czuję, jak życie umyka mi bez sensu i bez przyjemności pośród zasranych parków, rozdeptanych trawników, rozkopanych ulic, beładnej architektury i wkurwionych ludzi.

Nie myślałem już o wczorajszym zleceniu, chcąc tylko, żeby ten dzień przeszedł jak wszystkie inne, możliwie szybko i bezboleśnie, toteż postanowiłem natychmiast pogrążyć się w nałogu. Nie pogrążyłem się jednak zbyt głęboko. Nie pogrążyłem się wcale. Trudno w to uwierzyć, ale nie włączyłem nawet komputera. Kiedy wstałem z łóżka, natknąłem się na porzucony niedbale garnitur Henryka Szczupaczydło. Z kieszeni marynarki wysunął się „Los Aurelii”, atakując moje poczucie smaku amarantowo-złotą okładką. Niechętnie podniosłem książkę, niezdecydowanie przzerzuciłem kilka stron i przypadkiem natknąłem się na zdanie: „Nazywam się Aurelia - powiedziała dziewczyna, a jej wielkie, brązowe oczy zaszkliły się od łez”.

Rzeczywiście, dość okropne imię, pomyślałem, wyteżając empatię. W dalszym zdaniu Aurelia wyjaśniła jednak, że nie imię jest przyczyną jej tragedii, ale fakt, że nie zna ani swych rodziców ani nawet swego nazwiska, a przybyła tu po to, by za dach nad głową zaoferować swe skromne usługi w zakresie

szorowania garów i podłóg oraz przygotowywania nieskomplikowanych posiłków.

Byłem poruszony. Halina Mentiroso wplątywała wątki mojego życia w fabułę swoich powieści, które w dodatku nazywała nędnymi. Ja też nie znałem swojego prawdziwego nazwiska. Wuj Dzierżyszczaw uważał je za zbyt paskudne i w swej dobrodusznosci wymyślił mi inne. Ja też nie pamiętałem moich rodziców, którzy wyjechali, by wykuć mi lepsze jutro w slumsach Nowego Świata. Mój dramat był tym większy, że od tego czasu jeszcze się nie odezwali. Minęło dobrych dwadzieścia lat i zaczynałem się już o nich niepokoić. Może z wrodzoną sobie głupotą pomylili kierunki i podążyli na wschód. Może odnieśli nieprzyzwoity sukces i bali się, że przewróci mi to w głowie. Może w natłoku nowych zdarzeń, doświadczeń i przygód zapomnieli o tym, że mnie spłodzili. Osobiście za najbardziej prawdopodobną uważałem drugą wersję, podczas gdy ciotka Dzierżyszczaw forsowała pierwszą, a wuj upierał się przy trzeciej. Zagadka mojego pochodzenia zwykle jednak nie zatruwała mi życia. Jak już wcześniej wspomniałem, byłem zbyt zajęty (permanently zajęty), żeby tracić czas na podobne refleksje. Tylko czasem pojawiała się myśl sprowokowana nieszczęśliwym skojarzeniem, że jestem detektywem, może więc powinienem zrobić coś we własnej sprawie.

Nim myśl wykrystalizowała się w decyzję, dotarł do mnie charakterystyczny rytm hasła legionistów. Z niechęcią odłożyłem książkę do piekarnika i poszedłem otworzyć drzwi. Po drugiej stronie stali Palmister, odstawiony i wyperfumowany jak na randkę, i Rozalia, ubrana w strój, który zapewniał jej anonimowość: brudne balerinki, podarte dżinsy i koszulkę z mango.

Przywitaliśmy się bez wylewności, po czym oboje weszli do mieszkania, a ja przykleiłem się do ściany, żeby zrobić im miejsce w przedpokoju. Przy okazji podkreślę, że Rozalia złamała słowo i przestąpiła mój próg, mimo iż nie zrobiłem dezynfekcji. Chciałem nawet zabłysnąć gościnnością i zaprosić

ich dalej, ale wymówiła się sprytnie.

- Mówiłam panu Palmistrowi, że wymieniają ci rury.

Szkoda tylko, że tu tak ciemno.

- Żarówka jest przepalona. To sprawka poprzednich właścicieli - wyjaśniłem.

- Wprowadziłeś się niedawno? - spytała bez zainteresowania.

- To tylko lokal zastępczy. Moja ciotka dostała go, jeszcze zanim się urodziłem. Nie chcę niepotrzebnie inwestować, bo niedługo mają wyburzyć cały kwartał i przenieść lokatorów do nowiutkich baraków za miastem. Muszą się spieszyć, bo konserwator zabytków chce wpisać tę ruderę do swojego rejestru.

- Nie szkodzi, że jest ciemno. I tak nie mam zamiaru nawiązywać z tobą kontaktu wzrokowego - przerwał Palmister. - Przejdźmy do rzeczy. Za godzinę spotykam się z Haliną Mentiroso. Dowiedziałeś się czegoś od mojej drogiej przyjaciółki?

- Oczywiście - odparłem nonszalancko. - Harcownik wie o książce i jest nią zainteresowany. Halina zamierza dziś zdecydować, kto zostanie jej wydawcą. Sądzi, że najpóźniej za cztery miesiące książka ukaże się na rynku.

- Więc jednak!... A niech to!... - zawołał Palmister. - Czy możesz dać mi nagranie waszej rozmowy? Chciałbym je przesłuchać w drodze na spotkanie.

- Muszę pana rozczarować. Nie włożył pan baterii i nic się nie nagrało.

- Zapomniałem o bateriach! - krzyknął Palmister i plasnął się w czoło. - To dlatego, że jestem humanistą - wyjaśnił. - Nie pozostaje nic innego, jak wysłuchać twojej relacji. Czy Halina powiedziała jeszcze coś, co zwróciło twoją uwagę?

- Powiedziała, że jest niedowartościowana i ma nieznośną córkę.

- Wiem, wiem. Pytam, czy powiedziała coś na temat książki?

- Niestety, nie.

Palmister milczał przez dłuższą chwilę.

- Sytuacja skomplikowała się, moi drodzy przyjaciele - rzekł w końcu. - Musimy przystąpić do planu B, który jest modyfikacją pierwotnego planu A. Ponieważ jednak pierwotny plan A stał się planem B, którego w wyniku wczorajszych działań Robala zamierzałem uniknąć, nazwijmy nasz aktualny, jeszcze raz zmodyfikowany plan planem C. Czy wiecie, o czym mówię?

- Domyślam się - powiedziałem, nie mając najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

- Chodzi o kradzież maszynopisu - wyjaśnił Palmister. - Musicie włamać się do Haliny, ukraść wszystkie ewentualne kopie powieści, a jeśli ich nie znajdziecie, podpalić dom.

- Podpalić dom? - powtórzyłem.

- Podłóżyc ogień. Puścić z dymem. Sfajczyć. Zjarać. Spopielić. Czy wyrażam się jasno?

Przytaknąłem.

- Czy ma pan jakieś życzenia co do sposobu wykonania tego zadania?

- Tak, moi drodzy - przyznał Palmister. - Niech to wygląda na odkręcony gaz albo niewyłączone żelazko, jednym słowem coś, co często zdarza się kobietom, kiedy wychodzą z domu. Mam nadzieję, że mogę na was liczyć?

- Oczywiście, zrobimy to jak należy - rzekłem. - Nasza firma została stworzona po to, żeby spełniać najbardziej nieludzkie życzenia. Muszę jednak ostrzec, że w razie zagrożenia dla zwierząt, domowników lub sąsiadów nie będziemy w stanie wywiązać się z zadania. Cena nie gra roli. Mokra robota to nie nasza działka.

Firma wuja miała wiele jednoosobowych wyspecjalizowanych komórek, nie tylko „Gówniane zlecenia”, „Dziadowskie robótki”, „Frajerskie fuchy”, czy jak nazwać tę, w której pracowałem. Zanim jednak poleciałem Palmistrowi jedną z nich, ów rzekł:

- Cieszę się, Robalu, że podobnie jak ja jesteś człowiekiem z zasadami. Ludzie z zasadami to przyszłość i przeszłość tego kraju. Ludzie bez zasad to jego terażniejszość. Ale nie mówmy

już o tym. Mogę cię uspokoić. Halina mieszka samotnie w dużym, pustym domu, otoczonym krzakami. Tylko dwa razy w tygodniu, w poniedziałek i w piątek, przychodzi sprzątaczką.

- A mąż? A córka?

- Każde z nich ma swoje mieszkanie. Czy rozwiąłem twoje wątpliwości?

- Tak, tak. Jeszcze jedno.

- Co znowu? - zniecierpliwiał się.

- Jak poznam, czy znalazłem właściwy maszynopis? I czy nie powinniśmy również specjalnie zatroszczyć się o komputer?

- Już wyjaśniam. Szukajcie „Koncertu Igarzy”. Nie musicie martwić się o komputer. Halina pisze na starej maszynie do pisania. Uważa, że to bardziej literackie.

- W takim razie pozostaje mi tylko spytać o adres pańskiej drogiej przyjaciółki - rzekłem. - Mam słabą pamięć, więc gdyby go pan zapisał, ułatwiłoby mi to zadanie.

- Dam ci jej wizytówkę. Dziwię się, że Halina sama ci jej nie wcisnęła. Chociaż z drugiej strony...

Palmister westchnął, wyjął portfel i zaczął w nim grzebać po omacku. Runąłem do przodu, udając, że chcę wpuścić światło z klatki schodowej, i wytrąciłem portfel z ręki Palmistra. Natychmiast sam się po niego schyliłem i odłożyłem na miejsce wypożyczoną poprzedniego wieczoru kartę VISA. Po tej ekwilibrystycznej operacji otworzyłem drzwi i wpuściłem do mieszkania fetor kocich sików, smrodek smażonej kapusty oraz powódź ulotek z apetycznymi zdjęciami pizzy i pań topless. Nie zrobiło się od tego jaśniej.

- Szalenie mi przykro - rzekłem, oddając portfel. - Taki ze mnie niezdar.

- Rzeczywiście, Robalu, sprawiasz wrażenie gównianego partacza, ale nie mówmy już o tym. Oto wizytówka Haliny. Moja droga przyjaciółka mieszka w Aninie, a biorąc pod uwagę korki oraz bliską godzinę naszego spotkania, wnioskuje, że aby spóźnić się dwa kwadransy, musi za chwilę wyjść z domu. Postaram się zatrzymać ją jak najdłużej. Kiedy się pożegnamy,

zadzwońię do Rozalii. Od tej chwili będziecie mieć jeszcze godzinę, żeby spokojnie podpalić dom i opuścić miejsce akcji.

- Już wkładam trampki i lecimy.

Palmister życzył nam powodzenia i pośpiesznie zbiegł po schodach. Spojrzałem na Rozalię i zauważyłem, że ma podkrążone oczy i jest podenerwowana.

- Nie martw się, mała - klepnąłem ją po plecach. - Czeka nas wspaniała przygoda.

Pięć minut później siedzieliśmy już w żółtym garbusie i wlekiśmy się na spotkanie wspaniałej przygody, podskakując na dziurach i wybojach, staczając się w koleiny, zatrzymując w okolicznościowych korkach i na czerwonej fali, łamiąc przepisy o ograniczeniu prędkości do dwudziestu kilometrów oraz przeklinając przechodniów, kierowców, policję, brak policji, pogodę, miasto, kraj, ministra infrastruktury, a także parę innych postaci i instytucji, które spontanicznie przyszły nam do głowy, chociaż nie miały z tym bajzłem nic wspólnego.

- Często ci się to zdarza? - spytała Rozalia.

- Podróżuję bez przerwy - odparłem. - Szczególnie uwielbiam tramwaje...

- Pytam o zlecenie, czubku, a nie o twoje wycieczki na Wolę! - przerwała z irytacją. - Facet każe nam podpalić dom, a ty nic? Żadnych wątpliwości?

Byłem zadowolony, że wywarłem na Rozalii wrażenie twardziela, ale znając skomplikowane wymagania współczesnych kobiet, postanowiłem wzbogacić swój wizerunek odrobiną wrażliwości.

- Szczerze mówiąc, nie lubię zabaw zapalkami. Łatwo się przy tym poparzyć. Ale nie martw się, mała, panuję nad wszystkim. Grunt to nie zgubić portfela na miejscu kradzieży.

- To wszystko jest trochę dziwne, nie myślisz? - drążyła uparcie.

Przez chwilę rozważałem w skupieniu ostatni człon tego zdania

i swoją ewentualną odpowiedź (raczej twierdzącą), gdy przyszło mi do głowy, że to tylko chwyt retoryczny, a nie próba zmuszenia mnie do wyznania, że jestem idiotą.

- Rozanietto, nic a nic nie znasz się na męskiej psychologii. Tu chodzi o samczą rywalizację. Facetowi oczywiście zależy na wydaniu książki, ale jeszcze bardziej zależy mu na tym, żeby nie wydał jej Harcownik. Gotów jest nawet zniszczyć to arcydzieło razem z całym dobytkiem Haliny, byle tylko nie dostało się w ręce jego konkurenta - odparłem, przyglądając się wyprzedzającemu nas inwalidzie na wózku i obiecując sobie, że następnym razem posłużę się podobnym środkiem lokomocji. - No jak, uspokojona? - dodałem protekcyjnie.

Najwyraźniej tak było, bo więcej się nie odezwała.

Za jakiś kwadrans dojechaliśmy na miejsce, które z grubsza wyglądało tak, jak je opisał Palmister. Dom Haliny był przedwojenną, dobrze utrzymaną willą, niemal zupełnie zasloniętą od ulicy zwartym krzewostanem, w tej chwili pozbawionym listowia i dlatego nieco dziurawym. Ogród stanowiła wielka połać przyszarzałej trawy oraz kilka krzewów, przyciętych z wprawą, lecz bez wyobraźni, która każe niewyżytem ogrodnikom-amatorom strzyc ligustry w fantazje kulomiota albo nienasyconego grzybiarza. Widocznie fantazja Haliny wyładowywała się na całkiem innych polach, co skonstatowawszy, objechaliśmy dom i zaparkowaliśmy na sąsiedniej ulicy.

Kiedy sforsowaliśmy parkan i żywopłot, nie bez strat w odzieży, Rozalia oświadczyła, że powinienem stanąć na czatach, a ona przeszuka dom. Odparłem, że najlepszym sposobem uniknięcia niebezpieczeństwa będzie jak najszybsze, to jest wspólne przeszukanie, o ile w tak banalnej sprawie można w ogóle mówić o niebezpieczeństwie. Rozalia próbowała podważyć moje kompetencje, dowodząc, że nie odróżnię maszynopisu od ściennego kalendarza albo dzieł zebranych Elizy Orzeszkowej. Dałbym jej solidnego klapsa, gdyby nie naruszało to naszego kruchego porozumienia, po którym tyle sobie

obiecowałem. Powiedziałem więc cierpko:

- Jeśli będę miał wątpliwości, spytam cię o zdanie.

Wyjąłem wytrych, którym jeszcze wuj uczył mnie roboty. Przez chwilę gmerałem nim w zamku. Natrafiłem na opór. Bardzo silny opór. Próbując go przewyciężyć, byłbym złamał to antyczne narzędzie, gdybym przy okazji nie nacisnął klamki i nie pociągnął drzwi do siebie. Okazało się, że są otwarte. Zrobiłem żartobliwą uwagę na temat kobiecego roztargnienia i weszliśmy do środka.

5. ŻYCIE NA MAKSA

Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie najpierw poszukać maszynopisu, a dopiero później podpalić dom. Rozalia zgodziła się ze mną, o ile to właśnie oznaczało jej dziwne spojrzenie, i podała mi parę chirurgicznych rękawiczek. Takie same włożyła na swoje szczupłe i zmysłowe dłonie, po czym zaczęła przeglądać wszystko po kolei, zaczynając od szafki na buty i szafy na płaszcze. Już miałem to skomentować z właściwą sobie błyskotliwością i brakiem taktu, kiedy przyszło mi do głowy, że nie zaszkodzi, jeśli jedno z nas będzie kierować się logiką kobiecą, a drugie po prostu logiką. W końcu Halina była kobietą, a to nic nie wyjaśnia.

Ludzie, którzy mają do dyspozycji za dużo przestrzeni, dzielą ją według najbardziej nierozłącznych potrzeb - śpią, jedzą, oglądają telewizję i załatwiają się w całkiem innych miejscach, które w dodatku odpowiednio do tego nazywają. Z tą myślą udałem się na poszukiwanie gabinetu, czyli miejsca, gdzie Halina prześladowała swoje niewinne bohaterki oraz, dla odmiany, wrzucała je w łóżka przystojnych ponuraków. Znalazłem go bez trudu. Był to duży pokój, urządzony zaskakująco powściągliwie (z jednym wyjątkiem). Pod ścianami stały regały z makulaturą: po jednej stronie z książkami, po drugiej z segregatorami oznaczonymi datami, pośrodku zaś biurko większe niż moje mieszkanie. Obok, na niskim stoliku, stały faks i drukarka. Wyjątek stał pod oknem - był to absurdalny sekretarzyk, przypominający buldoga na szeroko rozstawionych, krzywych łapach, z kwadratowym, spłaszczonym pyskiem nadstawki i wystającą szczęką szuflad. Nieduża maszyna w ciemnym pokrowcu sprawiała wrażenie nieforemnego nosa. Moją uwagę zwróciło jednak coś innego.

Biurko było pootwierane i zasypane szpargałami, a na podłodze leżało coś w rodzaju stosu całopalnego. Pomyślałem, że sprzątaczką Haliny musi ostro zapracować na swoją dniówkę, i wziąłem się za biurko. Szybko i wnikliwie obejrzałem bogaty przekrój tego, co może zaoferować przemysł papierniczy, to jest kopert, kartek, bloczków małych żółtych karteczek, znaczków, zeszytów, notesów, kalendarzy, jednego czy dwóch albumów ze zdjęciami, teczek i skoroszytów, a oprócz tego jednej srebrnej ramki bez zdjęcia. Przekartkowałem najnowszy kalendarz i odkryłem, że pod datą 17 października Halina Mentiroso zapisała: „Rumun, Bristol”. Wątpię, czy na świecie istniała większa liczba Rumunów, którzy zapraszali Halinę do Bristolu, przyjąłem więc, że chodzi o mnie, co pozwoliło mi wreszcie zlokalizować się w czasie bez konieczności pytania o to Rozalii i robienia z siebie czubka.

Odrożyłem kalendarz i przerzuciłem się na stos. Zdążyłem wziąć do ręki pierwszą z brzegu kartkę z intrygująco brzmiącym nagłówkiem („w sprawie odpowiedzi z dn. w sprawie zapytania z dn. w sprawie odpowiedzi z dn. w sprawie zażalenia z dn. w sprawie nr C89/ 342/ 58002”), kiedy mój wzrok padł na coś jeszcze bardziej intrygującego. Ze stosu, pod oknem, po lewej stronie, wystawała damska dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami i pierścionkiem z białego złota, który dobrze pamiętałem z wczorajszej kolacji. Po dłuższej chwili kontemplacji tego zagadkowego bądź co bądź widoku obszedłem stos i złapałem dłoń w nadgarstku, tam, gdzie żywi mają puls. Woń nie miała, choć była jeszcze ciepła i miękka. Pociągnąłem ją, żeby sprawdzić, czy nie jest oderwanym od całości fragmentem. Stos nie drgnął, ręka również. Odrzuciłem ją więc na miejsce i odruchowo wytarłem swoją w spodnie.

Z trudem zdławiłem krzyk i chęć ucieczki i rozejrzałem się po pokoju całkiem świeżym okiem. Na zdrowy rozum, ktoś przetrząsnął go dokładnie - być może Halina zastała go na tej czynności, a może było odwrotnie - to opór Haliny sprawił, że jakiś Bogu ducha winny obywatel, który nie mógł dostać od niej

tego, czego pragnął, rąbnął Halinę w głowę, a potem przykrył grubą warstwą papierów. Może zresztą nie była to Halina, ale jakaś inna kobieta z pierścionkiem - chociaż powód takiej mistyfikacji byłby dla mnie psychologiczną zagadką. Halina czekała na swój wielki dzień, nie miała więc powodu podszywać się pod zwłoki i uciekać na koniec świata w przebraniu, dajmy na to, mnicha-kapucyna.

Zlustrowałem powierzchownie kopiec Haliny i doszedłem do wniosku, że tworzy go zawiła korespondencja ze skarbówką. Wszystkie segregatory w najbliższym regale opróżniono - ktoś musiał się niezłe napracować, wyciągając kartki i zasypując nimi Halinę. Miałem nadzieję, że „Koncert łgarzy” nie krył się w głębszych warstwach, bo nie zamierzałem ich przekopywać do poziomu ciała.

Zawartość pozostałych regałów została nienaruszona, o czym świadczyła wyraźna warstwa kurzu. Na końcu dotarłem do straszego sekretarzyka. W szufladach znalazłem maszynopisy pod wiele mówiącymi tytułami: „Ślina i krew”, „Bagno rodzinne”, „Zwis”, „Skurwiel i ciotka”, oznaczone datami i miejscem ich powstania (to drugie w przeciwieństwie do pierwszego było zawsze takie samo). Przy tym śmiesznym meblu, który pasował do wyobrażeń masowego czytelnika o melodramatycznej pisarce, Halina wylewała na papier żółć życia, a płomienne romanse rzucała na tęgi biurku, które bardziej nadawałoby się dla biskupa albo ministra. Prowadziła podwójne życie literackie - jedno do szuflady, drugie na półki. Miała dwa nazwiska. Może miała też dwa życia. Nie wiedziałem, które z nich ją zabiło.

Właśnie trzymałem w rękach „Skurwiela i ciotkę”, gdy dotarł do mnie urywany krzyk Rozalii. Nie zdążyłem nawet ruszyć nogą, gdy wrzasnęła znowu:

- Robal, chodź tu natychmiast!

Skoro mogła krzyczeć pełnymi zdaniem, nie musiałem wpadać w panikę. Zacząłem zbierać „Skurwiela i ciotkę” i wtedy zauważyłem pod sekretarzykiem strzęp czarno-białego zdjęcia.

Przedstawiało ono ufnie uśmiechnięte nastoletnie dziewczę, z twarzy podobne do Haliny, tylko bardzo ładne. W tle jaśniał anonimowy szpaler brzoź. Podpis z tyłu niewiele wyjaśniał: - „...n (lub m) 1985”. To zdjęcie mogło nie mieć żadnego znaczenia, i najprawdopodobniej nie miało, ale na wszelki wypadek schowałem je do kieszeni. Po krótkim namyśle postanowiłem dołączyć do niego również kalendarz, gdyż uznałem, że notatka na temat wczorajszej kolacji przemawia na moją niekorzyść. Zapewne byłem ostatnią osobą, która widziała denatkę przy życiu. Nie wiem dlaczego, ale policja lubi dobierać się do takich pechowców.

Odnalazłem Rozalię w łazience, nad wanną pełną wody. W środku leżał laptop. Nie dość, że był całkowicie zalany, to w dodatku ktoś rozkwasił go tłuczkiem do mięsa.

Tłuczek leżał obok w stanie nienaruszonym.

- No i co ty na to? - spytała Rozalia. - Palmister twierdził, że Halina pisała na maszynie. Myślisz, że uczyła się obsługi komputera i coś jej nie wyszło?

- Myślę, że Halina świetnie posługiwała się komputerem - zamyśliłem się. - Być może rzuca to pewne światło na zwłoki w gabinecie...

- Co? - oczy Rozalii rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie chcę cię straszyć, ale Halina Mentiroso nie żyje na maksa. To znaczy, najprawdopodobniej jest to Halina. W każdym razie kobieta. Na pewno trup.

- Czy jest zmasakrowana?

- Nie wiem. Rozpoznałem ją po dłoni...

- Ty mówisz poważnie! - zrozumiała Rozalia i dostała histerycznej czkawki. - Kiedy t... to mogło się st... tać? - wykrztusiła.

- Sądząc po tym, że ręka jeszcze nie zeszytniała, jakąś godzinę temu... Jest dziesiąta siedemnaście - wskazałem stojący na szafce elektroniczny zegarek z radiem. - To znaczy...

W tym momencie w łazience zarżał koń. Już chciałem uciekać przez muszlę, kiedy Rozalia wskazała swoje pośladki.



- To moja komórka - wyjaśniła, wyjmując telefon z tylnej kieszeni spodni. - Dzwoni Palmister. Halo? Tak, jesteśmy... Tak, jest tu z nami. Martwa... To znaczy, że nie żyje... Nie, to nie my... Nie znaleźliśmy... Nigdy mnie pan nie widział? Rozłączył się!

Ostatnie zdanie skierowała do mnie.

- Tego się właśnie spodziewałem - powiedziałem z uczuciem głębokiej satysfakcji.

Większość ludzi żyje w przekonaniu, że natura szczerze obdarzyła ich rozumem, podczas gdy wszyscy wkłóto to półgłówki, gamonie i ćwoki. Ja miałem odwrotne przeczucie. Odkąd pamiętam, otaczali mnie mądrale, którzy umilali sobie życie, robiąc mnie w konia. Nie chcę przesadzać, ale bywały dni, kiedy nawet wuj Dzierżyszczaw wydawał mi się gigantem myśli, chociaż w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć żadnej konkretnej sytuacji. Nie byłem więc specjalnie zaskoczony, że nasz gadatliwy zleceniodawca rozłączył się z nami, by co prędzej zarezerwować najbliższy lot do kraju, z którym nie mamy umowy o ekstradycji.

Ale dźwięk policyjnej syreny, który rozległ się w tej samej chwili i narastał z prędkością pędzącego radiowozu, to już była lekka przesada.

Rozalia złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą przez korytarz, kuchnię i przedpokój do pomieszczenia, które, jak odgadłem, spadając po schodach, było piwnicą. Moja koleżanka z właściwym sobie wyczuciem została na górze i przekreśliła klucz w zamku. Usłyszeliśmy rumor, jęki i wrzaski oraz kilka przypadkowych (jak się później okazało) wystrzałów. To policja wyważała otwarte drzwi domu Haliny Mentiroso.

Dwie godziny później policja wciąż robiła, co mogła, by jak najszybciej odkryć sprawcę brutalnego mordu. Przez mieszkanie przetaczał się tabun ludzi, którzy zadeptywali ślady, robili sobie zdjęcia z ciałem, oglądali transmisję meczu Gruzja-Azerbejdżan i

opróżniali lodówkę oraz barek, potwierdzając w ten sposób moje przypuszczenia, że policyjne dochodzenie to coś w rodzaju wieczoru kawalerskiego, tylko bez striptizerek. W każdym razie, żywych. Nie wiadomo, jak długo jeszcze trwałaby ta orgia, gdyby na scenę nie wkroczył nowy aktor. W mieszkaniu zapanowała głucha cisza, którą przeszył jeszcze okrzyk:

- Goll!...

Ale po nim zamiast wybuchu entuzjazmu lub rozpaczyny usłyszeliśmy tylko twardy męski głos:

- Jesteś zwolniony.

Wkrótce poznaliśmy nazwisko i pozycję zawodową właściciela tego głosu. Nie ma powodu, bym je dłużej ukrywał: był to inspektor Strzała. Po jego słowach nastąpił rzeczywiście wybuch rozpaczyny u młodzika, który przed chwilą wrzasnął „gol”, a teraz wył i błagał:

- Inspektorze Strzała! Proszę mnie nie wyrzucać! Moja żona od ośmiu lat jest w śpiączce! Mamy pięcioro dzieci, a wkrótce przybędzie nam szóste! Co się z nimi stanie, jeśli stracę pracę?

Inspektor Strzała był jednak nieubłagany:

- Nigdy nie cofam danego słowa. Oglądanie telewizji na miejscu przestępstwa to przestępstwo w miejscu pracy. Oderwijcie tę gnidę od moich nóg. Dzięki. Jaki był wynik meczu? Dwa zero? Kurwa mać! Inaczej obstawiałem.

Usłyszeliśmy odgłos wystrzału, a po chwili ktoś zameldował inspektorowi Strzale:

- Walenciak strzelił sobie w głowę.

- Bardzo dobrze - pochwalił inspektor Strzała. - Postąpił jak prawdziwy mężczyzna. Może dzięki temu jego żona wreszcie się wybudzi. A teraz powiedzcie, do kurwy nędzy, co tu się stało?

- Dostaliśmy informację, że w tym domu znajduje się denatka. Przyjechaliśmy i znaleźliśmy ciało.

- Świetnie. Potrzebujemy takich sukcesów. Gdzie obecnie przebywa ofiara?

- W tym worku, na którym pan stoi, inspektorze.

- Cholera! Nie mogliście zameldować wcześniej? Trochę ją przydeptałem. Mniejsza z tym. Co powiedział lekarz?

- Powiedział, że otrzymała cios w głowę parapetem.

- To bardzo dziwne - inspektor Strzała zrobił znaczącą pauzę. - Życie to pieprzona łamigłówka. Czy coś jeszcze zwróciło waszą uwagę?

- Drzwi na taras mają wybite okienko na wysokości klamki, ale są zamknięte. Szkła leżą w koszu na śmieci.

- Uprzejma ofiara: sprzątnęła po włamywaczu, a potem pozwoliła się sprzątnąć. Kobiety, Piształski, to nie są stworzenia, które moglibyśmy zrozumieć, jak psa albo papugę. Boję się, że nie obędzie się bez policyjnego psychologa, chociaż wołałbym już nigdy nie oglądać tego świra... I co, to już wszystko?

- Na ofierze odkryliśmy sześćdziesiąt osiem kilogramów korespondencji z urzędem skarbowym. W wannie leży laptop zbity tłuczkiem do mięsa. Na tarasie suszą się czerwone majtki.

- Może ofiara dowiedziała się o nowych regulacjach podatkowych i popełniła samobójstwo - zamyślił się inspektor Strzała. - Tylko co mają do tego czerwone majtki?

- Inspektorze Strzała, wiemy coś jeszcze. Nasz informator powiedział, że mordercami są dwie osoby, podaje rysopis: mężczyzna i kobieta, wiek między dwadzieścia a trzydzieści lat, szczupli, ubrani w trampki, spodnie i koszulki z kolorowymi nadrukami. Niestety, nie stwierdziliśmy ich obecności.

- Tak. Wiem już wszystko - oświadczył inspektor Strzała. - Szukajcie bliźniąt pracujących dla fiskusa. Ci ludzie ze skarbówki stają się coraz bardziej bezwzględni. Dopadniemy ich i wydrzemy im prawdę z dupy. Czerwone majtki możecie sobie zatrzymać. Tylko nie paradujcie w nich po komisariacie, tak jak ostatnim razem, Piształski.

- Oczywiście. Dziękuję. Jest pan genialny, inspektorze.

- Ja tylko kojarzę fakty. Gdyby moje życie było tak proste jak ta sprawa, rozwiązałbym je natychmiast. Moja żona pieprzy się z kominiarzem. Wiem, że to nieprawda, ale tak mi pasuje do imidżu. Przecież ja nawet nie mam żony. Ale kocham tę sukę.

Kurwa mać. Spieprzamy stąd.

Po tych słowach policjanci wybiegli z mieszkania, ciągnąc za sobą worek z Haliną Mentiroso, jej laptopa, papiery z urzędu skarbowego i czerwone majtki. Kiedy wesoły dźwięk policyjnej syreny rozptynął się w powietrzu, opuściliśmy chyłkiem dom Haliny Mentiroso.

6. SZALEŃSTWO LONGINA PALMISTRA

Byliśmy pewni, że policyjny informator nadal czai się w pobliżu, i dlatego postanowiliśmy wysłać po garbusa mojego wuja, a sami ruszyć na poszukiwanie komunikacji publicznej. Zaliczyliśmy bieg przez płoty, przepłynięcie żabką odkrytego basenu, zapasy z dobermanem i sprint na dwa kilometry. Po tym amatorskim czwórboju Rozalia nadal nie była przekonana, że pozbyliśmy się ogona. Zmieniliśmy jeden autobus na drugi, tamten na tramwaj, tramwaj na ruchome schody, te znów na metro, po czym zabawa z autobusami i tramwajami zaczęła się od nowa. Wsiadaliśmy i wyskakiwali w biegu, zmienialiśmy przystanki, pruliśmy przez ulicę, odbijając się od masek rozpędzonych samochodów, rozdzielaliśmy się i łączyli w umówionych miejscach po całej Warszawie, ale ciągle wydawało nam się, że czujemy na karkach ciepły oddech szpicla.

Stało się jasne, że jeśli chcemy kontynuować ucieczkę, musimy się przesiąść na linię nocną. Jak powszechnie wiadomo, linie nocne to raj dla złodziei, gwałcicieli, morderców i wracającej z imprez młodzieży, o czym ostrzegają stylizowane na nekrologi tabliczki z numerami. Mimo wrodzonej odwagi połączonej z doświadczeniem wieloletniego obcowania z niebezpieczeństwami poczułem, że to już dla mnie zbyt wiele.

- Chyba go zgubiliśmy - odezwałem się ostrożnie.

- Chyba masz rację - równie ostrożnie zgodziła się Rozalia. - Zgubiliśmy go pewnie wtedy, kiedy w ostatniej chwili wyskoczyliśmy z pięćset dziewięć. Co prawda, drzwi przycięły mi włosy i musieliśmy biec do następnego przystanku, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Nie, chyba raczej wtedy, kiedy wskoczyliśmy do siedemnastki. Ja co prawda wskoczyłem tylko do połowy, ale

tramwaj jechał tak szybko, że nikt nie mógł nas dogonić.

- A jeśli miał samochód?

- Jeździliśmy metrem w tę i z powrotem prawie czterdzieści minut. Nikt się nam nie przyglądał i nikt nie jechał z nami przez dłuższy czas.

- A ten staruszek, który udawał, że czyta gazetę?

- Sprawdziłem. Był martwy.

To ostatecznie uspokoiło Rozalię.

Wysiedliśmy na najbliższym przystanku. Jeśli istnieją miejsca nazywane sercami miast, to musiało być jelimem grubym starej Pragi. Spojrzałem na rozkład. Trzy następne autobusy prawem powszechnej a niewytłumaczalnej synchronizacji przyjeżdżały za godzinę i siedemnaście minut. Ponieważ lubię załatwiać pewne sprawy albo przy okazji, albo pod przymusem, uznałem, że to dobry moment, by odwiedzić mieszkanie Henryka Szczupaczydło i odebrać swój garnitur. Powiedziałem Rozalii, że może pójść ze mną albo poczekać na autobus. Rozalia rozejrzała się, spojrzała na mnie, rozejrzała się jeszcze raz i z rozterką malującą się na twarzy wybrała moje towarzystwo.

Ruszyliśmy przez ciemny labirynt ulic, ja poganiany nadzieją, a Rozalia okrzykami młodzieży, tak samo jak ja wrażliwej na kobiece wdzięki, tylko jeszcze bardziej wypośczonej. Nie miałem wątpliwości. Coś ją do mnie ciągnęło. Kurczowo ścisnęła moją rękę i przestała mówić do mnie czubku. Wyobrażnia podsuwała mi fantastyczne sceny z naszym udziałem oraz mieszkaniem Henryka Szczupaczydło jako wyszukaną, choć nieco perwersyjną scenerią. Martwiło mnie tylko jedno: naprawdę zaczynałem lubić tę dziewczynę, a to nigdy nie ułatwiało mi sprawy.

Droga do mieszkania Henryka Szczupaczydło nie zmieniła się, od kiedy ją opisałem. Oszczędzając więc zbędnych powtórek, od razu przejdę do sedna, by tym samym nagrodzić czytelników, którzy dotarli ze mną aż tutaj. Otworzyłem drzwi kopniakiem

(czwartym czy piątym z kolei) i znaleźliśmy się w mieszkaniu śp. komucha. Pomyślałem, że oddam inicjatywę Rozalii i pozwolę jej na wszystko. Czekałem na to na schodach, czekałem w przedpokoju, czekałem w łazience, gdzie pobieżnie zmywaliśmy ślady ucieczki, i w salonie obok dzieł wybitnych marksistów, gdzie ja szukałem, a Rozalia nawet nie udawała, że szuka mojego garnituru. Wtedy właśnie doszedłem do wniosku, że Rozalia jest tradycjonalistką i woli facetów z inicjatywą. Ruchem nie tyle zręcznym, co wykorzystującym efekt zaskoczenia wepchnąłem ją do sypialni i przyparłem do muru obok gdańskiej szafy. Gestem podpatrzonym na polskich filmach wczepiłem się w jej włosy jak nietoperz i szarpnąłem głowę do tyłu, aż gruchnęła potylicą o ścianę, z której ze zmysłowym szmerem posypały się na nas kawałki złuszczonej farby. Przygważdżając jej ciało swoim, warknąłem:

- Powiedz, że czujesz to samo co ja...

Rozalia krzyknęła. Szczerze mówiąc, oczekiwałem, że da mi w twarz. Ta dziewczyna była dla mnie źródłem ciągłych zaskoczeń - jeszcze wczoraj tak oschła, teraz zaczęła wyrywać mi włosy z głowy, jęcząc namiętnie. A więc to działa, pomyślałem z niejakim przerażeniem. Jeśli tak wygląda ekstaza, to przysła trochę za wcześnie, ale nie byłem z tych, co wybrzydzą w takiej chwili. Rzadko miałem okazję uprawiać seks podczas zlecenia, może dlatego, że zawsze chodziłem na nie sam albo z wujem Dzierżyszczawem. Wspomnienie wuja sprawiło, że mocniej ścisnąłem Rozalię.

- Nogi, nogi!... - wydyszała Rozalia.

- Twoje nogi są super, dziewczynko - szeptałem, próbując przesunąć jej dłonie na bardziej niedopieczzone części mojego ciała i jednocześnie zejść z akcją do parteru. - Cała jesteś super!

- Nogi - ryknęła i nareszcie walnęła mnie w twarz. - Tam, pod łóżkiem!

Odwrociłem się i rzeczywiście - pod łóżkiem leżały nogi. Rozalia przestała wrzeszczeć i dostała czkawki.

Tym razem Rozalia nie złapała mnie za rękę i nie pociągnęła do jakiegoś ciemnego kąta, w którym moglibyśmy przeczekać wizytę inspektora Strzały. Wątpię, czy w mieszkaniu starego komucha były interesujące schowki, a jeśli nawet, to na razie nie mieliśmy potrzeby z nich korzystać. W nocnej ciszy, zakłócaney jedynie odgłosami bójki w sąsiednim mieszkaniu, nie rozległo się ani wycie syren, ani inne odgłosy nadciągania lotnej brygady inspektora. Rozalia zasłaniała usta dłonią. Ja stałem z przekreśloną boleśnie głową i obserwowałem nogi w lakierkach. Wykorzystałem ten sprzyjający moment na refleksję, co zrobiłem w swoim życiu nie tak, gdzie popełniłem błąd, że patrzę w czyjeś zimne stopy wystające spod niesłanego od dwudziestu lat łóżka, podczas gdy seks, alkohol, hazard i nielegalne używki nadają sens innym, szczęśliwszym od mojej egzystencjom.

- To trochę zbyt wiele jak na zbieg okoliczności - wyszeptała Rozalia, przerywając wypowiedź czkawką.

- Może ten trup już leżał, kiedy byliśmy tu ostatnio.

- Kto to może być?

- Raczej nie Henryk Szczupaczydło. Chyba że sknera Palmister zaoszczędził na pochówku.

- Musisz go wyciągnąć. Potem obszukamy mu kieszenie.

- Jasne. Zostawmy na nim trochę materiału genetycznego - mruknąłem, ale posłusznie złapałem za nogi i wyciągnąłem je spod łóżka razem z całą resztą.

Oczom naszym ukazał się Longin Palmister, owinięty kotami z kurzu jak kokonem, lecz niewątpliwie żywy. Świadczyły o tym próby ponownego ukrycia się pod łóżkiem oraz słowa:

- Gu, gu, gu, maliutki bobo chce spaci.

Rozalia z zawziętością, której się po niej nie spodziewałem, trzepnęła Palmistrę poduszką, tak że od razu pękła. Palmister uspokoił się szybko, przymknął oczy, skulił się w pozycji embrionalnej i zaczął ssać palec. Sielskość tej sceny uzupełniało latające wokół pierze i kurz ścielący się u naszych stóp jak królicze futerko. Nie wiedziałem, czy zostawić Palmistrę w tym

pożałowania godnym stanie, czy raczej zawiadomić odpowiednie służby, by się nim zajęły. Rozalia nie pomagała mi podjąć decyzji. Jej wzrok ciążył niebezpiecznie ku gipsowemu popiersiu Lenina, które za chwilę mogło zastąpić rozdartą poduszkę. Spytałem więc pośpiesznie i niemal czule:

- Halo, panie Longinie, co się z panem dzieje?

Jeśli twarz może wyrażać jednocześnie rozczarowanie i ulgę, to właśnie oba te uczucia wyrażała twarz Palmistra. Nasz wiarołomny zleceniodawca natychmiast oprzytomniał, po czym wstał i zaczął się spokojnie otrzępywać.

- Co ma znaczyć to przedstawienie? - warknęła Rozalia.

- Tylko nie tym tonem, dobrze? Przyjechałem zabrać stąd parę drobiazgów - wyjaśnił z godnością Palmister. - Kiedy weszliście, pomyślałem, że to albo morderca, albo policja. Ukryłem się, a potem udawałem, że postradałem zmysły.

- Zaraz po tym, kiedy skończył pan rozmawiać z Rozalią, do domu Haliny wpadła policja. Wiedzieli, kogo mają szukać - powiedziałem.

- Zapewne w prostocie swego rozumowania sądzicie, że was sypanąłem. Gdybym zamordował Halinę, ukradł jej powieść, a potem wysłał was po to, żebyście wpadli w łapy policji, sam ściągnąłbym na siebie podejrzenia, gdyż nie sądzę, aby zawodowa lojalność skłoniła was do milczenia. Taki plan mógłby powieść się tylko wtedy, gdybym przygotował go z premedytacją, występując przed wami pod fałszywym nazwiskiem i w przebraniu.

Po tych słowach Palmister plasnął się w czoło i wykrzyknął:

- Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?! Do jasnej, ciężkiej cholery - jęknął, plasnawszy się po raz drugi - dlaczego musiałem postąpić uczciwie właśnie z wami? Co za diabeł podszeptał mi w chwili słabości: „Ta gówniana firma weźmie twoją gównianą robotę za gówniane pieniądze.”? Gdybym złożył swoją delikatną sprawę w profesjonalne ręce, na pewno wszystko potoczyłoby się inaczej...

Zarzuty te nie były sprzeczne z moim poczuciem rzeczywistości

i umiłowaniu prawdy, nie mogę też powiedzieć, bym słyszał je po raz pierwszy. Nie znaczy to jednak, by nie raniły mojego zawodowego poczucia godności. Ta firma była jedyną pozytywną wartością w moim życiu. Doskonale pamiętam, jak wuj Dzierżyszczaw wystartował z kapitałem początkowym stu siedemnastu teczek, wyniesionym z pożarów, w których spłonął najcenniejszy dorobek jego poprzedniej firmy, i jak mozolnie, za pomocą szantażu, pomówień, donosów, prowokacji i tym podobnych działań operacyjnych zdobył niepodważalną pozycję na rynku prywatnych agencji detektywistycznych, a dokładnie w tej niszy, gdzie najniższemu honorarium odpowiada najgorsza usługa. Pamiętam naszą pierwszą poważną sprawę, w której wuj, by złapać pedofila, wystawił mnie na wabia, i pamiętam, jak się spóźnił, ponieważ pomylił dworce... Asystowałem i współpracowałem przy wielu większych i mniejszych dochodzeniach i włożyłem w nie kupę wysiłku, który, zainwestowany gdzie indziej, mógłby mi przynieść pieniądze, zaszczyty, sławę, a może nawet maturę. Dlatego za każdym razem, kiedy ktoś szargał dobre imię firmy, czułem się osobiście dotknięty, choćby miał ku temu dobre powody.

- Zaraz, zaraz, panie Longinie - przerwałem. - Być może pod wieloma względami ma pan słuszność. Nie mogę się jednak zgodzić, by mówił pan źle o całej naszej agencji i na podstawie jednostkowej, pechowej i, trudno ukryć, nieudanej akcji czynił nieuprawnione generalizacje co do wszystkich naszych pracowników i wszystkich prowadzonych przez nas spraw, zarówno w przeszłości, w przyszłości, jak i w teraźniejszości, choć niestety, niewiele się pan myli... Nie pozwolę także, aby pan wypowiadał uwłaczające opinie na temat Rozalii w jej obecności. Jeśli więc jest pan człowiekiem dobrze wychowanym i przyzwoitym, a na chwilę założmy, że ta ryzykowna hipoteza ma jakiś uzasadnienie, to proszę tu stanąć i przeprosić kobietę, którą pan obraził...

Zamiast odpowiedzi ze strony Palmistra poczułem silny ból w stopie, w którą Rozalia wcisnęła mi obcas (już po raz drugi w

ciągu naszej znajomości), sycząc przy tym z wściekłością:

- Sama potrafisz się o siebie zatroszczyć, harcerzyku.

- Żądam zwrotu zaliczki - krzyknął Palmister.

- Żadnej nam pan nie dał - przypomniała Rozalia.

- W takim razie zadowolę się zniszczeniem wam reputacji - rzekł nieco naiwnie.

- Chciałbym tylko lojalnie uprzedzić, że jeśli pan z nami zadrze, to następnego dnia, najdalej za dwa, obudzi się pan w kałuży błota obok świni, psa i swojej matki, jak mawia mój szef i mentor, Aleksander Dzierżyszczaw. A teraz pozwoli pan, że zabiorę swój garnitur i Rozalię i pana pożegnaj. Rozalitto, idziemy.

Rozalia nie zdążyła odpowiedzieć, ale widząc wyraz jej twarzy, zrozumiałem, że nawet jeśli opuści razem ze mną mieszkanie Henryka Szczupaczydło, to dziś w nocy raczej nie wyląduje w moim łóżku.

- Zaraz, kurde - zdenerwował się Palmister. - Co tu jest grane? To ja wam powiem, kiedy macie odejść. Spieprzyliście sprawę i myślicie, że wam odpuszczę?

- Czego pan właściwie chce? - spytała Rozalia mocno zmęczonym głosem.

- Jak to czego?! Żebyście odnaleźli maszynopis, gamonie!

- A gdzie mamy go szukać, jeśli łaska? - spytałem.

- To chyba oczywiste: u Harcownika - odparł. - Mój Boże, gdybym nie był takim tchórzem, jakimi wy jesteście głabami, sam bym go zdobył!

- Skąd pan wie, że to Harcownik zwędził książkę? Może dowiedział się o niej ktoś inny? Może nawet od pana?

- Wykluczone - stanowczo oświadczył Palmister. - Kłamię nawykowo, więc nie ma możliwości, żebym się komukolwiek wygadał. Nie piszę pamiętników, nie chodzę do psychiatry, nie mówię przez sen. Z tego, co wiem, tylko jedna osoba oprócz nas wiedziała o książce. To właśnie Sławomir Harcownik.

- Dlaczego - podjąłem, jak zwykle osaczony przez idiotyczne wątpliwości - jest pan tak przekonany o tym, że Halina nie

przedstawiła swojej książki innym wydawcom?

- Mój drogi przyjacielu - Palmister uśmiechnął się wyrozumiale - brak znajomości tak podłej literatury, jaką tworzy Halina, przynosiłby ci zaszczyt, gdyby nie to, że rozciąga się na całą literaturę, a może i na znajomość słowa pisanego. Żaden przyzwoity wydawca, który zobaczyłby nazwisko Haliny na maszynopisie, z pewnością by do niego nie zajrzał.

- A gdyby - nie dawałem za wygraną - Halina nie podpisała się swoim nazwiskiem?

- Wówczas może by zajrzał - zgodził się Palmister. - Za rok lub dwa, albo za dziesięć lat. Gdy człowiek ma dwadzieścia lat, jak ty lub twoja uroczą przyjaciółką Rozalia, uważa, że to niewiele. Ale gdy biologiczny zegar coraz głośniejsze odlicza godziny, człowiek zaczyna się histerycznie spieszyć, przerażony, że jego czas przeminie, a wraz z nim on... Jakby miało to jakieś znaczenie.

- A Harcownik? - spytałem. - Czy nie jest gadułą? Może to on powiedział komuś o książce?

- Wątpię - odparł powściągliwie Palmister.

- Skąd ta pewność?

- Bo znam dobrze Harcownika. Lepiej, niżbym chciał, niestety - powiedział Palmister i nieoczekiwanie wpadł w nostalgiczny nastrój. - Nasze związki - zaczął - związki między mną, Harcownikiem i Haliną, były kiedyś bardzo bliskie... Byliśmy przyjaciółmi, działaliśmy razem w podziemiu, wydawaliśmy książki w drugim obiegu. Bawiliśmy się z władzą w ciuciubabkę, w chowanego, w kotka i myszkę... Jeden z nas dwóch był podobno kapusiem, ale dziś już nie pamiętam który. Zresztą, czy to ważne? Ja wolę wspominać piękno i heroizm tamtych lat i naszą walkę o to, byście wy, młodzi, nigdy ich nie poznali. - Tu Palmister westchnął i otarł łzę, która spłynęła mu po twarzy, złościąc w niej błotnistą bruzdę. - Rozdzieliła nas dopiero gospodarka rynkowa. Brat stanął wtedy przeciw bratu, przyjaciel przeciw przyjacielowi. Oszukiwaliśmy się nawzajem, jak mogliśmy. Mimo to ciężko się nam było razem utrzymać. Nasze drogi się rozeszły. Harcownik zawsze był spokojnym,

podejrzanie spokojnym facetem, wręcz samotnikiem, ale miewał też napady prawdziwego szaleństwa. Upijał się wówczas, ale nie poprzestawał, jak inni, na ciągnących się godzinami rozmowach, których rano nikt nie pamięta. Jego nosiło.

Znikał na całe tygodnie. Wsiadał do przypadkowych pociągów, lądował na drugim końcu Polski, zatrudniał się jako grabarz albo pomocnik kowala, pił z nieznajomymi, kupował kwiaty obcym babom i cytował poetów. Kobiety go uwielbiały - szaleństwo bezbłędnie je przyciąga. Myślę, że w jednym z takich stanów poznała go i poślubiła Halina. Cóż za rozczarowanie musiała przeżyć, kiedy wytrzeźwia! A on! Ha-ha-ha!... - Palmister zdrowo się pośmiał, po czym otarł łzy radości i wrócił do przerwanej opowieści. - Z czasem każdy się jednak uspokaja: Harcownika przygniotła codzienność. Kiedy wszedł w ten interes z romansami, kiedy przyjaciele i znajomi przestali poznawać go na ulicy, popadał w coraz większą moralnointelektualną degrengoladę, nie bogacąc się przy tym aż tak bardzo, jak można by oczekiwać po bezwstyдной, wulgarnej, ogłupiającej, taniej, bezwartościowej, płytkiej, niskiej, pustej, prymitywnej, grafomańskiej, schlebającej najgorszym gustom, kłamliwej, kosmopolitycznej, ahistorycznej, fałszywej psychologicznie, powielającej ograne sztuczki, schematycznej, nieżyciowej, trywialnej i banalnej komercji...

Dalszego ciągu już nie słyszałem. Odpląnąłem w sen, zakleszczony pomiędzy sprężynami starego fotela. Wydawało mi się, że Rozalia wychodzi do sąsiedniego pokoju, a za nią podąża Palmister. Czy to jednak z powodu zmęczenia, czy zakleszczenia, czy może dlatego, że wszystko to tylko mi się śniło, nie zareagowałem.

7. LOS AURELII, LOS ANIELI

Kiedy się obudziłem, skrawek nieba nad dachami przypominał brudną szmatę, a w oddali jakby dla kontrastu rozlegały się okrzyki i frenetyczne brawa. Przeszedłem przez senne mieszkanie, teraz, w ponurym świetle dnia, jeszcze bardziej przygnębiające niż nocą. Rozalii nie było. Brawa rozlegały się coraz wyraźniej, aż wreszcie odkryłem, że dochodzą z jaskini marksizmu-leninizmu. Palmister siedział tam przed telewizorem z zadumaną miną i oglądał Anioł Pański, mieliśmy bowiem niedzielę.

Z szacunkiem usiadłem na brzegu kanapy, wlepiłem wzrok w świątobliwego męża na ekranie i próbowałem skupić całe jestestwo na jego słowach tak silnie, aż puściłem bąka, głośnego i buntowniczego niczym wystrzał z Aurory.

Palmister ocknął się i zwrócił ku mnie uduchowione oblicze.

- W Warszawie tylko telewizja broni człowieka przed depresją - rzekł. - Niestety, mam tu tylko dwa kanały.

Przyszło mi do głowy, że taki człowiek jak ty na pewno umiałby coś z tym zrobić.

- Mógłbym się podpiąć do kablówki - odparłem - gdyby w tym domu była kablówka.

- No tak! Zapomniałem, że ci biedacy nie mają normalnej telewizji! Na pewno nie chodzą też do teatru ani do kościoła. Myślą tylko o zaspokojeniu najprymitywniejszych potrzeb.

- Chce pan powiedzieć, że biedacy to świny i dzikusy?

- To brutalna prawda, synu. Dużo się dla nich robi, ale to jak podlewanie Sahary. Oczywiście, niektórzy z nas w ten sposób poprawiają sobie samopoczucie. Sam stoję na czele takiego stowarzyszenia... Ale nie mówmy już o tym.

Nieoczekiwanie spojrział na mnie żywiej, prawie z sympatią.

- Wiesz, Robalu? Lubię cię. Przy tobie mogę być sobą. To pewnie dlatego, że ty jesteś nikim.

Puszczam takie teksty mimo uszu. Kwestia przyzwyczajenia.

- Żyję na wysokich obrotach - ciągnął Palmister. - Muszę się wciąż pilnować. Ciągłe wśród ludzi, ciągle na świeczniku. A przecież człowiek ma czasem ochotę zdjąć elegancki garnitur i przebrać się w damską halkę. Mam rację?

- Pewnie, pewnie - mruknąłem oględnie, nie wiedząc, czy to przenośnia, czy może doszły do głosu jego perwersyjne pragnienia. - A co z Rozalią? Wyszła? Wróci? - bąknąłem, żeby zmienić temat.

- Nie wróci. Powiedziała, że masz być jutro o wpół do dziesiątej przed domem Harcownika. Dam ci jego adres.

- Wstał i przez chwilę rozglądał się w poszukiwaniu kawałka papieru. W końcu wyrwał kartkę z „Manifestu komunistycznego” i chichocząc zapisał na niej adres.

- Czy wiesz, synu, że znam fragmenty na pamięć? Takie gównie czasem się do człowieka przyczepi... Boję się, że umierając, zamiast „Zdrowaś Mario” wyszepczę, że „Widmo krąży...”. Miałem w rodzinie kupę komunistów. Zwłaszcza moja matka... Gdybyś wiedział, jakim facetom musiałem mówić wujku... Tak, tak... Każda rodzina ma trupa w szafie. Ale nie mówmy już o tym.

- A propos trupa... Myślałem o Halinie Mentiroso... choć to oczywiście nie należy do moich obowiązków... Znał ją pan dobrze, prawda?

- Dobrze jak dobrze - zmarszczył się Palmister. - Co ci chodzi po głowie, dzieciaku?

- Mój ojciec opuścił moją mamusię, zanim pojawiłem się na świecie. Halina wspominała, że jako młoda dziewczyna знаła faceta bardzo podobnego do mnie. Był jej sąsiadem. Oczywiście, byłem trochę wstawiony. Musiałem ją zmiękczyć i sam trochę wypilem. Koniec końców nie pamiętam, czy chodziło o Szczecin, czy może o Lublin, czy raczej o Koszalin...

- Gucin, Robalu. Gucin - uśmiechnął się Palmister. - Kiedy

poznałem Halinę, była młodym, uroczym stworzeniem, które ledwo zdało maturę. Mówiąc ledwo, mam na myśli oba znaczenia tego słowa - dopiero i kiepsko. Niechętnie mówiła o tym, co działo się z nią wcześniej, ale z całą pewnością nie ruszała w świat dalej niż dwadzieścia kilometrów od Warszawy.

- Jeszcze jedno. Czy pamięta pan, jakie zdjęcie stało w ramce na jej biurku?

- Jej córki Anetki, oczywiście. Co to, jakiś quiz?

- Ta dziewczyna wpadła mi w oko. Palmister przyjrzał mi się z ojcowską troską.

- Jesteś bardzo dziwny, chłopcze - powiedział.

Schowałem do kieszeni kartkę z „Manifestu”, w przedpokoju znów samodzielnie zaopatrzyłem się w zaliczkę i wyszedłem na miasto. Palmister gadał, kiedy zamykałem drzwi, ale nie zadałem sobie trudu, żeby go pożegnać. Wiedziałem, że moja nieobecność nie będzie mu przeszkadzać. Byłem przecież nikim.

Na Poczcie Głównej przejrzałem książkę telefoniczną województwa mazowieckiego i po chwili odnalazłem numer jedynych Sopolkundelów, którzy posiadali telefon w mieście Gucin. Kobieta, która odebrała, cuchnęła smażoną rybą, miała tłuste strąki i sto czterdzieści kilo żywej wagi. Tak przynajmniej pomyślałem, kiedy usłyszałem w słuchawce sapanie, a potem jej zdarty głos.

- Taaa?

- Nazywam się Henryk Szczupaczydło. Jestem dziennikarzem „Wszawych Sekretów” - powiedziałem. - Czy pani jest krewną Haliny Mentiroso?

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Kiedy już myślałem, że wybrałem sobie zły życiorys, usłyszałem:

- A skąd pan wie?

- Mamy swoje metody - powiedziałem. - Piszę wspominkowy artykuł o Halinie Mentiroso i chciałbym się dowiedzieć jak najwięcej o jej młodych latach...

- A pewnie, pewnie! - przerwała radośnie. - Dobrześ pan trafił! Niejedno mogę o niej powiedzieć! Zdzira! Flądra! Puszczalska! I w dodatku udawała, że nas nie zna. Myślałby kto, kurde, że jest nie wiadomo kim!

- Pani jest jej bliską krewną?

- No, nie... - zmarkotniała. - To mój mąż. Byli rodzeństwem. Stryjecznym.

- Ale znała ją pani dobrze?

- A jakże! Mąż sporo o niej opowiadał.

- W takim razie chętnie porozmawiałbym z mężem.

- Dobrze, dobrze - powiedziała kobieta, jakby nad czymś intensywnie myślała. - Tylko że on nie żyje. Skręt kiszek. Tragiczna historia...

- A to niefart - przyznałem zawiedziony. - A może jest ktoś, kto ją dobrze pamięta? Jakaś bliższa rodzina, sąsiedzi?

- A pewnie! - ucieszyła się znowu - Jest przecież mamuśka, Aniela Sopolkundel! Koniecznie musi ją pan odwiedzić. Mieszka na... - Podała adres, który błyskawicznie zapisałem na dłoni. - I niech pan potem zadzwoni do mnie. Na pewno będę mogła dopowiedzieć dużo ciekawych rzeczy. Aha. Jeszcze jedno. Niech pan nie zapomni o butelce!

Zanim udałem się na Dworzec Gdański, wpadłem jeszcze do domu. Czuję, że to będzie długa podróż i że przyda mi się coś do czytania. Nie pomyliłem się, bo pociąg stanął, jeszcze zanim zjechaliśmy z Mostu Gdańskiego.

Wyciągnąłem z kieszeni książkę, którą dla komfortu psychicznego opakowałem w gazetowy papier, i przeczytałem: „Poszukaj lepszego miejsca. Ja nikogo nie potrzebuję”.

Po tych słowach mężczyzna zamknął drzwi do domu, a Aurelia została na ganku. Zapadał mrok i zerwał się zimny wiatr od północy.

Kiedy zobaczył ją pod drzwiami następnego ranka, była zgłodniała i przemarznięta, ale jeszcze bardziej zdeterminowana.

Mimo że nie miał zamiaru jej wpuszczać, zlitował się i przyniósł jej trochę ciepłego mleka. Aurelia wypła, podziękowała i nie ruszyła się z miejsca. Kiedy następnego ranka powtórzyło się to samo, mężczyzna skapitulował: dał Aurelii końską derkę, wskazał komórkę, w której mogła spać, i pozwolił jej zostać na próbę.

Miał nadzieję, że wkrótce sama się przekona, jak źle trafiła.

Odtąd Aurelia przykładowo szorowała podłogi, myła okna i stoły, gotowała posiłki i zmywała gary, cerowała ubrania i prała je. Życie płynęło jej między studnią a kuchnią, bez jednego dobrego słowa ze strony gospodarza, mruka, odszczepieńca i zwyrodnialca imieniem Edmund, tak złego, jak tylko zły może być człowiek, który je mięso w piątek.

W końcu jednak jej cierpliwość, sumienność, skromność i talenty kulinarne rozmiękczyły serce Edmunda. Stosunki między nimi, początkowo wrogie i nieufne, zaczęły się coraz bardziej ocieplać, chociaż nadal z rzadka zamieniali ze sobą jakieś słowa, a te, które zamieniali, dotyczyły tylko spraw konkretnych i nieodzownych.

Lecz ich wzrok się niekiedy spotykał i jej spojrzenie jakby ciepłem Edmunda przenikało, a miły głos, śpiewający jakieś ludowe piosenki, wywoływał bezwiedny uśmiech na twarzy Edmunda, aż pewnego dnia ich dłonie zetknęły się przypadkowo i choć Edmund nie zdradził się najmniejszym gestem, przeżył wstrząs, uświadamiając sobie, od jak dawna nie czuł ludzkiego ciepła i jak bardzo go potrzebował.

Nieoczekiwanie Edmund, który przyzwyczał się już do towarzystwa swej skromnej pomocy domowej i nawet jak coś więcej traktować ją zaczął, nie tylko jako pomoc domową, ale wręcz człowieka, i nawet dał jej drugą derkę i pozwolił jadać w domu, odkrył, że ta cicha istota wymyka się dokądś, kiedy zapadnie zmrok. Początkowo zresztą przypuszczał, że to ktoś przychodzi do niej, ponieważ widywana przez niego postać nosiła męski strój, co wtedy jeszcze o czymś świadczyło. Nie w tym jednak wypadku - była to bowiem przebrana Aurelia.

Wyjaśnienie było proste. Aurelia miała gdzieś w pobliżu kochanka. Dlatego tak się uparła, żeby tu zamieszkać i bez szemrania znosić wszelkie upokorzenia. Odkrycie to potwierdziło najgorsze przypuszczenia Edmunda dotyczące podwójnej natury kobiet. To właśnie ta natura zamieniła w samotnię jego dom, który kiedyś miał przepelniać głos ukochanej kobiety, rozbrzmiewający wśród szczebiotu dziecięcych głosików, szczekania psów, miauczenia kotów, gdakania kur, gęgania gęsi, chrumkania świń, muczenia krów, rżenia koni, przekleństw parobków i innych sielskich odgłosów.

Ale ona, ta, której głos miał rozbrzmiewać, wybrała innego, zwodząc Edmunda przez dłuższy czas, zanim się zorientował, że gra rolę największego głupca pod słońcem. Taka była bowiem męska natura. Naiwna.

Mijały kolejne pory roku i kolejne strony, podczas których czytelnik, oplatany siecią pretensjonalnych zdań, zdumiewających ciągów przydawek, odkrywczych frazeologizmów, dowiadywał się z wypiekami na twarzy, o jakich to częściach ciała Aurelii marzył Edmund w bezsenne noce po tym, jak ujawniły mu się za dnia (kostka, nadgarstek), jakimi czułościami obdarzał ją w myślach i jak ostre słowa wypowiadał na jawie. Kochał ją bowiem tak, jak kochać potrafi jedynie prawdziwy twardziel, zraniony przez niegodną kobietę. Aurelia patrzyła na Edmunda oczami rannej sarny, od których robiło mu się słabo, ale to, o czym myślała, zachowywała dla siebie.

Nieoczekiwanie akcja, która wlokła się jak pociąg do Gucina, uległa przyspieszeniu. Oto pewnego dnia Edmund stanął w obronie jakiejś dziewczyny, a jej napastnicy - niejaki Lucjan, syn miejscowego bogacza, i jego przyjaciel - tak go przy tym poturbowali, że ledwie uszedł z życiem. Aurelia sprowadziła lekarza, który nie zamierzał trwonić swoich umiejętności na przegraną sprawę. Dziewczyna nie poddała się jednak i włożyła całą swą domorosłą wiedzę, trud i serce w przywrócenie Edmunda do zdrowia. (Dalej następował wyczerpujący opis znachorskich praktyk, który pominę ze względu na ich

niepedagogiczny charakter. W społeczeństwie, które dopiero wyzwoliło się z zabobonu, powoli oswaja się z mydłem i wciąż zamawia msze przed wizytą u dentysty, nie należy budzić uśpionych demonów ludowej medycyny).

Minęło dalszych kilka dni oraz niepomiarne więcej stron, wypełnionych relacjami o zabiegach Aurelii, gdy dom Edmunda nawiedził ojciec owego Lucjana, oskarżając naszego bohatera o zamordowanie swojego synajedynaka. Miał ze sobą obstawę i broń odpowiednią do tego, by własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość, ale stan Edmunda okazał się jego najlepszą obroną. Nie mógł pod osłoną nocy przemierzyć kilku kilometrów i zadać Lucjanowi ciosu nożem w pierś w jego własnym wychodku, choć gdyby był w pełni sił, mógłby to zrobić niepostrzeżenie, ich ziemie graniczyły bowiem ze sobą.

Edmund wracał powoli do siebie, ale wciąż nie mógł zajmować się gospodarstwem. Pewnego dnia Aurelia sprowadziła więc młodego i niewątpliwie przystojnego parobka. W jednej chwili Edmund zrozumiał wszystko. Oto poznał jej tajemniczego kochanka. Myśl o tym, że robią to pod dachem jego własnej obory, stodoły i stajni, doprowadziła go do szału. Wykrzyczał jej wszystko, co leżało mu na sercu. Następnego dnia Aurelia znikła.

A parobek został.

Nie był to jednak początek obiecującego romansu. Edmund przycisnął do muru parobka w znaczeniu jak najbardziej metaforycznym. Ten z miejsca wyznał, że uważa Aurelię za pomyloną. Pomieszało się jej w głowie, kiedy jej rodzina zginęła w pożarze. Podobno podpalaczem był ów Lucjan, a jego ojciec zagarnął ich ziemie za rzekome długi.

Cała prawda stanęła otworem przed naszym bohaterem. Aurelia przybyła do niego, żeby się zemścić na Lucjanie, i znikła, kiedy dopięła swego. Edmund zostawia parobka na gospodarstwie, a sam zaczyna szukać Aurelii. I kiedy ją wreszcie odnajduje, gotową do wstąpienia do zamkniętego zakonu, w którym zamierza odpokutować za swój grzech, oświadcza

dziewczynie, że chce wziąć go na swoje sumienie, i prosi, by została jego żoną. Aurelia mówi „tak”. Pociąg dociera do Gucina. Wszystko kończy się szczęśliwie.

Wysiadłem z pociągu i wrzuciłem książkę do kosza jak pustą butelkę. Kładka, która prowadziła do miasta, mogłaby grać u Hitchcocka. Znalazłem się na błotnistym placu, ograniczonym z jednej strony przez blaszany barak, który pełnił rolę dworca, z drugiej zaś przez skład węgla. Z trzeciej znajdował się postój taksówek. Jeden z kierowców wyjaśnił mi, że przed wojną stał w tym miejscu reprezentacyjny, nowoczesny dworzec, był skwer i fontanna, a potem przyszli Niemcy i wszystko zburzyli. Historia była tu wciąż niezabliźnioną raną. Życząc mu rychłej odbudowy, podażyłem na ulicę Księdza Prałata, w kierunku, który mi wskazał.

Ominąłem dwudziestowieczny rynek oraz blokowiska z teje epoki i zagłębiłem się w przyjazną człowiekowi dzielnicę domów jednorodzinnych. Były to solidne, małomiasteczkowe budynki, przykłady najpowszechniejszych mazowieckich stylów z ostatnich kilkudziesięciu lat, ani gargamele, ani modernistyczne wille, nic zadziwiającego w żadną stronę - praktyczne, przyzwoite i przeciętne. Jedne się wykruszały, inne powstawały na ich miejsce - normalna wymiana pokoleń.

Dom mamuśki Sopolkundel wyglądał w tym otoczeniu jak zabytek w stanie agonialnym. Był to łatany papą drewniany domek, zapadający się w grunt aż po framugi okien, na których warstwa wiekowego brudu pełniła rolę izolatora. Otaczający go spletały, sosnowy zagajnik, przez który stopa ludzka nie przedarła się chyba od czasów książąt mazowieckich, i wiszący nisko dym z kominów tworzyły sugestywny klimat środkowoeuropejskiego thrillera.

Pchnąłem furtkę, a potem drzwi do mieszkania. Ustępowały bez oporu, choć z takim zgrzytaniem, że obudziłyby umarłego. Obszedłem dom, cuchnący wilgocią i kotami. Stukałem i

wołałem, na próżno. Skrajne doznania węchowe i wzrokowe dowodziły aż nazbyt jednoznacznie, że rudera ta od dawna już nie jest zamieszкана. W końcu dotarłem do kuchni i tu odkryłem, że jednak się mylę. Kuchnia nie wykraczała poziomem higieny i estetyki poza standard domu, nosiła jednak wyraźne ślady ludzkiej obecności. Kafłowa kuchenka była jeszcze ciepła. Pod ścianą, na węglarce, stało wiadro z wodą. Na wysokim tapczanie wznosił się piętrowy barłóg. Na stole wśród resztek jedzenia uwijał się tęgi szczur. Moja obecność nie bardzo go obeszła. Przysiadłem na jedynym całym krześle i wyciągnąłem butelkę. Pomyślałem, że pokrzępię się trochę, czekając na mamuszkę Soppelkundel, która pewnie, jak co niedziela, modli się o nawrócenie grzeszników, pokój na świecie lub przyspieszonewybory. Stare kobiety biorą sobie do serca takie ogólnoswiatowe problemy. Nie zdążyłem donieść butelki do ust, kiedy z barłogu wychynęła ręka, odebrała mi ją i wlała całą zawartość między szmaty. Po chwili nastąpiło cudowne ożywienie barłogu. Szmaty rozsunęły się i wyjrzała spomiędzy nich skudłacona postać o małych, świdrujących oczkach.

- Czego chcesz, dobry człowieku? - spytała głosem trzeźwym i silnym jak pierwszy krzyk noworodka.

- Informacji - odparłem.

- Kiedyś mężczyźni odwiedzali mnie z całkiem innego powodu - powiedziała zalotnie.

Była duża. Większa ode mnie. Nie bardzo mi się to podobało.

- Gdybym się wykapała, mógłbyś mnie nie poznać - dodała.

- Ma tu pani łazienkę? - zdziwiłem się wymijająco.

- A co ci do tego? - burknęła nagle czujnie. - Od kiedy to opieka społeczna nachodzi ludzi w dzień pański?

- Nie jestem z opieki.

- Tere-fere. Zmiataj, kundlu, bo jak dofasuję, to cię rodzony kierownik nie pozna! - Starucha wyciągnęła spod ręki gruby kij.

- Gdybym był urzędnikiem, nie przyniósłbym przecież butelki! - krzyknąłem, zastaniając się rękami.

- Fakt - przyznała markotnie, opuszczając łagę. - Więc co? Przylazłeś tu dla moich wdzięków, kochasiu?

- Jestem dziennikarzem. Chciałbym pani pomóc. Moja profesja nie wzbudziła zaufania mamuśki Sopelkundel.

- Wiem, że jest pani matką Haliny Mentiroso - ciągnąłem. - To skandal, że sama pławiąc się w luksusie, pozwala pani żyć w takich warunkach.

- A, rozumiem - ucieszyła się. - Chcecie ją obsmarować.

Tak jak myślałem, nic jeszcze nie wiedziała o śmierci Haliny.

- Uważam to za swoją misję - odparłem.

- Nie pomogę ci, synu. Wszystkiego się wyprę. Wcale nie będę z tobą gadać.

- Kocha ją pani jak córkę. To rozumiałe. Ale ona też ma wobec pani jakieś obowiązki.

- I z tej racji zapakuje mnie do jakiejś umieralni dla staruchów. Czysto, sucho, a jak nikt nie patrzy, dają ci kopa w dupę. Wielkie dzięki, tu mi dobrze.

- I niczego pani nie brakuje?

- Każdemu, synu, czegoś brakuje - stwierdziła filozoficznie.

Wiedziałem, czego jej brakuje. Wyciągnąłem to z kieszeni. Mamuśka Sopelkundel oblizwała spragnione usta.

- Załatwimy to w inny sposób... - powiedziałem. -

Opowie mi pani o niej coś ciekawego, a ja zostawię pani butelkę. I może coś jeszcze, jeśli będzie tego warte.

- I Halina nie dowie się, że to ode mnie?

- Przysięgam - przysięgłem z czystym sumieniem.

Aniela Sopelkundel myślała, drapiąc się po głowie wielkim zakrzywionym paluchem.

- Kurde, synu - zaczęła po chwili. - Naprawdę chciałabym ci pomóc. Ale jeśli chodzi o Halinę... To było naprawdę dobre dziecko. Takie ciche, posłuszne, nigdy żadnych kłopotów. Dobrze się uczyła. Nie przypominała nikogo z rodziny. Byłam z niej bardzo dumna. Nigdy bym się nie spodziewała, że właśnie ona...

Mamuśka Sopelkundel zamilkła i zaczęła nerwowo pocierać

oczy.

- Że co? - ponagliłem, wietrząc brudną tajemnicę.

- Że o mnie zapomni.

- Była młoda, ładna... Pewnie miała różne podejrzane sympatie w większej ilości...

- A skąd - burknęła. - Tylko te książki i książki. Pewnie od tego tak się jej poprzestawiało.

Postawiłem na swoją ostatnią szansę i podałem jej przedarte zdjęcie.

- Co to ma być? - spytała, patrząc na mnie nieufnie.

- Jak robię materiał, cały się poświęcam. Wyciągnąłem to ze śmietnika Haliny. No, jak, zna pani to zdjęcie?

- Coś tak jakby - przyznała po dłuższym zastanowieniu.

- I wie pani, kto był na tej oderwanej połówce?

- Tak mi się zdaje, że Halina - powiedziała.

- Halina - powtórzyłem.

Przytaknęła. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle kontaktuje, co do niej mówię.

- Dobrze. Halina - westchnąłem z rezygnacją. - A to kto? Też Halina?

- To Alina - odparła mamuśka. - Moja młodsza.

- Bardzo podobna - udałem, że to odkrycie wcale mnie nie zaskoczyło.

- Ładniejsza. Ale straszna powsinoga. Ani chwili w domu. Pyskata. Co tu dużo gadać, mamy podobny charakterek. I patrz, synu, że teraz to właśnie ona... Ona jedna tu do mnie przychodzi. Ciągłe mnie namawia, żeby się do niej przenieść. Wprawdzie kawalerka, mówi, dziesiąte piętro, mówi, ale będziemy razem, mówi, razem z moim chłopem i jego psami i trojgiem jego dzieci i jego byłą żoną, do której czasem wpada na noc narzeczony. Może kiedyś się skuszę. Jak myślisz, synu? Może polubiłabym takie rodzinne ciepłko?

- Czy Halina utrzymuje kontakt z Aliną? - spytałem.

- A skąd. Zerwała nie tylko ze mną. Zerwała z nami wszystkimi po tym, jak...

Tu Aniela Sopolkundel zawiesiła głos. Zawiesiła też wzrok. Na butelce. W końcu machnęła ręką i powiedziała:

- Wiesz, synu? Odechciało mi się pić.

Zostawiłem jej tę butelkę i wróciłem do Warszawy. Mogłem jeszcze wpaść do drugiej Sopolkundel, tej od telefonu, ale nie ludziłem się, że może mi pomóc. Sama ledwo co kojarzyła, obie Sopolkundlówny zlały się jej w jedną. Gdyby miała do powiedzenia coś sensacyjnego, wypaplałaby to od razu. Zajrzałem więc jeszcze do Ciupy, jednego z moich starych przyjaciół. Wuj mówił o nich „przyjaciule”. Nigdy nie potrafił docenić tego, co niewidzialne dla oczu.

Ciupa miał długi tułów, pałkowate nogi i wystające zęby, ale nie dlatego od dwunastu lat nie wychodził z domu. To świat przychodził do niego. Ciupa miał najnowsze programy, najlepszy sprzęt i dostęp do takich baz danych, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Dzięki temu śledził w sieci ogólnoświatowe spiski. Uważał, że kiedy ludzkość pozna prawdę, stanie się lepsza.

Nie wiem, skąd ten pomysł.

Poprosiłem Ciupę, żeby sprawdził dla mnie kilka faktów z życia Aliny Sopolkundel. Mógł to zrobić w ciągu minuty lub dwóch, ale wiedziałem, że nie ma sensu się przy tym upierać. Czym było jedno morderstwo wobec Armagedonu, który szykowały dla nas korporacje?

8. MAZOWIECKA MASAKRA SZPADLEM

Następnego dnia wyszedłem z domu przed ósmą i długo krążyłem po ulicach. Wszystkie małe księgarnie, w których nie zamontowano bramek przy wejściu, były jeszcze zamknięte. Do tych z bramkami nawet nie zaglądałem. W końcu ją jednak zobaczyłem. Facet rozkładał swój kram pod Dworcem Śródmieście. Kiedy się odwrócił, porwałem „Siostrę Matyldy” i rzuciłem się do ucieczki przez plac Defilad. Nie wiem, czy za mną pogonił, ale uspokoiłem się dopiero w labiryntach pod Dworcem Centralnym. Schowałem książkę za pasek spodni, wyszedłem z przejścia podziemnego i ruszyłem na plac Starynkiewicza, skąd, po jakichś dwunastu minutach, pojechałem autobusem 157 na osiedle Nad Potokiem.

Miałem zamiar zaszyć się gdzieś w pobliżu bloku Harcownika i czytając, poczekać na Rozalię. Ale kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem, że moja współpracowniczka śmiało podążyła pod inkryminowany adres, chociaż ma na to jeszcze godzinę. Oczekałem chwilę i podążyłem za Rozalią. Rzężącą, dychawiczną windą wjechałem jedno piętro za wysoko, zszedłem schodami w dół, skręciłem na lewo, obejrzałem kilka tabliczek na drzwiach, zawróciłem i zacząłem penetrować korytarz na prawo od klatki schodowej. Mieszkanie Harcownika znajdowało się na samym końcu, za drzwiami z tabliczką „H. i S. Harcownikowie”. Przyłożyłem ucho do szpary między drzwiami a futryną. Z odgłosów dochodzących z wnętrza wynikało, że Rozalia prowadzi intensywne przeszukanie. Pomyślałem, że dobrze będzie dać jej nauczkę i trochę ją postraszyć, sięgnąłem więc do kieszeni po wytrych, by ostentacyjnie pogmerać nim w zamku, gdy czyjaś ręka objęła mnie od tyłu i zakryła mi usta. Nie był to bynajmniej uścisk miłosny, co potwierdziła obietnica, którą

wyszeptał napierający na moje pośladki osobnik.

- Jak się ruszysz, skręcę ci kark.

Co miałem robić? Spytać, czy żartuje, czy też mówi poważnie? Czy chce pieniędzy, czy satysfakcji? Czy robi to, bo lubi, czy może odreagowuje problemy z dzieciństwa? Mnóstwo pytań cisnęło mi się na usta, ale ponieważ miałem je zasłonięte, zaakceptowałem swoje nędzne status quo i czekałem na dalszy rozwój sytuacji.

- Odwróć się przyjacielu i spójrz, co trzymam - rzekł osobnik, zdejmując mi rękę z twarzy.

Odwróciłem się i spojrzałem. Nie należałem do tchórzy i z pewnością rzuciłbym się na niego, gdyby nie to, że był nieco szerszy i znacznie wyższy ode mnie, a w prawej ręce trzymał pistolet. Poza tym miał aparycję adonisa, ciuchy za małe o dwa rozmiary i płaszcz, jaki noszą ekshibicjoniści, ale to już w mniejszym stopniu wpłynęło na moją decyzję.

- Poczekamy na twoją przyjaciółkę za załomem korytarza - powiedział.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Dopiero kiedy wskazał lufą kierunek, zrozumiałem, że miał na myśli winkiel.

- Rozumiem, że znaleźliśmy się tu w tym samym celu? - zagailem.

- Bystrzak z ciebie - odparł.

- To ty zamordowałeś Halinę Mentiroso i nasłałeś na nas policję? - spytałem jak najuprzejmiej.

- Zgadłeś. To ja nasłałem na was policję. Chciałem się was pozbyć i nadal mam taki zamiar. Co do Haliny Mentiroso muszę cię jednak rozczarować: kiedy ją znalazłem, już była martwa.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy mu wierzyć, ale ponieważ ciągle trzymał broń, postanowiłem nie dawać wyrazu swoim wątpliwościom.

- Możesz mi zdradzić, dla kogo pracujesz, przyjacielu? - zapytałem.

Facet zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a w końcu rzekł:

- Dla Iwo Maja.



- Co to za śmierdziel?

- To ja, przyjacielu - odparł z nieprzeniknioną twarzą.

W ten jakże niefortunny sposób nasza konwersacja dobiegła końca. Nie minęło kolejnych dziesięć minut, gdy drzwi mieszkania Sławomira Harcownika otworzyły się, a po chwili trzasnęły z takim impetem, że architektoniczna spójność budynku stanęła pod znakiem zapytania. Iwo Maj szturchnął mnie łufą w nerki, sugerując, byśmy wynurzyli się zza rogu. Na nasz widok Rozalia zasłoniła usta dłonią. Była tak przerażona, jakbym już był martwy. Bardzo mnie to wzruszyło.

- Teraz dokonamy wymiany, dziewczynko - powiedział. - Ja puszcze twojego przyjaciela, a ty dasz mi te karteczki, które trzymasz w ręczce.

- Żartujesz? - prychnęła Rozalia. - Zatrzymaj go, przystojniaku

- Nie jest w moim typie. - Przystojny pchnął mnie na ścianę i skierował łufę w stronę Rozalii. - Dostyc zabawy, rusalko. Nie chcesz chyba ginąć za Halinę.

Tym razem Rozalia nie protestowała. Iwo Maj odebrał maszynopis i z trudem wepchnął go za pasek spodni.

- Ja mam w tej sprawie jeszcze coś do zrobienia - rzekł z widocznym zadowoleniem. - A wy pojedziecie na zasłużony odpoczynek.

Włożył pistolet do kieszeni płaszcza i demonstrując, że w każdej chwili może zrobić z niego użytek, uściślił:

- Schodzimy grzecznie po schodach, a potem pakujemy się do poloneza traka. To taki samochód, który ma z przodu tylko dwa siedzenia, ale za to z tyłu pełno miejsc leżących i kucających. Kiedy wam otworzę, wejdziecie tam grzecznie. Tylko bez żadnych głupstw. Brzydzę się przemocą.

Zeszliśmy po schodach i wyszliśmy na zewnątrz. Rozalia szepnęła, że możemy spróbować uciec (ona w lewo, ja w prawo), ale odparłem, że jest mi wszystko jedno, czy zginę jako pierwszy, czy jako drugi i nie mam zamiaru tego sprawdzać. Przystojny poprosił, żebyśmy nie szeptali, bo to budzi jego nieufność, po czym otworzył tył traka i zaprosił nas do środka.

Zdażyłem zobaczyć napis: „Biuro turystyczne »Tur« - usługi na terenie całego kraju” i adekwatny rysunek koślawego bydłęcia o martyrologicznym wyrazie pyska. Puściłem Rozalię przodem i na czworakach wsunąłem się za nią do ciemnego wnętrza.

Mogliśmy się tylko domyślać, że wyjechaliśmy za miasto i zapuszczamy się w rejony pozbawione ludzkiej aktywności, o której świadczą (jakże wymownie) sygnały karetek pogotowia, klaksony, alarmy i policyjne syreny. Z początku siedzieliśmy skuleni, ale już wkrótce telepaliśmy się po całej pace razem z dwoma czy trzema paczkami z ciężkim asortymentem, najprawdopodobniej materiałami reklamowymi biura turystycznego „Tur”. Zaproponowałem Rozalii, żeby schroniła się w moich ramionach, co zaoszczędziłoby jej kilku siniaków, ale wzgardziła moją propozycją, oświadczając, że jeśli spróbuję ją dotknąć, wsadzi mi obcas w tyłek. Zanim doszedłem do wniosku, że może to być początek fascynującej przygody erotycznej, samochód zatrzymał się, a Iwo Maj wysiadł z szoferki i gdzieś sobie poszedł.

- Pewnie przygotowuje apartament dla nowożeńców - zażartowałem.

Odpowiedziało mi gniewne prychnięcie.

Przystojny wrócił po kilku minutach i otworzył drzwi. Naszym oślepionym dziennym światłem oczom ukazało się zawałone złomem i kurzym guano podwórze oraz nasz nieco zawstydzony porywacz, zza którego wyglądał zaciekawiony staruch. Wokół starucha wił się i szczekał rudy kundel wielkości zwiniętych skarpetek.

- Dziadek Genek jest potwornym śmieciarzem - wyjaśnił Przystojny. - No, wylażcie.

Dziadek Genek ruszył przodem, my podreptaliśmy za nim. Pochód zamykał Iwo Maj, prezentując znacząco wypchany płaszcz. Pies wił się nadal, dopóki dziadek nie wysłał go kopniakiem na sąsiednią posesję. Na wypadek gdyby uraziło nas

jego bestialstwo, uspokoił, że pies przyleci z powrotem za parę minut. Nie wyjaśnił, czy odbędzie się to w podobnym trybie, na zasadzie wymiany sąsiedzkich uprzejmości, a my nie dopytywaliśmy, uznając, że lokalne rozrywki to nie nasza sprawa.

Dotarliśmy do niewielkiego garażu, już otwartego na nasze powitanie. Wnętrze stanowiło sen-marzenie zbieracza złomu. Znajdowały się tam co wartościowsze trofea z dziadkowej kolekcji: włązy do studzienek kanalizacyjnych, znaki drogowe i semafony. Perłą w koronie była stara Warszawa w kolorze milicyjnego błękitu. Na masce leżało pół spleśniałego chleba i wyszczerbiony wek z białym płynem.

- To długo one tu pobędą? - spytał dziadek Genek.

- Tyle, ile trzeba - odrzekł Maj.

- A koza?

- Niech śpi w przedpokoju.

- Zje mi dywan.

- Kupię ci nowy.

- Nie trzeba. Wszystko zawdzięczam własnej pracy - odparł urażony dziadek Genek.

- Więc zwiń ten chodnik i nie zawracaj głowy - zdenerwował się wnuk. - A teraz wybacz, dziadku, muszę ich trochę postraszyć. Idź do kozy. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Powiedz tym srulom, że powyrywam im nogi z dupy, jak będą próbowali uciec - zawołał bojowo dziadek Genek, oddalając się w kierunku skleconej z cegły i pustaków chałupy.

- Myśli, że jesteście szajką pedałów - wyjaśnił Przystojny. - Biedny, stary pierdziel nie rozumie współczesnego świata, więc nie próbujcie mu nic tłumaczyć. Macie tu siedzieć, póki nie zbiorę na was dowodów. Chyba rozumiecie, że uwolnię was dopiero wtedy, kiedy nie będziecie mi już przeszkadzać. Przyjadę jutro wieczorem, żeby podrzucić wam coś do jedzenia. Całuski, misiaczki!

To powiedziawszy, zatrzasnął drzwi garażu, przekręcił klucze w paru kłódkach i zostawił nas samym sobie.

- Warszawa M20 - szepnęła Rozalia z nabożnym podziwem.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że dotyka samochodu, jakby sprawdzała, czy naprawdę istnieje.

- No i co z tego, że M20? - wzruszyłem ramionami.

- To rzadkość, warszawa z pierwszej serii, ignorancie.

Nazwanie mnie ignorantem w tych okolicznościach wydawało mi się trochę niestosowne. Zamiast jednak wdawać się w bezpłodną dyskusję, zacząłem metodyczny przegląd pomieszczenia. Zza samochodu docierało słabe światło. Okazało się, że wysoko pod sufitem znajduje się uwalane wapnem okienko. Wspiąłem się po starej kuchni i balii, zwałem czterdzieści fajerek i sprawdziłem, że jest za małe, żeby przeszło przez nie coś większego od niewyrośniętej kury. Potem zabrałem się do opukiwania ścian i podłogi w tych niewielu miejscach, gdzie miałem do nich dostęp. Szybko stwierdziłem, że garaż zbudowano według norm dla schronu przeciwoatomowego, a jedyne wyjście wiodło przez obite blachą drzwi.

Podczas gdy dokonywałem profesjonalnego rozpoznania sytuacji, które zakończyło się wnioskiem, iż jest ona beznadziejna, Rozalia wsiadła do warszawy i pieściła tapicerkę. Miała wypieki, rozszerzone źrenice i szybki oddech. Raz tylko widziałem podobne podniecenie na twarzy kobiety: tak wyglądała ciotka Dzierżyszczaw, gdy doktor wezwał cały personel szpitala, żeby obejrzał jej kamień nerkowy.

- Te części wyglądają na oryginalne!... - szepnęła olśniona Rozalia.

- Dziadek Genek nie pozwoliłby odebrać sobie nic z tego, co sam zdobył. Lepiej zostaw tego grata i pomyśl, jak przekonać starego, żeby nas wypuścił.

Nim Rozalia zdążyła zareagować, zza drzwi dotarł hałas. Zamarliśmy, nasłuchując.

- Więc mówi pan, panie Genku, że te łobuzy siedzą w środku?
- zapytał męski głos.

- Mój wnuk ich tam zamknął - odparł z dumą dziadek Genek.
- A jak one wyglądają?
- Jak niewiniątka ostatnie, panie dzieju, anibyś się spodziewał: młode obadwa, dziewczyna nawet ładniutka, a chłopak trochę taki głupkowaty na pysku. Widać, że ona tu rządzi.
- Ło Boże! Teraz kobity gorsze są od chłopów! - zawołał głos kobiecy, pełen oburzenia na takie pogwałcenie prawa naturalnego.
- No i do kiedy one będą tam siedzieć?
- Wnuk powiedział, że musi zdobyć dowody i wtedy odda ich policji.
- Policji! - parsknął głos męski. - Pan wie, panie Genku, co się teraz dzieje! Policja nic im nie zrobi. Wypuści tych drani na wolność.
- Przecież oni dzieci krzywdzili! - ryknęła kobieta.
- Więc co? - zakłopotał się dziadek Genek.
- Sami ich załatwimy. Niech pan otworzy drzwi.
- Wnuk zabrał klucze.
- Nic nie szkodzi. Lecę po piłę. Ty, Józka, leć po siekierę. A pan, panie Genku, niech tu pilnuje.
- Ja polecę po szpadel - zawołał ochoczo dziadek Genek i hałas za drzwiami przeniósł się w inne rejony jego posesji.
- Spojrzeliśmy na siebie, szukając otuchy, a w następnej chwili skoczyliśmy sobie do gardeł.
- Oni chcą nas załatwić! - zawołała Rozalia. - Zrób coś! Chyba jesteś facetem!
- Nie jestem od tego mądrzejszy! Poza tym nie chcę ci przypominać, kto z nas miał się wykazywać pomysłowością!
- Benzyna - powiedziała gorączkowo Rozalia. - Szukaj benzyny! Kiedy otworzą drzwi, uciekniemy warszawą.
- Sprawdź najpierw, czy ma silnik.
- Rozalia otworzyła maskę i zajrzała do wnętrza.
- Calutka jest. Wszystko ma na miejscu. Dziadek musiał o nią dbać.
- Opony sparciały.



- Nic nie szkodzi. Wystarczy, że wykorzystamy efekt zaskoczenia i wyjedziemy na drogę. Potem zatrzymamy kogoś i dojedziemy do Warszawy.

Nie dałem się olśnić prostotą jej pomysłu.

- Naprawdę myślisz, że jest tu benzyna? - spytałem, by nie wszczynać bardziej fundamentalnych sporów.

- Tu jest wszystko - odparła Rozalia z niezachwianą pewnością.

Znalazłem wiele dowodów na potwierdzenie tej bez przykładowej wiary oprócz, rzecz jasna, benzyny. Hałas za drzwiami zaczął się wzmacniać. Dziadek z sąsiadami biegł, by nas zgładzić. Wśród okrzyków, którymi zagrzewali się do boju, zaczął się niepokojąco wybijać temat naszego pochówku.

- W moich pomidorach! - upierała się sąsiadka.

- Dla moich świnek! - wołał sąsiad.

- Twoje świnki dostały tego urzędnika z Unii, co przyszedł mierzyć nasze hektary! - ryknęła rozgoryczona sąsiadka.

- Dwóch ich jest, podzieliła się - rozstrzygnął dziadek i na kłódkę spadł pierwszy cios.

- Trzymaj, łatwo nas nie wezmą - wrzuciłem pogrzebacz na siedzenie obok Rozalii, która próbowała z płataniny kabli wybrać te właściwe. Żałowałem, że nigdy już nie zobaczę tej sztuczki.

- Czego się gapisz! - wrzasnęła Rozalia. - Sprawdź, co jest w tej bańce przy drzwiach!

- Świeże jaja? Masełko? Kozie mleko? - spytałem, ale posłusznie zajrzałem do środka.

W bańce była benzyna. Nie bawiąc się w szukanie lejka, chlusałem ją do baku i wskoczyłem do samochodu. W tym momencie przy pełnym aplauzie okrzykach sąsiadki puściła ostatnia kłódkę. Drzwi otwały się na oścież. Stało w nich troje pogromców: dziadek ze szpadlem, sąsiad z piłą oraz sąsiadka z siekierą. Wokół nich uwijał się rudy kundel.

- Wyłażcie, śmiecie! - ryknął sąsiad.

Na ten okrzyk mogłaby ruszyć cała zawartość garażu. Tymczasem warszawa załapała i wyrwała do przodu, jakby dobrze znała granice suspensu. Sąsiad, sąsiadka, dziadek i pies

rozpierzchli się na boki. Samochód, wyjął i kaszłąc, wyjechał na zaśmiecone podwórze. W ostatniej chwili siekiera rzucona przez sąsiadkę utkwiała w dachu nad naszymi głowami.

- Barbarzyńcy! - ryknęła Rozalia. - Niszczycie zabytek klasy zero!

Bohaterska warszawa sforsowała bramę i wypruła na żuźlową drogę. Rozalia wykonała brawurowy manewr i skierowała samochód w stronę szosy.

Wyjechaliśmy na główną drogę i z furkotem dziurawych opon skręciliśmy w kierunku Warszawy. Podskakiwaliśmy tak wysoko, że siekiera mogła wbić się nam w głowy, wciągnąłem ją więc do środka. Twarz Rozalii płonęła uniesieniem. Moja twarz płonęła z nerwów. Znałem cuda rodzimej motoryzacji wyłącznie dzięki służbowemu fiatowi wuja, który został w ten sposób nagrodzony za lata bezkrytycznego służalstwa, nieograniczonej dyspozycyjności, przerażającej inwencji i entuzjastycznego zaangażowania w wykonywanie obowiązków. Dla niego ten samochód symbolizował złotą erę tajnych służb, dla mnie polarną noc dzieciństwa. Kiedy fiat (z kierowcą) pierwszy raz stanął pod naszymi oknami i sąsiedzi zrozumieli, gdzie pracuje wuj, zabronili swoim dzieciom zadawać się ze mną. Przestałem być berkiem, kryjącym i kulawym liskiem koło drogi. Nikt nie zamykał mnie w piwnicy. Nigdy więcej nie usłyszałem takich słów jak znajda i przybłęda. Od tej chwili zawsze byłem już sam. Dużo później przekonałem się, że takich jak ja jest więcej. Niektórzy wyrosli na całkiem normalnych ludzi. Jeden został nawet prezydentem. Ale to już temat na całkiem inną historię.

Nasza historia pędziła tymczasem warszawą w kierunku stolicy. Po jakichś dwóch kilometrach urwał się nam hamulec. Po pięciu dach zwinął się jak wieczko konserwy i poszybował w przydrożne krzaki. Po dalszych czterech samochód zaczął kaszleć i po następnym ostatecznie zgasł. Rozalia nie pozwoliła zostawić go na środku drogi, musiałem więc wpełznąć go do

lasu, a potem pomóc jej w tworzeniu kamuflażu z gałęzi, leśnej ściółki i jednego zdechłego lisa.

Kiedy wróciliśmy do Warszawy, zaczęło się już ściemniać. Mimo to wzbudziliśmy niemałą sensację w okolicach jednej z galerii handlowych, gdzie wysiedliśmy z ostatniego, czwartego czy piątego z kolei stopa.

- Idziemy do ciebie. Muszę doprowadzić się do porządku - oświadczyła Rozalia. - Tylko niczego sobie po tym nie obiecuj. I niczego nie próbuj. Zakończmy naszą znajomość, jakby to ująć, w neutralny sposób.

Uznałem, że z przekorą właściwą kobietom proponuje mi w ten sposób intymną przygodę, a choć miała we włosach szyszki, na twarzy błoto i trochę cuchnęła padliną, nie należałem do tych, których zniechęcały takie drobiazgi.

9. WYJĄTKOWO ZIMNY MAJ

Jeśli roilem coś w skrytości ducha, to marzenia te poległy w konfrontacji z ponurą rzeczywistością pod postacią stukilogramowej i wścieklej jak diabli dziewczynki.

- To moja siostra Berta - powiedziałem pospiesznie, zanim Rozalia zdążyła wpaść na jakiś idiotyczny pomysł.

- Widzę pewne podobieństwo - odparła nie bez złośliwości.

Spojrzeliliśmy po sobie z Bertą. Żadne z nas nie wzięło tego za komplement

- Wystarczy na chwilę spuścić cię z oka – powiedziała Berta, gdy Rozalia znikła w łazience. – Trzeba było powiedzieć, że potrzebujesz kobiety. Znam nawet taką, która codziennie zmienia majtki.

Milczałem znechęcony tą wizją, nim odgłosy dobiegające z łazienki nie ściągnęły mnie na ziemię. Dopiero teraz zrozumiałem powagę słów Rozalii: naprawdę zamierzała się mnie pozbyć ze swojego życia.

- Milcz i słuchaj, parodio małej dziewczynki - powiedziałem do Berty, zniżając głos. – Pójdiesz za Rozalią do jej mieszkania. Nie muszę ci chyba mówić, że masz to zrobić dyskretnie. Poczekaś, aż wyjdzie i narobisz tam trochę bałaganu. Porozrzucasz książki, otworzysz parę szuflad... Tylko niczego nie niszczy. Jasne?

Z twarzy Berty znikło rozgoryczenie i złość, czoło rozpogodziło się, a krzaczaste brwi przestały łączyć się w pomost nad przełęczą płaskiego nosa.

- Jasne - przytaknęła. - Tylko skąd wiesz, że ona wyjdzie? Może będzie tam siedzieć do jutra? Ja mam swoje życie, swoje sprawy...

- Wpadnie tylko na chwilę, żeby się przebrać.

- Niby po co?

- Ma brudne ubranie. Może to dla ciebie kiepski powód, ale jej wystarczy. Potem musi odebrać samochód od mojego wuja i odstawić do blacharza. Nie pytaj, skąd to wiem. Wuj jest w takich sprawach dobijająco przewidywalny. I jeszcze jedno. Berto... Muszę ci zadać niedelikatne pytanie. Jesteś już całkiem duża, więc chyba się nie obrazisz...

- No?

Berta spojrzała na mnie czujnie. W jej oczach spod wyuczonyj głupoty, tej środowiskowej mimikry, wyzierał wrodzony spryt. Berta była zdolna do wszystkiego.

- Umiesz czytać? - spytałem.

- No, wiesz? - prychnęła z oburzeniem. - Oczywiście, że umiem. W ogóle jestem najlepsza w szkole.

Wolałem nie wiedzieć, w czym jest najlepsza i co to za szkoła. Wyciągnąłem zza paska „Siostrę Matyldy”, otworzyłem na chybił trafił i wskazałem palcem pierwsze lepsze zdanie. Berta zrobiła minę zblazowanego szympansa i przeczytała: „Nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny - pomyślał mężczyzna”.

- No, nieźle - powiedziałem zdumiony. - A teraz najważniejsze: jeśli znajdziesz coś, na czym będzie napisane „Koncert łgarzy”, to jak najszybciej daj mi o tym znać.

Nic poza tym nie wnoś z jej mieszkania. Nawet zupy w proszku. Jasne?

- Przecież nie jestem złodziejką! - odparła Berta.

Uśmiechnąłem się ufnie i naiwnie i nawet poklepałbym Bertę po ramieniu lub uszczypnął w policzek, gdybym nie wiedział, że na każdą próbę nawiązania cielesnego kontaktu reaguje wyciem i kopniakami. Nie przyswoiła sobie bowiem właściwych kobietom wzorców zachowań, co stawiało jej przyszłość pod dużym znakiem zapytania, mimo wartościowych cech osobistych, o których chyba już kiedyś wspomniałem.

- Jeżeli nic nie znajdziesz, to nie fatyguj się tu niepotrzebnie - dodałem na wszelki wypadek.

Berta skinęła głową i, nie tracąc czasu, opuściła moje

mieszkanie, żeby zająć stanowisko obserwacyjne gdzieś w gruzowisku naszego podwórza.

Prostolinijnemu czytelnikowi wyda się dziwne, że kazałem Bercie szukać w mieszkaniu Rozalii czegoś, co najprawdopodobniej znajdowało się już w posiadaniu Iwo Maja. Ale przecież nie mogłem wykluczyć, że Iwo Maj i Rozalia są parą, że działają wspólnie w tym jedynie celu, aby zdobyć i sprzedać „Koncert łgarzy” i oszwabić mojego wuja. Iwo Maj dwa razy ostro i ryzykownie nas wystawił. Ale przecież nie miałem żadnej pewności, że to on dzwonił na policję, kiedy byliśmy w domu Haliny. Mógł się do tego przyznać tylko po to, żeby się uwiarygodnić. Przygoda z nawiedzonym dziadkiem była jak dla mnie trochę zbyt ekstremalna. Ale może był to tylko teatr, rozegrany specjalnie dla moich oczu? Sprawny samochód, benzyna w bańce... Wszystko się zgadzało.

Nie bardzo mnie to cieszyło. Mój wuj, ten mędrzec wśród detektywów, mawiał, że wszystko zgadza się tylko paranoikom.

Za chwilę usłyszałem, że Rozalia wychodzi z łazienki. Pośpiesznie schowałem książkę pod siedzenie, ale moja ekswspółpracowniczka nie zadała sobie trudu, by zajrzeć do pokoju. Usłyszałem zdawkowe „dzięki”, a po nim wymowne trzaśnięcie drzwiami. Upewniłem się, że naprawdę opuściła mieszkanie, i wyjąłem z marynarki gruby portfel, który jeszcze przed kilkoma godzinami spoczywał w kieszeni płaszcza przystojnego blondyna. Znajdowała się tam cała masa plastikowych kart świadczących o jego światopoglądzie i stanie psychofizycznym, takich jak: jestem cukrzykiem, nie wyrażam zgody na przeszczep organów, moja grupa krwi to AB Rh-, w razie zagrożenia życia wezwij księdza, a także karnet na basen, warszawska karta miejska, karta stałego klienta jednej ze stołecznych kawiarni, karta VISA oraz 17 PLN. Bardziej zainteresowało mnie jednak prawo jazdy i dowód osobisty. Nie łudziłem się, że wskażą mi aktualny adres ich posiadacza, ale mogły rzucić nieco światła na jego tożsamość. Jak się okazało, należały do Iwo Maja, a sądząc po zdjęciu, Iwo Maj był tym

właśnie blondynem przystojniakiem, który podawał się za Iwo Maja. Adres w dowodzie odsyłał do znanej mi ze słyszenia mazowieckiej dziury. Prawdopodobnie była to wieś dziadka Genka, ale nie zamierzałem tego sprawdzać.

Zawartość portfela, mimo niezaprzeczalnych walorów ogólnopoznawczych, nie dała mi najmniejszych wskazówek, gdzie szukać fatalnego przystojniaczka i jego łupu. Zajrzałem jeszcze do poczty, ale Ciupa nic mi nie przysłał. Mogło to oznaczać, że, po a, nic nie znalazł, po b, niczego jeszcze nie szukał, po c, Alina Soppelkundel istniała wyłącznie w nasiąkniętym alkoholem umyśle staruchy z Gucina. Jeśli więc, po d, Alina istniała i, po e, miała coś wspólnego z Iwo Majem, musiałem, po f, ustalić to na własną rękę.

Biuro turystyczne „Tur” (usługi na terenie całego kraju) znajdowało się przy jednej z głównych praskich ulic i zajmowało skromnych rozmiarów lokal urządzony w stylu późnego Gierka. Była to chyba zamierzona stylizacja, bo panienka ze sztucznym warkoczem, która obsługiwała przy biurku dojrzałą parę, najpewniej nie pamiętała nawet wczesnego Kwaśniewskiego. Na ścianach wisiały plakaty reklamowe „Polska - kraj dzika i kapusty” i „Warszawa - Bukareszt Północy” oraz wielki portret Sławodoja Pitulińskiego, europejskiej sławy dendrologa, który dowodził, że Homo sapiens neandertalensis nie wyginął, ale przyjął chrzest i stał się Polakiem. Korzystając z tego, że nikt się mną nie zainteresował, spędziłem kilka minut na poznawaniu bogatej oferty biura (wycieczki śladami powstania listopadowego, stycziowego i warszawskiego, zbrodni hitlerowskich i stalinowskich oraz pielgrzymek papieskich). Przejrzałem również ofertę przyrodniczą i dowiedziałem się, że z „Turem” mogę jechać do dowolnie wybranej puszczy lub na bagno, aby oddać się narodowej pasji grzybobrania lub rozrywkom bardziej snobistycznym, takim jak wyczekiwanie o czwartej rano po kolana w błocie na przelot gęsi szarej z

dubeltówką w rękę. Olśniony walorami ojczystych stron i do bólu zębów przejęty narodową dumą nie zauważyłem, że dziewczę zaszło mnie od tyłu i podstępnie spytało:

- Czy już pan coś wybrał?

Kiedy się odwróciłem, dziewczyna otaksowała mnie wzrokiem, po czym dodała.

- Jest pan nauczycielem. Zgadłam? Pewnie historyk? Mam nosa do klientów.

- To prawda - odparłem, zaskarbiając sobie jej uśmiech. - Ale przyszedłem tu w innej sprawie. Mam portfel - powiedziałem, wyciągając go z kieszeni.

- Jest wypchany - zauważyła ze zdumieniem.

- To nie mój - wyjaśniłem szybko. - Znalazłem go przy wejściu. Może właściciel mieszka gdzieś w pobliżu...

- Chce mu pan oddać portfel? - szeroko otworzyła oczy.

- Liczę na znaleźne.

- A, rozumiem - kiwnęła głową, ciągle patrząc na mnie jak na wariata, tylko trochę mniejszego.

- Właścicielem jest Iwo Maj - powiedziałem.

Dziewczyna nie zareagowała choćby mrugnięciem oka.

- Niech pani spojrzy na to zdjęcie - wyciągnąłem dowód Iwo Maja. - Może pani kogoś przypomina?

- Jasne - przyznała z entuzjazmem, którego część spłynęła również na mnie. - Ten chłopak mieszka w akademiku. Bardzo trudno tam trafić, więc chętnie pana zaprowadzę. Niech pan chwilę zaczeka. Mój szef od rana siedzi na komendzie i zgłasza kradzież samochodu, ale powinien zaraz wrócić...

Mogłem powiedzieć, że skradziony samochód stoi kilka metrów od sklepu, zaparkowany niezbyt udatnie, budząc tym zainteresowanie straży miejskiej, ale zamiast tego postanowiłem uratować dziewczynę przed błędną lokatą uczuć.

- Niestety, nie mam czasu - powiedziałem. - Poza tym w portfelu jest zdjęcie rozneglizowanej dziewczyny z podpisem „Twoja do grobowej deski”. Niech pani nie zavraca sobie głowy tym lalusiem. Faceci tacy jak ja, nauczyciele humaniści, kasjerzy

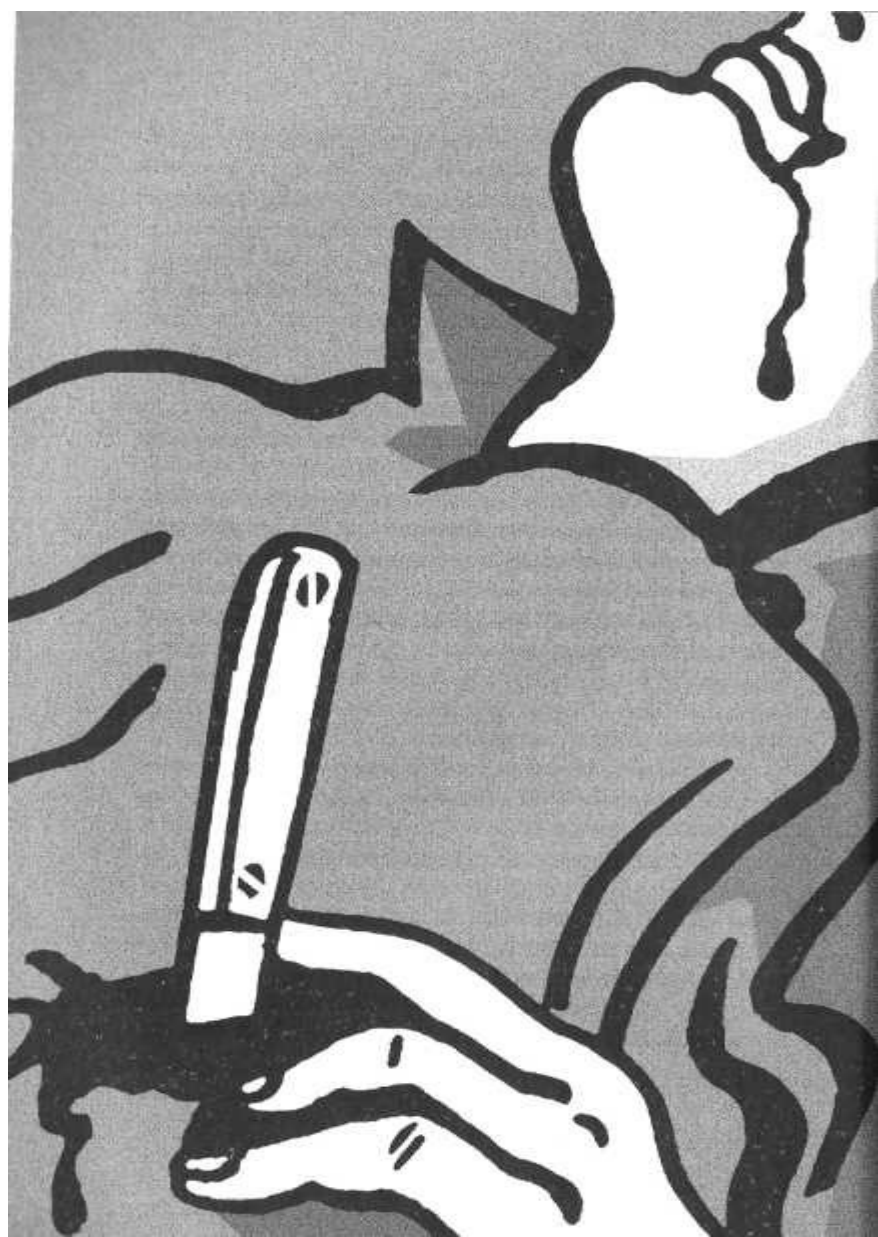
w supermarketach i sprzedawcy zapiekanek bardziej zasługują na pani miłość.

Udając, że nie widzę łez złości i rozczarowania, które rozbłysły w chabrowych oczach dziewczyny, opuściłem biuro turystyczne „Tur”, minąłem traka, którego ściągały na lawetę wspomniane wyżej służby, przeszedłem przez najbliższą bramę i znalazłem się przed akademikiem.

Na portierni ponownie sprzedałem bajeczkę o zgubionym portfelu. Chociaż śmiech i docinki starego portiera schłostały mnie bezlitośnie, bez trudu dostałem się do środka, ubogacony w wiedzę, że Iwo Maj zajmuje pokój 217 na drugim piętrze bez windy.

Pokój 217 wyposażono w duchu daleko posuniętej oszczędności, charakteryzującej od lat stosunek państwa do edukacyjnych potrzeb obywateli, i użytkowano z pogardliwą nonszalancją, z jaką obywatele od lat odnoszą się do państwowej własności. Ujrzałem więc dwa zapadłe tapczany, starą szafę oraz stół zawalony skryptami, przemieszanych z pożywieniem. Było tam również kilka krzesel i foteli, ale niezbyt wiele - najwyżej dwa. Podłogę pokrywała odłóżka po bokach bura wykładzina w rude ciapki, urozmaicona tu i ówdzie dziurami po papierosach i resztkami sosów oraz innych substancji pochodzenia organicznego. W otwartym oknie falowała pożółkła firanka. Obraz ten, tak swojski, że zarejestrowałem go niemal podprogowo, nie mógł konkurować z osobą Iwo Maja, który siedział w fotelu pod oknem, gapiąc się na mnie z pobladłą twarzą, mocno osłupiałą w wyrazie.

- Dobre, co? - powiedziałem. - Nie spodziewałeś się mnie, przyjacielu. Wybacz, że nie zostaliśmy dłużej u twojego dziadka, ale oczekiwaliśmy czegoś innego pod hasłem „agroturystyka”. Siedź, siedź, nie wstawaj - dodałem, chociaż najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. - Wystarczy, jeśli mi powiesz, gdzie leży to, co do ciebie nie należy.



- Ha, ha - odparł Iwo Maj.

- W przeciwieństwie do ciebie nie lubię używać przemocy. Wolę metody bardziej odpowiadające naszym czasom powszechnej tolerancji i triumfu praw człowieka. Mam na myśli szantaż, wymuszenie i przekupstwo. Zacznijmy od tego ostatniego. Posłuchaj uważnie. Nie zarobisz na tej książce ani grosza. Twoje nazwisko nic nie znaczy. Zanim ktokolwiek przekona się o wartości tego maszynopisu, jego kartki zbutwieją w dolnej szufladzie biurka jakiegoś redaktora albo posłużą mu do rozpalenia w kominku. Zakładam bowiem, że w swej naiwności zamierzasz wydać książkę Haliny pod własnym nazwiskiem...

Iwo Maj dwuznacznie przewrócił oczami, ale nic nie odpowiedział. Kontynuowałem:

- Nie musisz nic mówić. Posłuchaj lepiej mojej propozycji. Pracuję dla pewnego człowieka, z którym cię skontaktuję. Znając jego standardy moralne, mogę ci zaręczyć, że z jego pomocą masz dużą szansę wydać tę książkę pod swoim własnym...

- Ha, ha - przerwał beczelnie Iwo Maj.

Zaczynał mnie lekko wkurzać.

- Słuchaj, gnojku - podszedłem i złapałem go za ubiór w okolicach szyi.

Dopiero wtedy zauważyłem, że spomiędzy poł koszuli, na wysokości brzucha, wystaje trzonek noża, takiego zwykłego, tępego noża, jakim smaruje się chleb, a czerń ubrania ma zdecydowanie wilgotny charakter.

- Powiedz, że to przebranie na Halloween - poprosiłem, odsuwając się gwałtownie. - Nie pochwalam tych zachodnich nowinek, ale muszę przyznać, że to robi wrażenie. Na pewno zostaniesz królem balu.

- Ha, ha - wycharczał i wywalił oczy do góry.

Niewiele już rozumiał z otaczającego świata. Wyglądało na to, że jemu istotnie bliższe, rzekłbym, metafizycznie bliższe, jest Święto Zmarłych.

- Nic nie mów, wiem, co robić. Zaraz zawołam księdza - uspokoilem go kłamliwie, bo jakoś nie mogłem sobie

przypomnieć, czy w pobliżu jest jakiś kościół. Wzmianka o księdzu jakby go otrzeźwiła. Jego spojrzenie stało się intensywne, naglące, gorączkowe, gdy wyszeptał:

- Biskup... Biskupem... Biskupowi...

- Przyjacielu mój, nie masz czasu, żeby stawiać takie wymagania.

- Nie chciałem... - zaczął Iwo Maj i nie skończył. Piękne to były słowa, takie proste i uniwersalne: każdy z nas mógłby je wyrzec przed śmiercią. Pośpiesznie zamknąłem oczy Iwo Maja, by nie widzieć w nich tego gasnącego światła, o którym tyle mówią w filmach i piszą w książkach (na poczekaniu potrafię wymienić co najmniej trzy tytuły), i poświęciłem następną minutę lub dwie na gorączkowe próby przypomnienia sobie jakichś modlitw, których uczono nas na religii, to znaczy, uczono mnie, bo wszystkie inne dzieci już je znały, pewnie z kościoła, a może nawet z domu, ale ja żyłem w rodzinie ateistów, antyklerykałów i świętokradców, którzy kazali mi chodzić na te lekcje, żebym się nie wyróżniał. Ja zresztą też nie chciałem się wyróżniać, tylko jakoś mi nie wychodziło. Może za bardzo się starałem? Najwyraźniej brak mi było tego wyczucia, które daje proste obycie, nigdy w życiu nie byłem nawet na głupim pogrzebie, chociaż ja i wuj czekaliśmy na to z dużą nadzieją, kiedy ciotka kupiła mi garnitur, pożegnała się z nami i poszła do szpitala, ale niestety, przeżyła i to ponure zawirowanie swego losu.

Odniosłem jednak wrażenie, że mój wysiłek jakoś przydał się zmarłemu, który tak pobożnie chciał pożegnać ten świat, w każdym razie przydał się mnie samemu, i mimo że wciąż czułem dyskomfort, przebywając w jednym pomieszczeniu z człowiekiem, który właśnie wyzionął ducha w nienaturalnych i w dodatku obciążających mnie okolicznościach, mogłem już spokojnie wziąć się do swojej szurzej roboty. Zacząłem więc bezładnie i pośpiesznie (nie ze strachu, ale z nawyku) przetrząsać pokój Iwo Maja. Nic jednak nie znalazłem. To znaczy, nie znalazłem „Koncertu Igarzy”, bo były tam inne ciekawe rzeczy, takie jak dwa maszynopisy pt. „Wyznania Eweliny”, jeden na

wierzchu, drugi w szufladzie, ćwierć nadziewanej czekolady malinowej marki Wedel, którą zjadłem, a także piersiówka wypełniona czerwono-pomarańczowym płynem z opisaną odręcznie etykietą: „Nalewka jarzębinowa”.

I kiedy już, już miałem sprawdzić, czy napis nie kłamie, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

10. PRZYGODA W LOKALU „KAPRISSIO”

Odruchowo zakręciłem butelkę i schowałem do kieszeni. Potem wyrzalem przez otwarte okno. Znajdowało się tuż przy ścianie szczytowej, ale zerwany piorunochron powiewał nieosiągalnie w ciemnościach nocy. Do podłoga miałem dwa piętra, wysoki parter i żadnych szans, żeby ulotnić się tą drogą.

Pukanie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze, bardziej natarczywe.

Złapałem koc i otuliłem Iwo Maja aż pod brodę. Miałem nadzieję, że zyskam w ten sposób trochę czasu, a sam schowałem się do szafy. Podłoga miała swój przechył, dzięki czemu drzwi zamknęły się samoczynnie, zostawiając wąską szparę, w sam raz żebym mógł obserwować, co dzieje się po drugiej stronie.

Ledwie się usadowiłem, gdy do pokoju weszła Szara Mysz. Nie można było nazwać jej inaczej. Była to osoba boleśnie mdła, pozbawiona jednej choćby cechy, dzięki której mogłaby się zapisać w męskiej pamięci. Przeciętny był jej wzrost, biust i długość włosów, nie wspominając nawet o ich kolorze. Strój upodabniał ją do zaniedbanej, nieco staroświeckiej sekretarki, a wielkie tanie okulary nadawały jej wyraz naiwności i lekkiego przestachu.

Dziewczyna rozejrzała się. Na widok Iwo Maja, którego twarz, tak pusta i nieskazitelna jeszcze kilka godzin temu, teraz przeżłobiona śladem cierpienia, stała się niemal piękna, Dziewczyna-Mysz poprawiła okulary i westchnęła z rezygnacją. Podeszła do denata i przytknęła mu dwa palce do szyi, potem odchyliła koc i rzuciła okiem na nóż w brzuchu. Przez chwilę jakby się zastanawiała, a potem wytarła trzonek własnym szalikiem koloru marcowego błota. Zrobiwszy to, poniechała

nieboszczyka i przeniosła zainteresowanie na pokój. Wyciągnęła z torebki rękawiczki, włożyła je i rozpoczęła niepozbowione profesjonalizmu grzebanie w papierach, które leżały na stole, pod stołem, na łóżku, pod łóżkiem, na parapecie i jeszcze w kilku innych miejscach. Od razu natknęła się na „Wyznania Eweliny”, ale przekartkowała je bez zainteresowania i odłożyła na miejsce.

Sądząc po determinacji, z jaką zaglądała do kosza i pod fotel, pod wykładzinę i na parapet, za łóżko i pod stos brudnych skarpet, nie łudziłem się, że moja obecność pozostanie niezauważona. Zanim jednak przyszła na mnie kolej, rozległ się dźwięk telefonu. Dziewczyna wyjęła komórkę, wysłuchała, co ta ma jej do powiedzenia, i mruknęła bez entuzjazmu, z lekkim grasejowaniem:

- Dobra.

Schowała telefon, rozejrzała się, podeszła do szafy i otworzyła ją.

Byłem na to przygotowany psychicznie, ale nie werbalnie, toteż przez kilka następnych sekund patrzyliśmy sobie w oczy, ona z wyrazem paniki, ja lekkiego zmieszania. Kiedy już zebrałem się w sobie, żeby wyleźć i coś powiedzieć, Szara Mysz zatrzasnęła mi drzwi na nosie i wyskoczyła z pokoju.

Ruszyłem za nią. Na korytarzu nagle zniknęła w jednym z bocznych pomieszczeń. Nim tam dotarłem, wpadła na mnie starsza kobieta, jedna z tych walecznych, tęgich walkirii, które w pochodzie przez świat zmiatają wszystko, co stanie im na drodze.

- Uważaj, jak chodzisz, młody człowieku! - warknęła, cumując na mojej piersi swój pancerny biust.

Byłem zbyt uprzejmy, żeby się bronić, toteż poczekałem, aż wyładuje na mnie gniew i odpłynie ku innym portom, kątem oka zaś obserwowałem drzwi, za którymi znikła dziewczyna.

Było to pomieszczenie kuchenne, z jednym tylko wyjściem. Kiedy do niego dotarłem, Szara Mysz akurat wychodziła. Złapałem ją za rękę, lecz zdołała się wysliznąć. Wyprzedziłem ją na schodach i kiedy przechodziła obok portierni, spytałem

portiera, kim jest ta piękna dama. Dowiedziałem się, że to nowa pielęgniarka środowiskowa, a ja jestem ślepym kretyńcem czy też ślepym kretem. Podziękowałem za tę informację, wypadłem na zewnątrz i złapałem ją przed akademikiem.

- Ratunku! - ryknęła. - Morderca! - A raczej: - Hatunku, mohdehca!

Bo w zdenerwowaniu całkiem zatraciła zdolność wymawiania „r”.

Było już zupełnie ciemno. Obok nas przemknęło kilka wątych cieni, najwyraźniej studentów, a z baru naprzeciwko wyjrzała pulchna kobietka i zaraz cofnęła się do środka. Ulica opustoszała. Nie mogłem jednak wykluczyć, że ktoś, bezpiecznie ukryty przed moim wzrokiem, w przypiływie odwagi chwyci komórkę i zadzwoni na policję.

- Nie wygłupiaj się, kobieto - powiedziałem pospiesznie. - Chcę tylko porozmawiać o książce.

- Nie rozumiem - rzekła ostrożnie. Zapanowała już nad „r” i przestała się wrywać.

- Rozumiesz, rozumiesz - odparłem. - Znam zaciszny lokal niedaleko stąd. To jak, pogadamy?

Jej twarz broczyła dramatycznym wahaniem, jak ujęłaby to Halina Mentiroso. Po chwili kiwnęła głową. Może przekonałem ją swoją prezencją, czarującą, jak sądzę, dla kobiet jej pokroju. A może uwiodła ją stanowczość, jedna z szerokiego wachlarza moich hipermęskich cech. Tak czy inaczej, postanowiłem nie wypuszczać jej ramienia, na wypadek gdyby moja męskość okazała się nie tak znowu magnetyczna, jak zakładałem, i pociągnąłem ją za sobą.

Minęliśmy wiele bram, zaułków i ciasnych uliczek i po dobrych dwóch kwadransach szybkiego marszu znaleźliśmy się we wzmiankowanym wyżej lokalu o pachnącej egzotyką nazwie „Kapriessio”, którego nie odwiedzałem od pacholęcia. Choć przez te lata nie skaził go ani remont, ani wymiana personelu

czy gości, z nostalgią obserwowałem zmiany, jakie nieubłagany upływ czasu wyrzył zarówno na tym nobliwym wnętrzu, obłuszczając ściany z farby, a wytarte materie pozbawiając faktury i koloru, jak i na stałych bywalcach, wzbogacając ich ciała o kolejne fałdy i zmarszczki i jakby dla równowagi ujmując im uzębienia i owłosienia. Zajęliśmy stolik pod ścianą, chroniąc swoje incognito w nastrojowych cieniach i półcieniach. Po chwili Szara Mysz stwierdziła, że woli siedzieć przodem do sali, i poprosiła, żebyśmy zamienili się miejscami. Zdziwiłem się, bo nie sądziłem, że taniec na rurze jest jej ulubioną formą artystycznej twórczości, zwłaszcza że wszystkie (dwie) tancerki swoją energią i pomysłowością nie mogły rywalizować nawet z misiami koala, które to zwierzęta, znane z narkomanii, całe dni przesypiają na eukaliptusie, obunóż i oburącz obłapiając konar. Publiczność, dobrze wiedząc, że te stare rutyniarki ruszają się żwawiej tylko na widok listonosza z emeryturą, zwróciła wzrok ku zawieszonemu pod sufitem telewizorowi i z napięciem, żywo komentując, co świadczyło o dogłębnej znajomości fabuły, oglądała kolejny odcinek kultowego serialu „Parafia”.

Zwlekałem z rozpoczęciem rozmowy, aż kelnerka w typie Wioletty Villas podejdzie do nas wężowym krokiem. W tym czasie Szara Mysz zdążyła skorzystać z toalety, na co pozwoliłem jej łaskawie, wiedząc, że nie uda jej się wymknąć z tej klatki bez okna i z drzwiami, na które miałem oko. Wróciła stamtąd zielona na twarzy i za pomocą dwóch paczek jednorazowych chusteczek higienicznych zaczęła ścierać z blatu resztki jedzenia, krew, flegmę i inne ślady obecności poprzednich biesiadników.

Kelnerka dotarła wreszcie do naszego stolika i dysząc głośno, złapała się blatu jak rozbitek gościnnego brzegu. Wyprostowała się z pewnym trudem, uporządkowała fryzurę, oddech i falujący biust i spytała głosem tracącym intymnością:

- Cześć, chłopaczkę, co podać?

Pomyślałem, że pamięta mnie z czasów, kiedy przychodziłem tu z wujem, i mrugnąłem do niej porozumiewawczo, ale później usłyszałem, że zwróciła się tak samo do dziadka okupującego

sąsiedni stolik.

- Piwo? - spytałem Szarej Myszy.

- Kawa - odparła.

- W takim razie dwie małe czarne - zwróciłem się do kelnerki.

- Egzotyki nie prowadzimy - odrzekła.

- Chodziło mi o dwie kawy.

- W takim razie dwie małe czarne - przez chwilę walczyła z długopisem i bloczkiem, wreszcie kiwnęła głową i popłynęła dalej.

- No więc o co chodzi, panie...? - Szara Mysz zawiesiła głos.

- Robal. Robal Owaki.

- To ty zabiłeś tego nieszczęśnika?

- Dobrze wiesz, że nie, skoro tak pieczołowicie ścierałaś z noża odciski palców. Mogę się tylko domyślać, kogo chronisz. Natomiast zupełnie nie jestem w stanie domyślić się twojego imienia, więc jeśli zechcesz je wyznaczyć lub zmyślić, to nam znacznie ułatwi rozmowę.

- Irmiona. W skrócie Ina - powiedziała, mierzając mnie uważnym spojrzeniem.

W tym momencie zawiesiliśmy rozmowę, widząc, że kelnerka bieży w naszą stronę, gwałtownie zonglując tacą. Kiedy śmiało przechyliła ją nad siedzącymi nieopodal gośćmi, Ina podskoczyła i odebrała jej tacę tak energicznie, że gwiazda obsługi w lokalu „Kapriessio” runęła na sąsiedni stolik. Rzuciłem się, żeby ją ratować. Na szczęście straty cielesne okazały się nie tak bolesne jak dewastacja fryzury i urażona godność własna.

- Co jest, mała? Chcesz brać moją pensję? - ryknęła kelnerka, aż Szara Mysz skurczyła się przy stoliku.

- Bardzo przepraszam - pisnęła skruszona. - Chciałam tylko pomóc.

Poczułem się w obowiązku stanąć w obronie mojej towarzyszki. Miałem niekiedy te romantyczne wysoki i nawet to, że zwykle obracały się przeciwko mnie, jakoś mnie nie zrażało.

- Przecież przeprosiła. Nie jest pani zbyt miła.

- Moje życie to kupa gówna. Mój mąż w zeszły wtorek uciekł ze szwagrem, na Poniatoszczaku znów był korek, Niemcy zburzyli nam miasto, a jakaś wyleniała mysz rzuca mi się na tacę. Z czego, do kurwy nędzy, mam się cieszyć?!

- Bardzo pani dziękujemy, chociaż nie zamawialiśmy koniaku - powiedziałem pojednawczo.

- To dla mnie - wyjaśniła. - Że jako niby napiwek. Masz coś naprzeciwno?

Szybko zaprzeczyłem.

- Należy się siedemnaście zeta. Kart nie przyjmujemy.

Gdy wygrzebywałem pieniądze, kelnerka wychyliła kieliszek.

- Kurde, ani grosza więcej! - stwierdziła, przeliczywszy monety.

- Ale z was skubane dziady.

- W mojej filiżance zostało pół kawy, ale w twojej tylko wypalony pet na dnie - powiedziałem do Iny. - Może się zamienimy?

- Chyba jednak wezmę coś mocniejszego - postanowiła.

Na myśl o kolejnej przeprawie z kelnerką wróciła mi pamięć. Natychmiast wyciągnąłem z kieszeni piersiówkę z nalewką i podałem swojej towarzyszce. Wzbraniała się, więc żeby udowodnić czystość swoich intencji, pociągnąłem solidny łyk. Szara Mysz obserwowała mnie przez chwilę, a widząc, że trzymam się dobrze, a nawet lepiej, rozpogodziła się i przejęła butelkę.

- Pyszna - wypita, pochwaliła i spojrzała na mnie przychylniej.

- No, więc co masz mi do powiedzenia?

- Nie będę owijać w bawełnę. Oboje, po cóż ukrywać, szukamy tej samej książki. Oboje chcieliśmy ją dziś zdobyć, ale ktoś nas uprzedził. Nie ulega też wątpliwości, że stanowimy dla siebie konkurencję. Nie wiem, dla kogo pracujesz, to zresztą nieistotne. Ja w każdym razie zamierzam utrzymać nazwisko mojego mocodawcy w tajemnicy. Za odpowiednią cenę jestem w stanie w ogóle o nim zapomnieć, podobnie jak o tym, że spotkaliśmy się w tak podejrzanych okolicznościach.

Zamilkłem i pozwoliłem jej w spokoju rozważyć moje słowa.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś gotowy wycofać się ze sprawy? - spytała.

- Wręcz przeciwnie. To by zresztą niczego nie zmieniło, na moje miejsce przyjdzie ktoś inny. Chcę zdobyć tę książkę i wkrótce to zrobię. Pytanie tylko, komu ją oddam.

- Jesteś obrzydliwą, sprzedajną świnią – stwierdziła dziewczyna.

- W dodatku niezbyt drogą - zapewniłem.

- Boże, w co ja wdepnęłam - jęknęła. - Dwa trupy, zgubiona książka i teraz jeszcze ty. I po co, po co? Przecież on mnie nawet nie zauważa!...

Ina wyjęła chusteczkę i załkała w nią z pełnej piersi, oczu i nosa, a kiedy trochę opanowała już tę powódź, dla wyrównania poziomu płynów wlała w siebie potężny łyk piersiówki, co przyjąłem z dużą dozą optymizmu, sądząc, że dzięki temu łatwiej uda się ją zmiękczyć. Szara Mysz zinterpretowała moje spojrzenie jako wyraz przyjaźni i wlała mi nalewkę do kawy, żebym (jak stwierdziła) nie był stratny, ponieważ (dodała), kiedy ona przysysa się do butelki, to (uśmiechnęła się rozbrajająco) nie odstawi, póki nie zobaczy dna. Kiedy się już uspokoiła, z jej ust popłynął potok gorzkich słów, z którego miałem nadzieję wyłowić tłuste pstrągi interesujących mnie faktów.

- Wiem, że jestem atrakcyjna w mało oczywisty sposób - zaczęła. - Poza krótkim epizodem we wczesnym dzieciństwie, którego nie pamiętam i który dokumentuje kilkadziesiąt amatorskich fotografii (podczas gdy z innych lat mam ich zaledwie kilka), nigdy nie byłam ładna. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i dlatego zawsze potrafiłam trzymać uczucia w karchach, żeby zaoszczędzić sobie niepotrzebnych cierpień. Udawało mi się to całkiem nieźle aż do chwili, gdy poznałam Jęgo. Może dlatego straciłam swoją zwykłą czujność, że to podstępne uczucie kielkowało we mnie przez dłuższy czas, zanim zdałam sobie z niego sprawę... Powinnam chyba zacząć od tego, że jestem wysoko wykwalifikowaną sekretarką. Jestem perfekcyjna w tym, co robię, chociaż i tak stoi to poniżej moich ambicji. Wiedziałam, że nadaję się do pracy na najbardziej

odpowiedzialnych stanowiskach, że mogę być już nie tylko sekretarką, ale asystentką, dyrektorką biura, ministrem... Ale który szef chciałby mieć pod ręką takie koślawe pomiotło? - westchnęła i upiła łyk. A łyk miała, oj miała, aż grzało od samego patrzenia. - Trzeba przyznać, pracy szukałam bardzo krótko. Od razu trafiłam do wydawnictwa „Harcownik Editors” i znalazłam tam zaciszną przystań w zgiełku tego świata. Wydawnictwo było małe, rodzinne, obsługiwało tylko jedną autorkę. Pracy jednak miałam całkiem sporo, bo dyrektor nie znał się zupełnie na prozaicznej stronie prowadzenia biznesu, a jego matka, będąca tam wszystkim po trochu, lecz niczym w szczególności, żywiła chorobliwy lęk przed technicznymi nowinkami, a mianem tym określała wszystko, co pojawiło się na świecie po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, łącznie z ludźmi. Od początku zdawałam sobie sprawę, że praca ta uwłacza moim ambicjom nie tylko dlatego, że swoją monotonią gwałci mój intelekt. Zdawałam sobie również sprawę, komu służy - Halinie Mentiroso, tej masowej producentce literackiej konfekcji jednorazowego użytku, tej ponurej fabrykantce iluzji kobiecego szczęścia w najbardziej tandetnym wydaniu. Wstydziłam się przyznawać krewnym i znajomym, gdzie pracuję, dlatego wymyśliłam, że jestem asystentką dyrektora ubojni. Wszyscy przyjmowali to ze zrozumieniem. Całe szczęście, nie mam wśród swoich bliskich żadnych wegetarian.

Myślałam, że opuszczę tę firmę, kiedy tylko znajdę inną posadę - podjęła po kolejnym głębszym. - Ale się myliłam. Niby przeglądałam pod biurkiem oferty pracy, a tak naprawdę uświadamiałam sobie coraz wyraźniej, że to na mnie opiera się firma, a z nią spokój jej właściciela. Wkrótce odkryłam, dlaczego mężczyzna tak inteligentny, subtelny i wartościowy wydaje na świat szmirę i w dodatku podpisuje się pod nią nazwą własnego wydawnictwa. Robi to tylko po to, aby mieć święty i materialny spokój od spraw tego świata i skupić się na jedynej rzeczy, która go tak naprawdę interesuje: na stworzeniu arcydzieła.

Nic innego go nie obchodzi, nic do niego nie dociera, ze

stoickim spokojem znosi powszechne lekceważenie. Całymi godzinami przesiaduje w swoim gabinecie, a zza zamkniętych drzwi słysząc frenetyczne walenie w klawiaturę, przerywane jedynie odgłosami jego kroków, kiedy odsuwa fotel i wielokrotnie przemierza pokój od okna do okna, z których jedno wychodzi na wschód, a drugie na zachód, co zresztą nie ma znaczenia, bo z obu i tak widać tylko ściany sąsiednich budynków. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy. Nie chcę, by wiedział, że się domyśliłam. Staram się mu pomagać swoją dyskretną i wierną obecnością, licząc na to, że kiedyś ją dostrzeże. A przecież mogłabym robić znacznie więcej. Mogłabym zdjąć mu z barków ciężar codzienności, wiązać krawaty i składać skarpetki, prać koszule i zmywać talerze, ścierać kurze i opróżniać popielniczki, opłacać rachunki i składać reklamacje, łowić jego genialne myśli i zapisywać je na małych żółtych karteczkach, słowem, robić te dziesiątki słodkich drobiazgów, które kobiety tak uwielbiają. Wiem, że po kilku latach takiego życia strzeliłabym w głowę jemu albo sobie, ale na pewno bym tego nie żałowała.

- Ale przecież ten człowiek ma żonę - wtrąciłem niezbyt taktownie.

- Żona nie jest przeszkodą, kiedy w grę wchodzi miłość - odparła z godnością Ina. I zaraz dodała, patrząc na mnie uważnie: - Ach, rozumiem. Myślisz pewnie, że to ja ją wykończyłam?

- W każdym razie, było ci to na rękę - powiedziałem oględnie.

- Teoretycznie tak - odparła. - Cóż mogę powiedzieć, nie płakałam po Halinie. Myślałam, że Sławek przyjmie jej odejście z ulgą. Sama najlepiej wiem, jak się nienawidzili. Łączyły ich wspólne interesy, dzieliła cała reszta. Ale Sławek jakby się załamał. On już nawet nie pisze. On chodzi godzinami po swoim gabinecie, staje przy tym jednym albo drugim oknie, gapi się w mur, pije kawę za kawą, warczy na matkę, targa brodę, zachowuje się, jakby był w szoku.

- Z powodu „Koncertu Łgarzy”?

- Zniknięcie tej książki to jedyne wytłumaczenie!

- Ale nie powiedział ci tego?

- Rozmawiamy tylko służbowo - odpowiedziała Ina. - On, on mnie w ogóle nie zauważa. Chciałabym coś dla niego zrobić, pokazać, że może na mnie liczyć w każdej sytuacji, bez względu na konsekwencje...

- I dlatego startaś z noża jego odciski palców?

- Przyszłam, żeby zabrać tę książkę. Ale on był szybszy. Mam nadzieję, że mu się udało... Książki już tam nie było, bo przecież ty jej nie wzięłaś. Inaczej nie siedziałbyś tu ze mną, prawda?

Skinąłem głową. Nagle coś przyszło mi do głowy.

- Tam, w akademiku, była taka kobieta... Wpadła na mnie w korytarzu. To przed nią schowałaś się do kuchni?

- To była jego matka. Ona mnie nie znosi, zwalcza... Dlatego wolałam, żeby mnie tam nie widziała.

- Jednego nie rozumiem. Skąd wiedziałyście, że ten chłopak będzie miał książkę? Skąd w ogóle wiedziałyście o książce?

- W takiej firmie jak nasza nic się nie ukryje. Zupełnie niechcący podsłuchałam kilka rozmów z drugiego aparatu... Halina parę razy dzwoniła do Sławka. Pytała, czy już się zdecydował. To były takie głupie, dziwne rozmowy. Niedokończone. Trudno było coś z tego zrozumieć. Ale potem zadzwonił jeszcze Palmister, Longin Palmister, przyjaciel Sławka z dawnych czasów, i powiedział, że jeśli wspólnie tego nie zrobią, to żeby Sławek nie myślał, że uda mu się tę książkę wydać. Matka Sławka siedzi w pokoju tuż obok jego gabinetu, tam jest tylko cienka kartonowa ściana i wszystko słycać. Po tej rozmowie spytała go wprost, co znaczą te telefony i rozmowy, no i on trochę jej powiedział. Chciał, żeby się nie martwiła. Obiecał, że wszystko załatwi tak, żeby było dobrze. Ale to przecież matka. Matki nie dają się zwieść. Tylko bardziej ją tym zdenerwował, chociaż nie dawała tego po sobie poznać. I ja też. Więc kiedy dziś ten chłopak zadzwonił do wydawnictwa ze swoją propozycją, postanowiłyśmy pomóc Sławkowi, każda na własną rękę. Sławek miał jeszcze pójść do banku. Ten Maj zażądał

jakiejs horrendalnie wysokiej zaliczki. Matka Sławka wyszła zaraz po nim, a ja jeszcze później. Wiedziałam, że i tak będę przed nią. Choćby się waliło i paliło, jeździ tylko komunikacją publiczną, bo ma darmowe przejazdy. Myślałam, że zdążę przed Sławkiem, ale cóż, ja jeżdżę taksówkami, a on ma swój samochód. Nie udało mi się go ustrzec przed tą niepotrzebną zbrodnią - zachlipała.

- Nie martw się. Może nie była niepotrzebna - pocieszyłem ją i zamyśliłem się na dłuższą chwilę. Dręczyła mnie jakoś ta rozmowa Palmistra z Harcownikiem. Coś tu nie trzymało się kupy. Nie potrafiłem jednak zebrać myśli. Poczulem, że w lokalu robi się strasznie duszno, i spytałem Iny, czy nie odnosi podobnego wrażenia.

- Mój Boże - przestraszyła się. - Dziwnie jakoś wyglądasz. Siedź spokojnie, pójde po wodę.

- Tylko nie z toalety - wykrztusiłem i zapadłem w ciemność.

11. PIĘKNOŚĆ PRZYCHODZI O ZMROKU

Stałem przy oknie własnego mieszkania i patrzyłem nerwowo w mrok ulicy.

Być może, każąc Bercie wybebeszyć mieszkanie Rozalii, żywiłem niesłuszne przekonanie, że Rozalia nie będzie miała do kogo zwrócić się o pomoc, a różne niezbyt jasne sprawy z jej życia powstrzymają ją od zawracania pały policji, dzięki czemu nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko schronić się w moich opiekuńczych ramionach. Być może miała inne silne ramię, które kryło się za owym tajemniczym pierścionkiem na serdecznym palcu, chociaż fakt, że kazała odebrać swój ukochany samochód mojemu wujowi, przeczył istnieniu w jej życiu jakiegokolwiek odpowiedzialnego mężczyzny. Była jeszcze inna możliwość. Rozalia mogła zbagatelizować cały napad, uznać go za koszt mieszkania w podłej dzielnicy, posprzątać, umyć zęby, obejrzeć ulubiony serial i jak co wieczór położyć się do łóżka z tym, z czym kładły się spać samotne dziewczyny.

Miałem coraz większą nadzieję, że tak właśnie się stało. Robiło się stanowczo za późno na odwiedzinę, z mroku wypełzały różne mroczne stworzenia, grupowały się, pohukiwały, wyły, oj, nie były to matki z dziećmi, nie byli to łagodni kombataneci ani życzliwe staruszki, ani tym bardziej dzielni stróże prawa. Spojrzałem na zegarek - dochodziła jedenasta siedemnaście - i usiadłem na obrotowym krześle, jako że jedynie ono miało oparcie. Potrzebowałem oparcia. Przynajmniej takiego.

Mniej więcej półtorej godziny wcześniej obudziłem się na podłodze lokalu „Kaprisio”, dokładnie tam, gdzie upadłem. Leżałem chyba ze cztery godziny. Nikt się tym nie zainteresował. Są jeszcze miejsca, gdzie ludzie szanują prawo do intymności. Szarej Myszy nie było ani przy mnie, ani w toalecie, ani w

żadnym innym zakątku tego przybytku, do którego wdarłem się sprytem lub przemocą. Czy miała jakiś udział w moim zasłabnięciu, czy też zawdzięczałem je nadziewanej czekoladzie? Dlaczego uciekła? Czyjej też coś się stało? Czy powinienem jej szukać? Te oto myśli kłębiły mi się w głowie oprócz jednej, całkiem innego rodzaju: po co mi to wszystko?

Po powrocie do domu odebrałem pocztę. Ciupa napisał, że Alina Pofiściel z domu Sopolkundel mieszka na Jelonkach, ale od dwóch dni przebywa w jednym ze stołecznych szpitali ze złamaną nogą i podejrzeniem wstrząsu mózgu. Odrzuciłem pokusę udania się do niej natychmiast i wyrwania siłą potrzebnych informacji. To mogło poczekać do jutra, złamanie nogi nie goiło się chyba tak szybko. Coś jednak mogłem zrobić już teraz - coś, co nie miało wielkiego znaczenia, ale powinno zostać zrobione dużo wcześniej.

Sięgnąłem po kalendarz Haliny Mentiroso, ten sam, który zwinąłem z jej biurka, i zacząłem przeglądać go skrupulatnie, chociaż dość bezmyślnie. Nie oczekiwałem, że znajdę pod M telefon do mordercy. Nie oczekiwałem, że cokolwiek tam znajdę.

Życie Haliny nie obfitowało w sensacje. W co drugą środę miała wizytę u fryzjera, a w drugą co drugą - u kosmetyczki. Na początku roku w każdy piątek chodziła do wróżki Dominiki, ale gdzieś tak pod koniec lutego zrezygnowała z jej usług. Od czasu do czasu, mniej więcej dwa razy w miesiącu, miała spotkania autorskie, przy których obok daty rysowała trupa czaszkę i skrzyżowane piszczele. Miała również kilkadziesiąt wizyt w urzędzie skarbowym. W paru miejscach zanotowała wielkie „I” oraz „A”, a w jednym urodziny córki. W lipcu była na wakacjach, a we wrześniu usuwała pieprzyk z uda. Pod datą 18 października zapisała spotkanie z Palmistrem, a 20. z Harcownikiem. O wpisie na swój temat, z 17., już mówiłem.

Spis telefonów nie wzbogacił mojej wiedzy na tyle, bym miał się czym chwalić przed czytelnikami, kiedy go jednak przeglądałem, pomiędzy kartek wypadła wizytówka, na której

stało, co następuje:

A. A. KOWALSKI I DETEKTYWI TYSIĄC USŁUG, ZERO PYTAŃ

I dopisany ręką mego wuja jego osobisty numer komórkowy.

Próbowałem zebrać myśli. Ciężko mi szło, ale po jakichś dziesięciu minutach wpadłem na pewien pomysł.

Przetrząsnąłem mieszkanie od sufitu po podłogi i już wkrótce znalazłem kilka rzeczy, których obecności najzupełniej nie byłem świadomy, a które mogły z powodzeniem odegrać pozytywną rolę w moich planach. Były to: porządna, prawie nieużywana skórzana walizka, złoty sygnet (który pogryzłem bez większych efektów) i srebrny medal olimpijski z Moskwy. Zaopatrzony w te dobra, powędrowałem piętro wyżej, gdzie mieszkał niejaki Stanisław Pumski, jeden z moich bardziej zagadkowych sąsiadów. Był to mężczyzna w średnim wieku, dość przystojny, zawsze wyprostowany, stuprocentowo trzeźwy i znający zasady *savoir-vivre*'u. Mógłby z powodzeniem być agentem ubezpieczeniowym, gwiazdą reklamy lub starzejącym się z godnością amantem w jednym z wiodących seriali, jednak, jak podejrzewałem, był na to zbyt prostoliniijny. Nigdy nie wnikałem, z czego żył, ale nie było to chyba zajęcie wyczerpujące, jeśli sądzić po tym, że spał do południa, miał wypielegnowane dłonie, do późna przyjmował gości i rzadko wychodził z mieszkania.

Może był pisarzem?

Kiedy zadzwoniłem, otworzył, ubrany w twarzową piżamkę w paski. Nie bawiąc się w zbędne wyjaśnienia, lecz odwołując do jego atutów: doskonałej prezencji, nienagannego stylu bycia, także manier światowca, okraszając swą wymowę najgrzeczniejszymi słowami, jakie byłem w stanie wydobyć z zakamarków umysłu, dokąd zawędrowały zapewne za pośrednictwem telewizji, gdyż nie obracałem się w innych środowiskach, w których mógłbym je nabyć, zaproponowałem

mu przygodę w szpiegowskim stylu, która mogłaby ubarwić jego spokojny żywot, a zarazem zaskarbić moją dozą wdzięczność, wyrażoną, jakże symbolicznie, w jednym z przedmiotów, stanowiących moje rodzinne pamiątki (tu zademonstrowałem walizkę, medal i sygnet). Kiedy uniósł lewą brew, co uznałem za powściągliwy wyraz zainteresowania, wtajemniczyłem go w swój brawurowy plan. Zastanawiał się przez chwilę, po czym wyraził zgodę. Był bardzo uprzejmym człowiekiem, a tacy z zasady nie odmawiają.

Kiedy wróciłem na dół, zobaczyłem w świetle żarówki 10V, ujętej w drucianą klatkę zamkniętą na kłódkę, szczupłą postać w bluzie z kapturem naciągnięty niemal do brody, z podniszczonym plecaczkiem przerzuconym przez ramię, w dżinsach i tenisówkach. Postać pachniała jak kwiat róży i zapamiętała kopała w moje drzwi.

- Cześć, Rozalio! - wykrzyknąłem, nadając głosowi przesadne zdumienie. - Co tu robisz?

- Muszę... Muszę gdzieś przenocować - powiedziała Rozalia łamiącym się głosem.

Zazgrzytałem kluczem w zamku i weszliśmy. Na widok mojego mieszkanka Rozalia wydała zdławiony okrzyk.

- U ciebie też byli!

Nie zdawałem sobie sprawy, że poszukując wartościowych rzeczy, obróciłem to stylowe wnętrze w namiastkę Nowego Orleanu po huraganie „Katrina”, co w danej chwili okazało się szczęśliwą okolicznością.

- I chciałeś się wynieść! - krzyknęła, wskazując walizkę.

- Postanowiłem zachować się jak twardziel i wrócić - podniosłem przewrócone krzesło i wskazałem je Rozalii.

- Może usiądziesz i powiesz mi, co miało znaczyć „też”?

- „Też”?

- W zdaniu „U ciebie też byli”.

Rozalia wyszła do przedpokoju. Usłyszałem, jak przekręca uchwyt zasuwki i klucz w zamku, a nawet zakłada łańcuch - wszystkie te urządzenia były wkładem poprzednich właścicieli w

moje bezpieczeństwo. Dopiero wypróbowałszy kilka razy, czy drzwi mimo to nie dadzą się otworzyć, wróciła do pokoju, usiadła, odetchnęła i rozpięła bluzę, spod której wyskoczyły dwie wielkie czereśnie nadrukowane na koszulce.

- Oni napadli na moje mieszkanie. Wybebeszyli je.

Przewrócili do góry nogami. Ktoś jadł z mojej miseczki. Ktoś siedział na moim krzeselku. Ktoś dotykał moich majteczek. Fuj, to okropne!...

- Zgłosiłaś to na policję?

- Tak - potwierdziła ku mojemu zaskoczeniu. - Ale wytłumaczyli mi, że nic złego się nie stało. Nic nie zginęło. Nic się nawet nie połamało. Żartowali sobie, że to pewnie mój były chłopak. Nie mogłam im powiedzieć, że to... no wiesz... Że to wiesz kto. Bo wtedy musiałabym im powiedzieć o naszej sprawie.

Rozalia wyjęła z plecaczka dwie puszkę z piwem. Jedną wyciągnęła zachęcająco w moim kierunku. Nie chciałam w oczach czytelnika uchodzić za mięczaka, ale odmówiłam. Wciąż jeszcze łupało mnie w czaszce, a przed oczyma wirowały krwiste kotlety, z którymi starałam się nie walczyć, wiedząc, że są produktem mojej zmęczonej wyobraźni.

- Kolację zjadłam na mieście - referowała Rozalia. -

Och, muszę się napić, żeby się trochę uspokoić. Ta historia, ten bałagan, twoje mieszkanie, to miasto, ta pogoda, ty sam, to wszystko wpływa na mnie przygnębiająco. Nie bierz tego do siebie. Jestem ci bardzo wdzięczna, że mnie gościsz, i przysięgam, że to sytuacja przejściowa. Chciałam się zatrzymać gdzie indziej, ale wszyscy moi znajomi są chwilowo zajęci. Mam masę przyjaciół w Warszawie. Dobrze ustawieni ludzie. Niektórzy mają nawet dwa pokoje. Ale wiesz, jak to jest. Biorą robotę na noc albo zostają w robocie, albo są w delegacji, albo akurat z kimś śpią... Albo mówią, że z kimś śpią, żeby inni myśleli, że z kimś śpią.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jaki to wszystko może mieć związek z naszą sprawą - powiedziałam wolno.

- To, że z kimś śpią? - spytała, zbita z tropu.

- To, że ktoś się do nas włamał. Mówiłaś tak, jakbyś wiedziała, kto to zrobił.

- To chyba jasne - odparła. - Iwo Maj!

- Dlaczego akurat on?

- Nie zdążyłam ci powiedzieć - powiedziała z bezczelną niewinnością, jakby zamierzała kiedykolwiek mówić mi o czymkolwiek, czego nie byłam świadkiem. - On mi nie zabrał „Koncertu łgarzy”. Wzięłam z mieszkania Harcownika najnowszą powieść Haliny. W tytule miała imię Ewelina... W życiu nie czytałam żadnych książek Haliny Mentiroso, ale Palmister tak je reklamował, że postanowiłam chociaż jedną przeczytać. Widocznie Iwo Maj zorientował się, że wziął nie to co trzeba, pomyślał, że go oszukałam, wrócił do swojego dziadka, zobaczył, że uciekliśmy, dowiedział się jakoś, gdzie mieszkamy, i włamał się do nas. Teraz będzie próbował znowu nas porwać, żeby wyciągnąć, gdzie schowaliśmy książkę.

Przez dłuższą chwilę konsumowałam te wiadomości, po czym odezwałam się stanowczo, a nawet z pewną satysfakcją:

- Twoja opowieść nie trzyma się kupy. Dlaczego Iwo

Maj od razu nie zorientował się, że zabrał nie to, co trzeba? Bo myślał, naiwniaczek, że chodzi o najnowszy romans Haliny Mentiroso. Powiedzmy, że działał na czyjeś polecenie, a ten ktoś nie wtajemniczył go do końca. Kiedy Iwo dostarczył mu niewłaściwą powieść, ów zleceniodawca kazał mu do nas wracać. Iwo wraca, ale nas już nie ma. Ustala więc, kim jesteśmy, włamuje się do naszych mieszkań i przeszukuje je. Nie twierdzę, że to niemożliwe. Twierdzę tylko, że to pracochłonne i czasochłonne. A Iwo Maj nie miał zbyt wiele czasu, ponieważ już około szóstej wieczorem wykitował...

- Co takiego? - oczy Rozalii rozszerzyły się ze zdumienia.

- Umarł, zszedł, oddał ducha. Skonał na moich oczach.

- Ale jak...?

- Jak go odnalazłem? Opowiem ci, i nie powstrzymuj się od okazania mi podziwu w najbardziej bezwstydnym sposób, jeśli poczujesz taką potrzebę. Kiedy Iwo Maj naruszył moją strefę

intymną, zwinąłem mu portfel...

- Jak umarł? - przerwała Rozalia. - Wpadł pod pociąg? Uduławił się śliwką?

- Ktoś wsadził mu nóż w brzuch. Sam raczej sobie tego nie zrobił. Tak czy siak, ten biedny idiota do końca się nie zorientował, że ma do czynienia nie z tą powieścią Haliny, o którą toczy się gra. Skontaktował się z Harcownikiem i próbował mu ją wcisnąć.

- Więc to Harcownik go zabił?

- Wszystko na to wskazuje. Myślę, że Iwo Maj chciał dobić targu z obiema stronami i dlatego skserował „Wyznania Eweliny”. Nie wiem, dlaczego najpierw skontaktował się z Harcownikiem. Może to przypadek, a może coś więcej: błąd.

- Kto w takim razie się do nas włamał? Postanowiłem na razie zignorować to pytanie.

- Ciekawsze, dlaczego Harcownik zabił Iwo Maja. Z tego, co mówił Palmister, odniosłem wrażenie, że facet odbiega od normy raczej w dobrym kierunku.

- Nawet święty może się czasem zdenerwować - odparła Rozalia tak pewnym głosem, jakby miała z tą kategorią coś wspólnego. - Pewnie Harcownik próbował wyciągnąć z Iwo Maja, gdzie jest „Koncert łgarzy”, groził mu nożem i trochę się zagalopował. Myślał, że Iwo Maj udaje twardziela, a ten biedak po prostu nic nie kumał..

- W takim razie musimy założyć, że jest dwóch morderców: jeden Haliny, drugi Maja. Bo jeśli Harcownik przyjechał do Iwo Maja po książkę, to znaczy, że jej nie miał. A jeśli jej nie miał, to nie on zamordował Halinę, ponieważ wówczas ukradłby jej książkę, ergo miałby ją. Chyba że... Chyba że bał się, że są dwa egzemplarze. Harcownik zabił Halinę i ukradł jeden z nich. Potem zadzwonił do niego Iwo Maj i okazało się, że ma drugi. Harcownik chciał go oczywiście odzyskać. Nic nie zagwarantowałoby mu, że Iwo Maj nie skopiowałby książki choćby sto razy, wiedząc, że to cenna rzecz ma do czynienia, Harcownik postanowił go więc zabić, przeszukać jego pokój,

dotrzeć do tajnych skrytek, przez podstawionych ludzi nagabywać jego przyjaciół, i tak dalej, i tak dalej. Ale po co zabijał, jeśli ten idiota nie miał „Koncertu łgarzy” i nawet nie zdawał sobie sprawy, że coś takiego istnieje?

- Harcownik nie ma ani jednego egzemplarza tej książki - stwierdziła Rozalia. - Dobrze jej szukałam. Miałam wystarczająco dużo czasu i światła, żeby niczego nie przegapić.

- Wierzę, ale weź pod uwagę, że mógł ją schować we własnym wydawnictwie.

- Ale nie schował. Spędziłam tam pół niedzieli i mogę to stwierdzić z całą pewnością.

Spojrzałam na nią z podziwem. Rozalia uśmiechnęła się, dumna i zadowolona.

- W takim razie jeśli ją ma, to tylko w sejfie w banku - powiedziałem. - Wziąwszy pod uwagę, że dwie osoby zginęły z jej powodu, nie wydaje mi się to przesadą, ale na pewno lekkim szaleństwem. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Halina wyprodukowała bestseller porównywalny z Biblią lub Harrym Potterem...

- Chodzi o co innego - oświadczyła Rozalia. - W mieszkaniu Harcownika znalazłam list. Nie wzięłam go, ale spisałam słowo w słowo. Zobacz...

Otworzyła plecaczek i wyjęła złożoną we czworo karteczkę, zapisaną niewprawną ręką:

Cześć, Tandeciarzu,

Zanim wyrzucisz te kartki do kosza, przeczytaj uważnie. Będziesz zaskoczony. Nie dlatego, żeby było to dla ciebie coś nowego. Wręcz przeciwnie. To przecież twoje życie.

To, co ci przestałam, jest tylko jednym z rozdziałów mojej nowej książki. nosi tytuł „Mój drogi mąż”. Jeśli zechcesz ją wydać, będziesz mógł go usunąć. żeby skłonić cię do poważniejszego rozważenia mojej propozycji, wysłałam podobny rozdział naszemu drogiemu

przyjacielowi P. nosi tytuł „Mój drogi przyjaciel P.”. możesz się domyślać, co w nim zawarłam, ale i tak będzie to tylko drobna cząstka tego, co się tam znajduje. Dobrze przygotowałam się do tej bitwy. Wygra ją jeden z was dwóch. Oraz ja. Zupełnie inaczej niż do tej pory.

Bez fałszywych czułości H.

- A więc nie mamy do czynienia z literaturą piękną, tylko z pięknym szantażem! - wykrzyknąłem.

Teraz rozmowa pomiędzy Palmistrem a Harcownikiem, którą podsłuchała Ina, nabrała nowego sensu. Palmister chciał zrobić „coś” wspólnie z Harcownikiem - miał nadzieję, że jeden z nich kupi książkę, ale zamiast ją wydać, zniszczy, by uratować siebie i tego drugiego. Ale Harcownik nie przystał na ten układ, być może dlatego, że nie dowierzał swojemu przyjacielowi z dawnych lat, a może zwyczajnie go nie lubił i nie chciał mu iść na rękę.

- To był prawdziwy list, nie drukowany, tylko napisany odręcznie na prawdziwej papeterii! - entuzjazmowała się tymczasem Rozalia. - Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam!

- Halina specjalnie wysłała go do domu Harcownika, a nie do jego firmy, żeby nie wpadł w ręce kogoś niepowołanego - myślałem na głos. - Nie użyłaby maila. Bałaby się, że sekretarka go przeczyta. Rozumiem, że nie znalazłaś rozdziału pt. „Mój drogi mąż”?

Pokręciła głową ze szczerym zawodem.

- Teraz już wiemy, dlaczego Palmister był taki pewny, że żaden inny wydawca oprócz niego i Harcownika nie wie o książce - powiedziałem. - Halina pisała ambitne gnioty, których nikt nie chciał wydawać. Przy kolejnym takim dziele wymyśliła sprytny szantaż, żeby zmusić albo Palmistra, albo Harcownika do jego wydania. Była przekonana, że kiedy prawdziwy czytelnik dostanie tę książkę do rąk, na pewno się na niej pozna. I może

nawet miała rację, ale Palmister nie podzielał jej optymizmu. Od początku chciał zniszczyć „Koncert łgarzy”. Specjalnie powiedział nam, że to arcydzieło, żebyśmy do niego nie zajrzeli. To wyjaśnia, dlaczego ukrywa się w tej norze po ciotecznym dziadku. Trzęsie się ze strachu, że jego brudy wypłyną nie wiadomo jak i gdzie. A Harcownik tak się stresuje, że chodzi od okna do okna i przeżywa twórczą niemoc, chociaż powinien skakać z radości, że został wdowcem...

Ponieważ Rozalia wyraziła zdziwienie, skąd tak dobrze znam stany duchowe Harcownika, opisałem jej ciąg dalszy swoich przygód od spotkania z Szarą Myszą aż do zwalenia się pod stół w lokalu „Kaprissio”. Współczuła mi umiarkowanie przez jakieś dziesięć sekund, a potem zaproponowała, żeby dłużej nie zaprzętać sobie głowy kwestią, kto zabił (ani tym bardziej, kto mi zabełtał błękit w głowie), ale kto się do nas włamał i gdzie szukać książki. Żeby dłużej nie dręczyć jej przynajmniej tym pierwszym pytaniem, ze skruchą wyznałem jej prawdę o sobie, o Bercie i o włamaniu. Sądziłem, że przyjmie to rozsądnie, a tymczasem ona zdzieliła mnie w twarz z taką mocą, że upadłem na podłogę razem z krzesłem i na chwilę straciłem przytomność. Zanim doszedłem do siebie, już sobie poszła. Potraktowałem to ze spokojem. Z takim prawym sierpowym nie musiała bać się nocy.

12. BARDZO ZŁA KSIĄŻKA, OLIMPIJCZYK I SEKRETARKA

Przystojny młody człowiek, w dodatku hrabia, imieniem Bernard, szukał żony. Nie pragnął ideału. Nie oczekiwał miłości. Liczył na wielki posag, który pomógłby mu dźwignąć z upadku jego rodzinne gniazdo, zrujnowane przez ojca, rozpustnika i hulakę. Miał na oku kilka niezbyt grubych, niezbyt głupich i niezbyt brzydkich panien, których ojcom marzył się zięć z dobrej rodziny, choćby goły jak święty turecki. Bernard postanowił, że jedna z nich zostanie jego żoną. Jego wierzyciele nie mogli się tego doczekać.

Pewnego dnia jeden z przyjaciół i zarazem sąsiadów Bernarda zabrał naszego bohatera w odwiedziny do swojej kuzynki Matyldy. Była to pełna wdzięku dziewczyna o niepośledniej urodzie, znakomitym urodzeniu i budzącym szacunek posagu, posiadająca wszakże tę wadę, że choć wkraczała już w wiek staropanieński, nie wykazywała najmniejszej chęci do zamążpójścia. Tłumy adoratorów bezskutecznie starały się zmienić jej decyzję, której powody były jej gorzką tajemnicą. Czy chodziło jej o gwałtowną a czystą miłość, której nie poczuło nigdy jej dumne serce? Czy też przeciwnie, jej serce poczuło, lecz wybranek z powodu chorobliwej oziębłości, więzów małżeńskich lub odmiennych preferencji seksualnych nie wykazał podobnej ku niej skłonności? A może nie chciała rozstawać się ze swą panięńską swobodą? Wiadomo przecież, jacy potrafią być mężczyźni, a raczej nigdy nie wiadomo. A może pragnęła poświęcić życie matce, osobie o umysłowości kury domowej i ambicjach cesarza Nerona, która skutecznie zatrąła już życie trzem mężom, a teraz zamierzała zrobić to samo obu córkom? Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć, a

podmiot owych spekulacji, piękna Matyllda, była zbyt dumna, aby się tłumaczyć.

Uroda Matylldy, jej wdzięk, dowcip, inteligencja, zdrowe zęby, wąskie stopy i białe dłonie tak poruszyły biednego Bernarda, że nie minął tydzień, kiedy nasz bohater wpadł w sidła beznadziejnej miłości. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, postanowił uciec do swoich mieszczańskich wybranek i co prędzej wybrać którąś z nich, kierując się choćby rozmiarem obuwia. W dniu pożegnania, podczas spaceru samowtór Matyllda nieoczekiwanie przedstawiła naszemu bohaterowi pewną niezwykłą propozycję. Jesteś, rzekła Matyllda (mówiła długo, co opiszę krótko), przystojnym mężczyzną, dżentelmenem, człowiekiem wykształconym starannie, choć nieprzesadnie. Mimo wspaniałych cech osobistych, które posiadasz, nie możesz być uważany za dobrą partię. Wszyscy wiedzą, w jakim stanie jest twój majątek. Mój posag mógłby postawić cię na nogi. Proponuję ci oto pewien układ, zwany eufemistycznie małżeństwem. Będzie on dla ciebie niezrozumiale korzystny w oczach tego świata, który kieruje się pozorami, lecz musisz wiedzieć, że i ja mam pewien, by tak rzec, defekt, którego istnienie muszę uczciwie wyjawić. W moim życiu był pewien mężczyzna. Mówiąc wprost, ty jesteś kawalerem bez pieniędzy, a ja panną bez cnoty. Jeśli zaakceptujesz mnie bez żadnych pytań, stworzymy wspaniały związek, którego powodzenie gwarantują brak złudzeń i duże pieniądze. Nie spiesz się z odpowiedzią, a jeśli będzie ona odmowna, pozwól mi się o tym dowiedzieć z zaproszenia na ślub z inną.

Bernard odszedł bez słowa, upokorzony i obrażony. Ta pełna wdzięku istota okazała się chłodnym i wyrachowanym graczem. Przejrzała go na wylot, zobaczyła w nim nędznego łowcę posagów. Myliła się jednak: jego sytuacja nie była tak fatalna, by musiał się żenić z kobietą bez honoru.

Jednakże z biegiem stron zmieniały się uczucia Bernarda. Wrócił do swoich panien, lecz nie potrafił wybrać żadnej z nich: wydawały mu się podobne do dobrze utuczonego drobiu. Ich

posagi były żalosne w porównaniu z tym, co mogła mu ofiarować Matylda. A kto mógł mu zagwarantować, że żadna z nich nie ukrywała tego, co tamta tak otwarcie wyznała? Tak rozumując, przemógł męską dumę i przyjął oświadczyzny Matyldy.

Początkowo ich małżeństwo było grą pozorów. Stopniowo jednak, jak można się było spodziewać, znając fabułę innych książek Haliny, stosunki między bohaterami zaczęły się ocieplać. Matylda swym nienagannym gustem pomagała przy restauracji pałacu i nigdy nie kwestionowała wydatków Bernarda. On ciągle był pod urokiem jej zalet, które tak go urzekły w pierwszych dniach znajomości (wąskie stopy, białe dłonie). Dziesiątki drobnych przeżyć dnia codziennego zbliżyły ich do siebie tak skutecznie, iż pewnego dnia Matylda oświadczyła, że jest w ciąży.

Tu muszę wtrącić, że jeśli ja zaskoczyłem swego czytelnika, to czytelnik oryginalnej powieści Haliny Mentiroso z pewnością nie mógł się czuć zaskoczony, Halina nasyciła bowiem „Siostrę Matyldy” opisami wystarczającej ilości zbliżeń seksualnych (jak dla mnie, ujętych zbyt zdawkowo), by uczynić tę wiadomość prawdopodobną. Bernard, jako ich bohater, również nie był zaskoczony, a jeśli już, to szczęśliwie. Miało się to wkrótce zmienić. Oto pewnego dnia kuzyn Matyldy i przyjaciel Bernarda, będący zarazem ich sąsiadem, dał Bernardowi do zrozumienia, że również czuje się ojcem in spe tego samego dziecka in spe, a gdy Bernard zażądał wyjaśnień lub satysfakcji, odesłał go po obie te rzeczy do Matyldy, stwierdzając, że nie rozumie jego gniewu, gdyż układ między małżonkami był, jak sądził, zupełnie jasny, o czym Matylda poinformowała go przecież przed ślubem.

Matylda przyznała, że to ów kuzyn był przyczyną jej przedłużającego się panieństwa, lecz zarazem zapewniła o swej uczciwości. Człowiek ten (rzekła) mści się za to, iż go odrzuciła, kiedy chciał po latach odnowić ich niestosowny związek. Bohater nasz jednak, i wcale go za to nie winimy, nie uwierzył żonie i przestał z nią rozmawiać, dowodząc tym samym jedynie

swego opanowania i wyrozumiałości, ponieważ wyobraźnia podpowiadała mu zgoła odmienny sposób rozwiązania małżeńskiego kryzysu. Matylda również przestała z nim rozmawiać, a nie mogąc znieść nabrzmiałej podejrzewaniem atmosfery, wybrała towarzystwo swojej upiornej mamusi. W tymże towarzystwie urodziła bliźnięta i zmarła.

Jako że było to wystarczająco daleko od miejsca, w którym żył, mieszkał i cierpiał nasz bohater, postanowił on, że nie będzie więcej myślał o dzieciach wiarołomnego przyjaciela i jeszcze bardziej wiarołomnej żony i zajmie się swoimi sprawami. Po jakichś czterech latach zapomniał o szczęściu i cierpieniu, które zadała mu ta zła kobieta, i postanowił się ożenić. Jego wybranką okazała się pewna szlachetnie urodzona panna, posiadająca trzy ujmujące zalety, gwarantujące spokój domowego ogniska: była brzydka, religijna i małomówna. Bernard był, jak widać, matrymonialnym minimalistą.

I oto w dniu, kiedy wydawał zaręczynowe przyjęcie, przybyła siostra Matyldy razem z jej dziećmi. Bernard polecił służbie, by się nimi zajęła, lecz następnego dnia musiał stawić czoło nieproszonym gościom. Jakież było jego szczęście, kiedy zobaczył, że dzieci mają charakterystyczną cechę jego rodu - co to było, już nie pamiętam, rude loki, dołek w brodzie czy znamię w kształcie łasicy, tak samo jak Bernard i jego ojciec, ojciec jego ojca oraz jego pradziad, u którego po raz pierwszy objawiło się to genetyczne figo-fago.

Dziewczyną, której zawdzięczał wychowanie dzieci, bynajmniej nie rozplęwała się ze szczęścia. Oświadczyła, że choć życzeniem jej siostry było, aby Bernard poznał dzieci, to ona nigdy nie zostawi ich ojcu, którego nie znają, i macosze, która sprawia wrażenie niedorozwiniętej. Chociaż Bernard uznał, że decyzja ta jest niesprawiedliwa, nie mógł oprzeć się porównaniu swojej narzeczonej ze szwagierką, jakże niekorzystnym dla tej pierwszej. Kiedy stwierdził półzartem, że to raczej siostra Matyldy powinna zostać jego żoną, ta odparła, że o niczym więcej nie marzy, od kiedy ujrzała go po raz pierwszy.

W jednej chwili nasz bohater zrozumiał, że to ona, ta, której wcześniej nie zauważał, jest lepszą z dwóch sióstr. Cóż mógł zrobić, jeśli nie spełnić życzenia owej upartej i złośliwej, lojalnej i skłonnej do poświęceń, a zarazem pięknej dziewczyny? Aby jednak tego dokonać, musiał najpierw wypłatać się z wcześniejszych zobowiązań. Rozpuścił więc plotki, niezbyt dalekie od prawdy, jakoby był masonem, ateistą i zwolennikiem teorii Darwina. Bogobojni rodzice jego narzeczonej sami pozbawili go zaszczytu jej poślubienia, dzięki czemu sieroty znalazły ojca, siostra Matyldy wymarzonego męża, Bernard spokój i szczęście, a ja dotarłem do brzasku i do końca książki, a zarazem tego rozdziału.

Następnego ranka tuż przed dwunastą obudziło mnie bestialskie walenie do drzwi. Owinąłem głowę mokrym ręcznikiem i poszedłem otworzyć.

- Dlaczego się pan tak tłucze? - warknąłem do Stanisława Pumskiego.

- Stukałem normalnie, o, tak - zgiął palec i zademonstrował.

- Niech pan przestanie!

- Jest pan chory? - spytał z uprzejmym współczuciem.

- Trochę za długo czytałem w nocy.

- Jeśli lektura jest kiepska, skutki mogą być opłakane - rzekł sentencjonalnie. - Wracam od pańskiego wuja.

Wyraziłem zdziwienie, że uwinął się tak szybko, zaprosiłem go do środka, przeprosiłem za brak czegokolwiek, czym mógłbym go poczęstować, i poprosiłem, aby opowiedział mi o rezultatach swej misji.

- Wpół do jedenastej odwiedziłem biuro pańskiego wuja. Muszę przyznać, że byłem pod dużym wrażeniem wnętrza, jakby żywcem przeniesionego z filmów noir. Szkoda, że pański wuj psuje cały efekt swoją obecnością. Przedstawiłem się jako prawnik i wykonawca ostatniej woli pani Mentiroso, posługując się przy tym wizytówką, wręczoną mi pół godziny przedtem

przez jednego z początkujących pracowników kancelarii „Malinowski i Glydr”. Oświadczyłem, że znalazłem w jej notatkach informację, jakoby zleciła agencji „A. A. Kowalski i Detektywi” pewne delikatne zadanie, ale nie znalazłem żadnego rachunku, który dowodziłby, iż za nie zapłaciła, choć była osobą bardzo skrupulatną. Jestem zmuszony (kontynuowałem) poprosić, aby agencja „A. A. Kowalski i Detektywi” zakończyła owo zadanie na takim etapie, na jakim się ono znajduje, jego rezultaty nie będą już bowiem interesować ich klientki. Wyjaśniłem, że chciałbym odebrać wszystkie materiały, które powstały przy tej okazji, oraz uiścić wszelkie należności według stawek ustalonych z panią Mentiroso. Pański wuj udał, że pilnie szuka informacji w notesach, kalendarzach i dokumentach, a także wykonał dwa telefony do zegarynki, której powtórzył moje pytania. Następnie stwierdził, że szczęśliwym trafem owo zadanie zostało wykonane nie dalej jak wczoraj, po czym oszacował je na sumę, która sprawiła, że miałem ochotę tarzać się po linoleum w paroksyzmach śmiechu.

Zgodziłem się jednakże na ten rozbój w biały dzień i poleciłem, aby wysłał rachunek do kancelarii „Malinowski i Glydr”. Pański wuj zniknął w kanciapie, którą miał za swoimi plecami i z której wyniósł, by mi ją wręczyć, szarą kopertę, tę oto. Kiedy rozluźniliśmy się po dokonaniu służbowych czynności, spytałem pańskiego wuja, czy dobrze znał Halinę Mentiroso. Odrzekł, że przed osiemdziesiątym dziewiątym rokiem spotykali się bardzo często i choć jej postawa psuła mu wyniki, polubił ją szczerze, była bowiem całkiem ładną dziewczyną. Podczas spotkań streszczała mu dzieła literatury światowej, na których przeczytanie pański wuj nigdy nie miał czasu. Dziś żałuje, że nic z tego nie pamięta. Nie widzieli się kilkanaście lat. W marcu lub kwietniu przyszła do agencji „A. A. Kowalski i Detektywi”, rozpoznała pańskiego wuja i wydało jej się to na tyle zabawne, że z miejsca zaproponowała, aby zajął się jej zleceniem. Zdaje się, że miała wiarę w jego szczególne kompetencje i kwalifikacje moralne. Nawiasem mówiąc, czy wie pan, co po hiszpańsku

oznacza Mentiroso?

- Nie wiem - odrzekłem zimno.

- Kłamiwa - wyjaśnił z satysfakcją.

Z całej tej przemowy wyniosłem, że mój sąsiad lubi się popisywać inicjatywą, że to gaduła, zarozumialec i ogólnie rzecz biorąc, kawał wścibskiego skurczybyka. Z pewnością zajrzał był do koperty, a może nawet coś z niej uszczknął. Podziękowałem mu chłodno i spytałem, czy wybrał rodzaj gratyfikacji. Odparł, że reflektuje na medal, za którym zdążył się już stęsknić.

Oczywiście, wiedziałem, że Berta nie jest tak głupia, by wraz ze swoimi wątpliwej reputacji znajomymi okradać sąsiednie mieszkania i robić z mojego dziuplę pasera. Zrobiła to, z czego byłby dumny każdy rodzic jedenastoletniej dziewczynki: otworzyła u mnie lombard na lichwiarski procent. Stanisław Pumski powinien całować mnie po rękach za to, że pozwoliłem mu odzyskać ten głupi medal tak małym kosztem. Nie okazał jednak należytej wdzięczności, wobec czego wypchnąłem go za drzwi i czym prędzej rozerwałem szarą kopertę.

Miałem nadzieję, że wuj nie wcisnął do niej zużytych skarpetek ani zdjęć ulubionej gwiazdy porno. Był do tego zdolny. Na szczęście wygląd i wymowa Stanisława Pumskiego oraz wizytówka kancelarii „Malinowski i Glydr” zrobiły na nim tak duże wrażenie, że wyjął autentyczne materiały ze swojego prywatnego archiwum, w którym znajdowały się kopie wszystkich spraw prowadzonych przez naszą agencję, choć, jak mi się zdaje, prawo tego zabrania. Myślał pewnie, że prawnik Haliny doskonale orientuje się, jakiego rodzaju zlecenie powierzyła naszej agencji, a skoro chciał (mój wuj, nie prawnik) zarobić na tym jeszcze jakieś pieniądze oprócz tych, które wyciągnął już od Haliny Mentiroso, nie mógł zbyt prostacko robić w konia szacownej kancelarii.

W kopercie znajdował się więc plik zdjęć, przedstawiających dwóch mężczyzn: jeden z nich, starszy, miał na sobie biskupie szaty, a drugi, ergo młodszy - kusą komżę ministranta, z której wyrósł jakieś siedem lat przedtem. Mniej domyślnym

czytelnikom wyłożę wprost, że obaj panowie mieli na sobie wyłącznie szaty liturgiczne, i to też niekompletne. Podpisy na odwrocie informowały o datach i miejscach ich spotkań, a także o prawdziwych i fałszywych nazwiskach, którymi się posługiwali. W świetle, czy raczej mroku tych potworności, ostatnie słowa Iwo Maja nabrały zupełnie nowego znaczenia.

Długo zastanawiałem się, gdzie mogę ukryć ten ponury łup, aż w końcu uznałem, że najwłaściwszym miejscem będzie album ciotki Dzierzyszczaw. Włożyłem zdjęcia między kartki i odłożyłem album na piec kaflowy. Ciotka zostawiła go tam sama kilkanaście lat temu. Miałem tylko nadzieję, że nostalgia nie skłoni jej nagle do poszukiwania podobizn swoich antenatów, zwłaszcza że niezależnie od płci byli paskudni, wąsaci i wychodzili nieostro, pewnie dlatego, że fotograf płakał ze śmiechu, kiedy naciskał wyzwalacz.

Potem tyknąłem dwie aspiryny, ogarnąłem się bez widocznych efektów i wyszedłem na miasto.

Na Poczcie Głównej przywitano mnie jak starego znajomego. W przybytku tej prastarej instytucji, na temat której nie mam zdania, odkąd inna firma przejęła od niej usługi telekomunikacyjne, a wraz z nimi wszystkie moje emocje (negatywne), otrzymałem książkę telefoniczną, a następnie skorzystałem z telefonu.

- Wydawnictwo „Harcownik Editors” - usłyszałem w słuchawce.

Miałem wrażenie, że oba „r” były trochę charczące, ale mogły to być również zakłócenia na linii. Wobec tego zacisnąłem nos i przedstawiłem się jako przedsiębiorca pogrzebowy, zajmujący się ceremonią pochówku świętej pamięci Haliny Mentiroso.

- Ale sekcja jej zwłok jeszcze się nie zakończyła - zaproponowała moja rozmówczyni. - Podobno zginęła śledziona, a to ważny dowód rzeczowy.

- Śledziona pani Mentiroso jeszcze się nie znalazła, ale czekanie na nią mogłoby potrwać lata. Dlatego zastąpimy ją

gumową kaczuszką. Nie ma to zresztą większego znaczenia, jeśli zdecydują się państwo na kremację i urnę. Co innego, jeśli w grę wchodzi trumna i krypta, ewentualnie murowany grób. Czy sama wybierze pani rodzaj pochówku, czy też będziemy tymi drobiazgami zwracać głowę nieutulonemu w żalu wdowcowi?

- Wybieram kremację i urnę - oświadczył głos stanowczo. - A zresztą, żadnej urny. Niech pan rozrzuci prochy nad bajorem dla krokodyli. To ulubione zwierzęta nieboszczki.

Usłyszałem wystarczającą liczbę „r”, żeby się przekonać, że Ina Szara Mysz ma się świetnie. Trochę mi ulżyło, chociaż z drugiej strony byłem rozczarowany. Przed oczyma stawały mi już najczarniejsze scenariusze jej losów, które usprawiedliwiłyby obojętność wobec moich. A tymczasem następnego dnia ona spokojnie poszła do pracy. Już dawno nie przeżyłem większego zawodu dotyczącego kobiety. Wiedziałem, że te piękne są dwulicowe, ale po brzydkich spodziewałem się większej rzetelności.

13. AWANTURA NA ODDZIALE

Takie rozważania snułem w drodze do szpitala, gdzie, jak pamiętają uważni czytelnicy, miała się znajdować Alina Pofiściel z domu Sopelkundel i gdzie odnalazłem ją w pięciosobowej sali wypełnionej połamańcami oraz ich gośćmi. Ponieważ okna nie dawały się otworzyć, otwarto drzwi, ale powietrze w środku i tak można było kroić nożem. Poziom hałasu przekraczał średnią dzienną z Marszałkowskiej, ludzie chodzili w tę i z powrotem, po sobie, po łózkach i po pacjentach, żartom i awanturom nie było końca, jednym słowem, gorąca, rodzinna atmosfera.

Alina była jedyną osobą, której łóżka nie obsiadali goście, której szafka nie była zastawiona produktami z domowej kuchni lub z supermarketu. Kilka lat młodsza od Haliny, wszystko, co zyskiwała z racji wieku, traciła z racji stresów, złego odżywiania i kiepskich kosmetyków, tak że sprawiała wrażenie jej zanedbanej siostry bliźniaczki. Swoją zbolałą twarz i takież wzrok skierowała na okno. Prawą ręką skubała nerwowo dziurawą poszewkę ze stemplem szpitala. Zgodnie z tym, co twierdził Ciupa, miała nogę w gipsie, a z lewej ręki wystawała jej kroplówka, chociaż o tym akurat nie wspominał.

Wysunąłem stołek spod jakiejś dziewczynki, która uniosła gruby tyłek, żeby wyciągnąć ciasto z koszyczka babuni. Kiedy po chwili jej kość ogonowa gwałtownie zetknęła się z podłogą, ja siedziałem już trzy łóżka dalej, u wezłowania Aliny Pofiściel.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przeszukać jej szafki albo łóżka pod pozorem poprawienia pośłania. Ale, pomyślałem, gdyby to Alina zwinęła „Koncert łąrzy”, czy zabierałaby go ze sobą do szpitala? Jej mieszkanie też nie nadawało się na skrytkę, o ile mamuśka Sopelkundel mówiła prawdę. Gdzie więc mogła trzymać książkę?

Mogłem się tego dowiedzieć tylko od niej.

- Nazywam się Henryk Szczupaczydło i jestem szpitalnym psychologiem - powiedziałem głosem słodkim jak miód. - Czy mógłbym pani jakoś pomóc?

W pierwszej chwili spojrzała na mnie jak na zbawcę, w drugiej jak na oprawcę.

- Chce pan zrobić ze mnie wariatkę? - spytała z gniewem.

- Bierze mnie pani za psychiatrę. My, psychologowie, zajmujemy się autentyczną pomocą. Nie chodzi tylko o to, że swobodnie może się pani przede mną wygadać. Jesteśmy pod tym względem lepsi niż księża: mamy w nosie śmieszna kategorię grzechu. Nie będę pani oceniał.

Nie interesuje mnie, czy zrobiła pani coś złe, popełniła błąd lub przestępstwo. Interesuje mnie tylko pani dobro.

- Moje dobro! - prychnęła. - To trochę mało, nie sądzi pan?

- Ja też chciałbym zbawić całą ludzkość, ale za trzy pięćdziesiąt za godzinę mogę się zająć tylko panią - odparłem ze smutkiem. - Proszę mi powiedzieć, co panią trapi. Może mógłbym coś dla pani zrobić, coś przywieźć albo coś komuś przekazać...

Alina Pofiściel gwałtownie zaprzeczyła i znów oddała się wypatrywaniu przez okno.

- Zacznijmy od początku - powiedziałem cierpliwie.

- Widzę wyraźnie, że coś panią martwi. Jestem najwłaściwszą osobą, której może się pani zwierzyć.

Tym razem nawet nie zareagowała.

- Cóż, nic na siłę - wzruszyłem ramionami i dodałem z fałszywym uśmiechem pocieszenia. - Na pewno sama sobie pani poradzi. - Uniosłem tyłek nad stołkiem, który jednak nadal trzymałem w rękach. - Do widzenia, pani Po...

- Niech pan zaczeka - przerwała.

Usiadłem i w napięciu czekałem na ciąg dalszy.

- Ma pan rację. Martwię się... Martwię się o moją siostrzenicę - wydusiła wreszcie.

- Dobrze - kiwnąłem głową, ciepłym uśmiechem maskując rozczarowanie. - Czy ma pani po temu jakieś powody?

- Myślę, że ją porwano - rzekła i wielka kropla wydostała się z jej oka.

- Porwano? Kto? I dlaczego?

- Nie wiem, nie wiem - szepnęła Alina i w ślad za pierwszą łzą popłynęła następna.

Postanowiłem udawać, że nie mam żadnych wątpliwości co do stanu jej umysłu. Byłem pewien, że w tym bełkocie zdradzi w końcu, co zrobiła z książką.

- Dobrze - zgodziłem się znowu. - Skąd w takim razie pani wie, że chodzi o porwanie?

- Ponieważ mi to powiedzieli. Oni, ci porywacze!...

Alina Pofiściel zaczęła się trząść i miałem wrażenie, że zaraz rozbeczy się na całego. Opanowała się z trudem i wskazała na kropłówkę.

- Niech pan to odkręci - powiedziała.

- Co to takiego?

- Środek na uspokojenie. Boję się, że zaraz rozbeczę się na całego.

- Nic nie będę pani odkręcał. Niech się pani weźmie w garść i skupi. Albo jest pani stuknięta, albo mamy do czynienia z poważną sprawą. Kto, co i kiedy pani powiedział?

Alina Pofiściel gwałtownie zamrugała, po czym szeroko otworzyła oczy i spojrzała na mnie przytomniej.

- Oczywiście. Oczywiście. A więc... W sobotę rano jechałam do pracy i wtedy zadzwoniła komórka. Odebrałam. Ktoś powiedział: „Porwaliśmy twoją... twoją siostrzenicę. Masz być za piętnaście minut w budynku przy Grzybowskiej, wejście od Okopowej”. Podali mi adres i numer pokoju na piętrze. Powiedzieli, że mam być sama i nie powiadamiać policji, bo inaczej Anetka zapłaci najwyższą cenę. Nie dopuścili mnie do głosu. Jeszcze raz powtórzyli adres i rozłączyli się.

- Jacy oni? Było ich kilkoro?

- Porywaczy zawsze jest kilkoro, prawda? - rzekła, dając tym do zrozumienia, że twórczość kryminalna nie jest jej obca. - Ale mówił tylko jeden. Miał dziwny głos, ani męski, ani kobiecy.

Szeptał.

- Ale czego właściwie chciał?

- Przecież panu mówię, żebym tam pojechała...

- Jeśli ktoś kogoś porywa, to zwykle dla okupu.

- Nic nie mówił. Zresztą ja przecież nic nie mam.

- Więc dlaczego zadzwonili do pani? Przecież ta dziewczyna ma matkę.

- Tak. Oczywiście. Ale ja... Nie mam pojęcia. Wiedziałam tylko, że nie mogę ryzykować. Anetka lubi pakować się w kłopoty. Ma dziwne towarzystwo. Pomyślałam, że to może jacyś narkomani. Że wystarczy im parę groszy... Och, zresztą nie wiem, co myślałam. Wsiadłam z autobusu i wzięłam taksówkę, bo miałam spory kawałek. No i tam był taki budynek, taka rudera, aż strach było wejść. Ale weszłam od razu, prawie biegłam, bo przyjechałam już po czasie...

- To znaczy?

- Po co pan zadaje te wszystkie pytania? - zbuntowała się w końcu.

- Czas, proszę pani, to podstawowa rzecz, jeśli chodzi o porwania. A poza tym nie chcę, żeby pominęła pani jakiś szczegół, który może okazać się ważny. No więc?

- Pamiętam, że powinnam tam być za kwadrans dziesiąta. Spóźniłam się siedem minut. Myśli pan, że to miało znaczenie? - W jej oczach znów rozbłyły łzy.

- Niech pani mówi, co było dalej.

- Weszłam tam... do tego pomieszczenia... I wtedy ktoś od tyłu uderzył mnie w głowę. Straciłam przytomność. Dwie godziny tam leżałam. Znalazł mnie jakiś bezdomny. Zawieźli mnie do szpitala. Byłam wychłodzona, miałam wstrząśnienie mózgu. Okazało się, że nie mam dokumentów, telefonu, nic. Pozwolili mi wykonać jeden telefon. Wie pan, jak z więzienia. To znaczy, w Stanach, bo nie wiem, czy u nas pozwalają. Zadzwoniłam do Anetki, mojej siostrzenicy. Telefon nie odpowiadał. Mam złe przeczucia, bardzo złe przeczucia, bo jeśli oni... Och!...

- No, no, spokojnie! - Poklepałem Alinę po dłoni i oddałem się

gorączkowym rozmyślaniom.

Nie miałem wielkiego doświadczenia w określaniu czasu zgonu, ale z moich szacunków wynikało, że Halina została zamordowana około dziewiątej siedemnaście, no, może pół godziny wcześniej lub później. W tym czasie Alina, jak twierdziła, dostała telefon i pojechała do odludnego miejsca znajdującego się niemal na drugim końcu Warszawy w stosunku do mieszkania Haliny, gdzie otrzymała cios w głowę i straciła przytomność. Mogła jednak równie dobrze sama zamordować Halinę, dojechać na Grzybowską nie przed dziesiątą, ale nawet godzinę później, uderzyć się w głowę i czekać, aż ktoś ją znajdzie, do pewnego stopnia potwierdzając w ten sposób swoje alibi.

A może ktoś rzeczywiście porwał Anetkę? Ktoś, kto zjawił się u Haliny przed Iwo Majem i znalazł wyraźny ślad, że to Alina zabiła siostrę i ukradła książkę. Ten ktoś, żeby zdobyć „Koncert Łgarzy”, wziął Anetkę na zakładniczkę.

Alina pojawia się w ruderze na Grzybowskiej. Porywacz Anetki wali ją w głowę i odbiera książkę. Lub też nie odbiera, ponieważ Alina nie ma jej przy sobie. W takim razie pani Pofiściel ma pełne prawo do wyrzutów sumienia i lęku o swoją siostrzenicę.

- I co teraz? - Alina szarpała mnie za rękę.

- Mój Boże, myślę - powiedziałem. - A tak nawiasem mówiąc, co się stało z pani nogą?

- A, to tutaj, jak mnie przywieźli. Kiedy telefon Anetki nie odpowiadał, postanowiłam uciec ze szpitala. Ale kiedy wybiegałam, automatyczne drzwi przycięły mi nogę. Przewróciłam się, no i niech pan patrzy! Jestem unieruchomiona!

- Dobrze - mruknąłem, bardziej żeby uspokoić siebie niż ją. - Po pierwsze, musimy sprawdzić, co się dzieje z Anetką.

- Tak, tak! - wykrzyknęła entuzjastycznie.

Zanim jednak podałem jej swój plan, i dobrze, bo jeszcze go nie miałem, przy wejściu powstało małe zamieszanie. Do sali próbowała wejść pielęgniarka, kobieta o kształtach i wdzięku

cukrowego buraka. Na głowie miała siwy kołtun, na twarzy maseczkę higieniczną, a przed sobą fotel na kółkach. Jej starania przyjęto z lodowatą obojętnością. Jedynie dwie czy trzy osoby, które próbowała staranować, stwierdziły w słowach prostych i męskich, że w porze wizyt nie ma prawa zabierać chorych na badania, gdyż czas dla rodziny jest czasem świętym.

- To żadne badania! - wrzasnęło babsko. - W szpitalu wybuchła epidemia tepsy. Zabieram zdrowych do izolatki.

Jej słowa wywarły piorunujące wrażenie. Goście w popłochu rzucili się do ucieczki. W ciągu minuty sala zamieniła się w pobojowisko rozrzuconych wiktuałów, domowych leków, dodatkowych koców i brudnej bielizny. Połamańcy, przykuci do łóżek, zaczęli wyc o pomoc. Jedna z lżej uszkodzonych skoczyła przez okno razem z szybą. Alina Pofiściel wyrwała z ręki kropiówkę i chciała pójść w jej ślady, ale kiedy tylko zdołała zwlec się z łóżka, pielęgniarka zagroziła jej drogę.

- Panią zabieram do izolatki – oświadczyła i pchnęła wózek tak umiejętnie, że Alina sama na nim usiadła.

Klepnąłem pielęgniarkę po gruszkowatym odwołku, z którego opadła poducha.

- Cześć, Róża - powiedziałem. - Nie wiem, czy weźmiesz to za komplement, ale wyglądasz jak moja ciotka na noworocznym balu tajniaków.

- Czuję, że coś knujesz, i postanowiłam cię śledzić - odparła Rozalia. - Widziałam, że próbowałeś wziąć tę babkę na gładkie słówka, ale nic ci z tego nie przyszło. Jeszcze nie wiem, co to za jedna, ale z pewnością zaraz dowiem się tego i wielu innych rzeczy.

Alina patrzyła na nas z przerażeniem i otwartymi ustami. Rozalia wyjęła z kieszeni strzykawkę wypełnioną mętnym płynem i skierowała ją w stronę Aliny.

- Dalej, harcerzyku - zwróciła się do mnie. - Gadaj, kim jest ta babka albo zrobię jej kuku.

Nie dałem się długo prosić.

- To Alina, siostra Haliny – powiedziałem.

- A więc kłótnia między siostrami? – mruknęła refleksyjnie Rozalia. - Jakie to życiowe. Przyznała się, że ma książkę?

- Jaką książkę?! - jęknęła Alina.

- Rozumiem: udaje głupią. Obszukaj jej wyrko i bambetle.

Obszukałem. Jedyнным znaleziskiem była garść pigułek w poszewce. Na ten widok jakaś idea rozblęta w mojej głowie jak meteor, by po chwili zgasnąć w mrokach niepamięci.

Ponieważ połamańcy robili się coraz bardziej natarczywi, mając nadzieję, że w zamian za medaliki i obrączki pomożemy im w ucieczce, Rozalia popchnęła wózek z Aliną i wydostaliśmy się na korytarz. Wieść o epidemii zdążyła roznieść się już po szpitalu. Po korytarzach biegali przerażeni goście i zdezorientowany personel. Pacjenci kuśtykali i czołgali się w stronę wyjścia na tych kończynach, którymi jakoś jeszcze mogli się posługiwać. Był to zaiste pocieszny widok. Torując sobie drogę kuksańcami, kopniakami i wózkiem, parliśmy w tym samym kierunku co wszyscy - nie widziałem, czy do wyjścia, czy do izolacji, w której Rozalia zamierzała dyskretnie wcielić w życie swój zbrodniczy plan. Choć mieliśmy pewną przewagę, wynikającą z działania w zorganizowanej grupie, posuwaliśmy się powoli. Dzięki temu już z daleka ujrzeliśmy inspektora Strzałę, który stanął w wejściu na oddział chirurgiczny, mając za plecami swą lotną brygadę.

- Do kurwy nędzy! - wykrzyknął. - Nie zdawałem sobie sprawy, że w służbie zdrowia panuje taki burdel!

- Całkiem jak u nas, inspektorze - zameldował wierny Pisztański.

Inspektor Strzałę wyjął służbową broń i ostrzegawczo wypalił w sufit. Trafiona w czuły punkt świetlówka efektownie eksplodowała, rozsiewając snop iskier i smród palonego plastiku. Tłum wrzasnął, próbując rozpiezchnąć się we wszystkie strony, przez co jeszcze bardziej zamulił wąskie gardło korytarza. Wątpię, czy inspektorowi chodziło o taki efekt. Dzielny stróż prawa chwycił ramię najbliższego miotającego się człowieka w białym kitlu, którego nogi uczepiła się żywa mumia.



- Lekarzu! - wykrzyknął. - Przyszliśmy po waszą pacjentkę, Alinę Pofiściel. Tu mam nakaz aresztowania. Gdzie ją znajdziemy?

Człowiek w kitlu odparł, że jest tylko stażystą. Nie wiem, czy uszło mu to na sucho, ponieważ Rozalia gwałtownie skręciła wózką w prawo.

- Tam są schody - wyjaśniła przesywającym szeptem.

Dotarliśmy do schodów, którymi płynął rwący ludzki potok. Wziąłem Alinę na barana, a Rozalia przywiązała do moich spodni pasek swojego fartucha. Nierozłączni niczym święta trójca dotarliśmy na parter, a następnie do samochodu mojej współpracownicy, zaparkowanego na parkingu zgodnie z zasadami parkowania. Pochwaliłem Rozalię za ostrożność i wyraziłem zdziwienie, że tak szybko naprawili jej samochód.

- Przespałam się z blacharzem - wyjaśniła.

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby dociekać, czy kpi, czy mówi poważnie. Rozalia przesunęła siedzenie i poprosiła, abym usiadł z tyłu za kierowcą. Alinę wepchnęła obok mnie razem z jej sztywną nogą, którą umieściła na złożonym przednim siedzeniu. Potem wyjęła klamki z drzwi i oświadczyła:

- Idę do inspektora Strzały. Jeśli wrócę, a was nie będzie, doniosę mu, że widziałam, jak mordowałeś Halinę Mentiroso, a potem groziłeś, że zrobisz ze mną to samo, jeśli nie będę trzymać języka za zębami. Zanim się z tego wypłaczesz, posiedzisz parę lat w tymczasowym areszcie, a tam zrobią ci z tyłka Dworzec Centralny.

Co rzekłszy, zamknęła samochód i poszła. Alina spojrzała na mnie z potępieniem i pogardą.

- Nic pan nie zrobi?

- Wierzę jej - stwierdziłem krótko.

- A wydawał się pan taki sympatyczny. Miły, ale słaby, jak większość facetów, których znam. Od dwudziestu pięciu lat pozwalam się takim nabierać. Ciągłe pakuję się w kłopoty, ale nigdy nie miałam do czynienia z prawem. Dlaczego policja chce mnie aresztować? Kto porwał Anetkę? Czy wy maczaliście w

tym palce? O co chodzi z tą książką? Czy masz komórkę? Która godzina? Czy zamierzacie mnie zabić?

Próbowałem jakoś opanować rosnący poziom absurdu i hysterii, który wybuchł we wnętrzu garbusa jak wulkan w słoiku.

- Wszystko wyjaśnię! - krzyknąłem na skraju wyczerpania. - Tylko niech pani na chwilę przestanie mówić!

Alina posłusznie zamilkła.

- Sądzymy, że to pani zabiła swoją siostrę i wykradła jej najnowszą powieść. Nie mamy do pani pretensji i nikomu o tym nie powiemy, pod warunkiem, że odda nam pani „Koncert łgarzy”.

Chciałem załatwić to po dobroci, ale moja przyjaciółka jest bardziej niecierpliwa. Jeśli powie nam pani, gdzie jest książka, pojedziemy tam i odbierzemy ją, a potem puścimy panią wolno. W przeciwnym razie, sama pani rozumie. Rozalia jest zdeterminowana i miewa niepokojące pomysły, a ja jestem jedynie tchórzliwym strzępem mężczyzny. Pozwoliłem Alinie w spokoju przetrwać moje słowa, a sam oparłem głowę o zagłówek i już popadałem w przyjemne senne odrętwienie, gdy nagle moja towarzyszka zaczęła bić pięściami w okno samochodu.

- Halo! Ratunku! - wrzeszczała. - Niech mi pani pomoże! Jestem porwana!

Otworzyłem oczy i spróbowałbym ją uciszyć, gdyby nie to, że jej błaganie o pomoc zaadresowane było akurat do Rozalii - w jej prawdziwej i zwodniczo uroczej postaci.

- Już ja pani pomogę! - powiedziała mściwie Rozalia, wsiadając do samochodu.

- To pani? - bąknęła Alina.

- Czupiradło zostało w damskiej toalecie. Zabrałam ze sobą tylko perukę. Niech ją pani lepiej włoży, zanim ktoś panią rozpozna.

Rozalia podała Alinie siwy kołtun, który ta posłusznie umieściła na swojej głowie.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? - spytałem, nie licząc na

sensację.

- A jakże. Udawałam dziennikarkę z „Wszawych Sekretów” i inspektor wszystko mi wyśpiewał. Podejrzewają, że to ona zabiła Halinę (tu wskazała na Alinę), ponieważ odczytali jej testament. Znaczy, nie jej, tylko Haliny.

Halina zapisała jej wszystko, co miała. Dom, jakieś pieniądze... I coś tam jeszcze - jednakże pod dwoma warunkami: Alina nie wyjdzie za męża, a Anetka nie wyda książki. To znaczy, jeśli któryś warunek zostanie złamany, wszystko dostaje Anetka. Halina była nieźle stuknięta, ale nie głupia. Miała rozdzielność majątkową z mężem. On zachował tylko prawa do romansów. A ona (znów wskazała na Alinę) nie ma żadnego alibi. Wyszła z domu w sobotę rano i od tamtej pory nikt jej nie widział, ani rodzina, ani kobieta, u której sprząta, co akurat nie jest dziwne, bo w tej chwili przebywa na Wybrzeżu Kości Słoniowej, gdzie, jak twierdzi inspektor Strzała, oddaje się Murzynom na plaży w świetle księżycy. Nieźle, co?

- Widzę, że jej zazdrościsz - zauważyłem zjadliwie.

Zanim Rozalia zdążyła mi odpowiedzieć, a sądząc po wyrazie jej twarzy, nie miała to być odpowiedź przyjemna, Alina załapała się łzami.

- Nic nie wiedziałam o testamencie Haliny - jęknęła.

- Nie widziałyśmy się od lat!... Chyba nie myślicie, że to ja? Przecież nie zabiłabym własnej siostry!

- Literatura zna takie przypadki. To jak, dogadasz się z nami, czy mam iść po inspektora?

Alina opanowała się zdumiewająco szybko i ocierając łzy, stwierdziła:

- Ale wtedy nic nie dostaniecie.

- Oj, kochana - westchnęła Rozalia. - Niebezpiecznie naciągasz i tak cienką nić mojej cierpliwości.

I wyjęła znaną nam już strzykawkę.

- Rozalia, nie wygłupiaj się! - krzyknąłem.

- Czy to... serum prawdy? - spytała Alina, drżąc jak ratlerek na mrozie.

- W pewnym sensie. To ekstrakt z publicznej toalety - odparła Rozalia i zbliżyła strzykawkę do unieruchomionej nogi Aliny, tuż powyżej miejsca, gdzie zaczynał się gips.

- Dobrze, już dobrze! Oddam książkę! – wyjęczała Alina. - Ale najpierw odnajdziecie Anetkę!

14. TAJEMNY OWOC ALINY

Tu spieszę wyjaśnić, że ponieważ Rozalia obserwowała moją rozmowę z Aliną jedynie z daleka, umknęło jej wszystko, co było jej treścią. Musiałem ją więc wtajemniczyć w historię porwania Anetki, a choć starałem się to robić skrótowo, nic z tego nie wyszło, ponieważ z jednej strony Alina wzbogacała moją opowieść w emocjonalne wtręty i nic nieznaczące szczegóły, z drugiej - Rozalia kwestionowała ją we wszystkich możliwych punktach. Kiedy wreszcie złany potem dobrnąłem do końca, w samochodzie zapanowało kojące milczenie. Nie na długo jednak.

Rozalia zapaliła i ruszyła. Kiedy wyjechaliśmy z parkingu, uchyliła okno i włączyła radio. Z głośnika popłynęły jęki, skowyt i pisk kobiety, którą porzucił jakiś facet. Doskonale go rozumiałem. Kiedy piosenka dobiegła końca, radio podało wiadomości. Panika w szpitalu i uciezka Aliny wylądowały na pierwszym miejscu newsowych przebojów.

- Atmosfera robi się gorąca - rzuciła nerwowo Rozalia. - Jeśli macie jakiś pomysł, nie krępujcie się go wyjawić, sądząc, że mam lepszy. Jadę przed siebie tylko po to, żeby się uspokoić.

Co rzekłszy, zahamowała z piskiem opon, otworzyła okno i obrzuciła stekiem wyzwisk staruszkę, która wyskoczyła nam przed maskę.

Zasugerowałem, że powinniśmy jechać do Anetki i tam poszukać jakiegoś punktu zaczepienia, śladów porwania, nagrania na sekretarce, wpisu do pamiętnika, dramatycznych wspomnień sąsiadów. Pomysł ten, jako jedyny, zwyciężył w swojej kategorii, a ponieważ Alina wiedziała, gdzie mieszka Anetka, pojechaliśmy tam niezwłocznie, zostawiając na pasach oniemiałą staruszkę i rudą etolę, która jeszcze przed chwilą była jej otłuszczonym jamnikiem.

Po niespełna dwóch kwadransach znaleźliśmy się na osiedlu Anetki, które znajdowało się w szczerym polu przy głównej drodze i według słów Aliny uchodziło za ekskluzywne. To, co na pierwszy rzut oka było niewielkim miastem, składało się z kilku pomniejszych osiedli. Tworzyły je podwórka ograniczone blokami, płotami i bramami wjazdowymi, przy których strażnicy w szklanych klatkach bronili ekskluzywności tysiąca mieszkańców, bliżej nieokreślonej ilości kostki Bauma i dwóch pasków trawy.

Zdałem sobie sprawę, że nasza malownicza grupa nie wejdzie tam bez dobrego pretekstu. Zanim jednak zdążyłem go wymyślić - i nie wątpię, że w końcu bym to zrobił

- Alina wyjaśniła, że zna wszystkie potrzebne do wejścia kody, jako że sprząta u kobiety, która mieszka nad Anetką.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności -mruknęła Rozalia.

Ja zaś zacząłem podejrzewać, że jak dzieci pozwalamy się zwabić w pułapkę bez wyjścia. Nie wyjawilem tego jednak, świadomy, że czuję się tak zawsze na ekskluzywnych osiedlach i że jest to raczej wyraz mojego społecznego nieprzystosowania niż działającej sprawnie intuicji.

Oglądając się na prawo, lewo i za siebie, lecz nieniekajeni przez nikogo, pokonaliśmy bramę, chodnik i wejście na klatkę schodową, a następnie (ja z Aliną na grzbiecie) dwa piętra schodów i znaleźliśmy się pod drzwiami Anetki Harcownik. Chciałem zrobić użytek z wytrycha, ale najpierw nacisnąłem klamkę. Nie stawiała oporu, wobec czego, pełni najgorszych przeczuć, weszliśmy do środka.

Mieszkanie Anetki Harcownik było świeżo urządzone, dopiero co zamieszkane, lecz już dobrze zapuszczone. Podłogę pokrywała gruba warstwa zaschlętego błota, a z sufitu, na obrzeżach ciągów komunikacyjnych, zwisały festony pajęczyn.

Połowę przedpokoju zajmowała szafa z rozsuwanymi drzwiami. Znajdowały się w niej: czarny płaszcz, fioletowa kurteczka oraz około dwudziestu par butów różnego stopnia zużycia, we wszystkich kolorach tęczy, lecz w jednym tylko rozmiarze. Przedpokój otwierał się na pokój dzienny, w którym prócz kanapy, dwóch foteli i ławy ozdobionej wyschniętym półksiężycem pizzy stał gigantyczny telewizor i interesująca roślina, która przed śmiercią była chyba dracena. Na ścianie wisiał plakat z filmu „Trainspotting”, ten z wynurzającym się z kibla Ewanem McGregorem, ulubieńcem neurotyczek. Do pokoju dziennego przylegała kuchnia o nowoczesnym dizajnie, niezbrukana śladami użytkowania ani odkurzania. Tuż za nią, a zarazem z drugiej strony przedpokoju (ponieważ mieszkanie można było obejść dokoła) znajdowały się dwie sypialnie i łazienka. Wsiąkłem na jakiś czas w tej ostatniej, a kiedy wyszedłem, ujrzałem Alinę i Rozalię, stojące jak zakłęte w progu jednego z pokojów. Rozepchnąłem je na boki i zajrzałem do środka.

Na podwójnym materacu, otoczonym wianuszkami pustych butelek, leżała lekko anorektyczna dziewczyna o czarnych, prostych włosach, w żółtych głęboko wyciętych majtkach i różowej koszulce z trupa czaszką. Miała sterczące kolana i granatowe paznokcie. Półotwarte usta ukazywały nieco wystające zęby. Mogła mieć jakieś dwadzieścia lat, choć nie zdziwiłaby mnie różnica pięciu w każdą stronę.

Chrapała.

Spojrzałem na Alinę z pytaniem w oczach.

- To Anetka - wyjaśniła czule.

- Świetnie - ucieszyła się Rozalia. - Wobec tego jedziemy po książkę.

- Przepraszam was bardzo, ale nie mam żadnej książki - odparła Alina z autentyczną przykrością.

- Ty krnąbrna krowo! - zdenerwowała się Rozalia i sięgnęła po strzykawkę. Nadaremnie.

- Sorry, Rozalia, musiałem ci ją zabrać - rzekłem. - Przed

chwilą opróżniłem ją do klopa i wrzuciłem do szybu wentylacyjnego. Posłuchaj, króliczku... I odłóż tę butelkę.... Zrobiłem to tylko dla naszego dobra (uchyliłem się przed ciosem i złapałem Rozalię za nadgarstki). Wierzę tej kobiecie. Wierzę, że nie ma książki. Oszukała nas, żebyśmy odnaleźli jej siostrzenicę, a raczej nieślubną córkę. Oto Anetka, córka Aliny, wnuczka Anieli. Nie myślę się, pani Pofiściel?

- Bóg, i chwała mu za to, nie dał mi więcej dzieci - wyznała z płaczem Alina. - Kiedy ją urodziłam, byłam młoda, biedna i samotna. Dlatego oddałam ją mojej starszej siostrze, która miała już męża, pracę i mieszkanie, te trzy fundamenty odpowiedzialnego macierzyństwa. Halina uważała, że mogłabym zepsuć Anetkę i dlatego zabraniała mi się z nią spotykać. Oczywiście, do pewnego stopnia miała rację. Jakim wzorem byłabym dla tej dziewczyny ja, prosta kobieta, która nie odróżnia hermeneutyki od heurystyki i zasypia na Bergmanie? Jednak matczyne uczucia zmuszały mnie do tego, by być zawsze w pobliżu Anetki, a raczej Renifer, bo tak właśnie chciałam ją nazwać, już nie pamiętam dlaczego...

- Renifer? - zdziwiłem się.

- A może Dzenifer? - rzuciła po zastanowieniu. - Byłam sprzątaczką we wszystkich szkołach, do których chodziła. Czy wiecie, że tego nie zauważyła? Dla niej wszystkie wyglądałyśmy tak samo... Czasem ją zagadywałam, pytałam o coś, prosiłam, żeby mi pomogła. Mówiła zawsze „zmiataj, czarownico”. Była takim asertywnym dzieckiem!

- Przybyliśmy tu na darmo, tracąc czas i narażając się policji, a teraz jeszcze musimy wysłuchiwać melodramatycznego bełkotu! - zdenerwowała się Rozalia. - Trafiliśmy w ślepą uliczkę i nie mamy nowego tropu. Gdzie się teraz skierować? Kto nas oszukał? Jak to odkryć? Gdzie jeszcze możemy się włamać, by odnaleźć tę cholerną książkę?

- Tak właśnie mszczą się niewykorzystane okazje - rzekłem z satysfakcją, używając ukochanego sloganu polskich komentatorów sportowych.

- Że jak proszę? - zdziwiła się Rozalia.

- Mówię tylko, że powinnaś włamać się do domu Haliny wtedy, kiedy wyciągnąłem ją na kolację...

Rozalia gwałtownie wciągnęła powietrze i otworzyła szeroko oczy, które zrobiły się wielkie i okrągłe jak pięcioletówki.

- Więc ty myślałeś, że...

- Że mnie wykorzystasz, żeby zgarnąć od Palmistra całą kasę, a mnie, o wuju moim nie wspominając, nie dasz złamanego grosza, udając, że sprawa skończyła się fiaskiem, a klient się wycofał - wyjaśniłem. - To byłoby oczywiste, rozsądne i zupełnie w twoim stylu.

- Tak zrobiłam, człowieku - odparła Rozalia. - Ale nie znalazłam maszynopisu. Ta chałupa była za wielka, żebym dała radę przeszukać ją sama, w godzinę, z kieszonkową latarką. Dlatego musiałam pojechać tam następnego dnia razem z tobą. W dodatku Palmister zapalił się do podpalenia, a ty mu wyglądałeś na podpalacza...

- Więc wybite okienko, z którego Halina wyrzuciła szkła do kosza, i ten cały rzekomy napad włamywacza, to była twoja sprawka z poprzedniego wieczoru?

- Moja - bąknęła, zamilkła i przez chwilę przyglądała mi się ze zmarszczonymi brwiami. - Co się stało?

- Słucham?

- Nie udawaj. Zrobiłeś minę kretyna. To znaczy, że właśnie na coś wpadłeś i bardzo się starasz, żeby to ukryć.

Zawsze sądziłem, że w takich chwilach mam twarz pokerzysty. Jakże gorzkim rozczarowaniem bywamy sami dla siebie.

Uśmiechnąłem się z mieszaniną niepewności i zwątpienia i odrzekłem powściągliwie, wskazując na Anetkę:

- Przyszło mi do głowy, że ta dziewczyna mogłaby coś powiedzieć.

- Myślisz, że ona...? - zaciekała się Rozalia. - Że może ci porywacze... Albo nawet ona sama?

- Nie pozwolę wam jej skrzywdzić - odezwała się nagle Alina Pofiściel, o której obecności zdążyliśmy już prawie zapomnieć. -

To dziecko przeżyło wstrząs. Straciło osobę, którą uważało za matkę. Nie pozwolę wam jej dotknąć. A zwłaszcza tobie, mała gestapówko – wymierzyła palec w Rozalię. - Jeśli chcecie coś wiedzieć, to ja sama wypytam ją delikatnie - i pokuśtykała do Anetki.

Z pewnym trudem (ze względu na gips) przysiadła na brzegu barłogu, odgarnęła włosy z twarzy córki i czule pogłaskała ją po policzku.

- Dziecko - rzekła. - Anetko... Maleństwo moje.

Dziecko parę razy poruszyło niespokojnie członkami, jakby oganiając się od natrętnego komara, a kiedy nie dało to rezultatu, usiadło, otworzyło nietrzeźwe, zapuchnięte oczy i powiodło po nas dzikim wzrokiem.

- Co się dzieje? - sapnęło oddechem, któremu groził samozapłon. - Kim jesteście?

- Nazywam się Alina Pofiściel i jestem twoją... Jestem siostrą twojej mamy.

Anetka oprzytomniała w jednej chwili.

- Moja mama nie żyje! - ryknęła. - I to ja, ja!... Ja ją zabiłam!

Zaskoczeniu chyba tylko można przypisać to, co nastąpiło w następnej chwili. Anetka zerwała się z miejsca, rozepchnęła nas na boki, pobiegła do łazienki i przekręciła zamek.

- Ucieknie przez szyb! - pisnęła Rozalia, rzucając się na drzwi.

- Jest za mały - próbowałam ją uspokoić.

- Chyba nie wierzycie w to, co powiedziała! - histeryzowała Alina. - A zresztą, jest w pełni usprawiedliwiona. Halina była wobec niej taka wymagająca. No i przecież to tylko ciotka!

Anetka płakała za zamkniętymi drzwiami, ignorując prośby Aliny, żeby ją wpuściła. Zawodziła przy tym na temat Haliny, swojego życia i śmierci. Rozalia przestała szarpać klamką, a Alina tłuc pięściami w drzwi i gipsem w podłogę. I choć trwaliliśmy w ciszy, z uszami przy szparze między drzwiami i framugą, ja na górze, pode mną Rozalia, na dole Alina, to i tak nie mogliśmy zrozumieć nic oprócz tego, że wynurzenia Anetki

stają się coraz bardziej ogólne i coraz mniej w nich jakiegokolwiek sensu. W końcu łkanie ucichło, a po chwili usłyszeliśmy donośne pochrapywanie.

- Zasnęła! - zdenerwowała się Rozalia. - W takiej chwili! Co za bestia bez serca!

I zaczęła przeszukiwać mieszkanie Anetki. Uprzedzając fakty, wyjawię, że bezskutecznie. Ja skupiłem się na butelkach. Znalazłem jedną w połowie pełną (w tym momencie byłem optymistą), nalałem wina do szklanki i podałem ją Alinie.

- I oto teraz, kiedy mogłabym ją wreszcie odzyskać, muszę ją stracić - Alina szlochała, pijąc, i piła, mówiąc. - Tak czy inaczej, stracę ją, lecz pozwolę jej zachować wolność.

- Co chce pani zrobić, nieszczęsna?

- Jedyne, co w takiej chwili może zrobić matka. Zgłoszę się na policję. Powiem, że to ja zabiłam Halinę.

- Świetna myśl - rzuciłem. - Ale nic się nie stanie, jeśli trochę poczeka z realizacją. Czy ktoś przebywa teraz w mieszkaniu, w którym pani sprząta?

- Nie sądzę, żeby jego właścicielka skróciła urlop ze względu na moje zaginięcie.

- W takim razie niech pani tam idzie i czeka na mój sygnał - powiedziałem. - Jak już będzie po wszystkim, zastukam dwa razy w sufit.

Alina Pofiściel spojrzała na mnie z nadzieją.

- Wiem, że pan wie, jak uratować moje dziecko - rzekła nagle, chwytając mnie za rękę. - Ta mina! Mina kretyna! Kiedy mężczyzna wygląda tak bezbrinnie, kobieta ma ochotę... - Tu przerwała dwuznacznym westchnieniem, po czym dodała: - Gdybym była w wieku pana koleżanki, wiedziałabym, co z panem zrobić!

15. RODODENDRONA BRAK

Sam spowodowałem to, że godzinę później w pokoju dziennym Anetki Harcownik zasiadło sześć osób, w tym ja i Rozalia, i powinienem być dobrze przygotowany na ich przybycie. Mimo to nie mogłem otrząsnąć się z szoku. Wiedziałem, kogo spodziewać się pod postacią Katarzyny Harcownik, Palmistra czy Rozalii. Sławomir Harcownik przyniósł mi pewne rozczarowanie, sprawiał bowiem wrażenie melancholijnego księgowego: był nieduży, kościsty i przygarbiony, miał staroświeckie okulary, twarz ascety i włosy odchodzące z czoła w przeszłość. Był tak typowy, że mógłby grać księgowego w filmie rysunkowym, ale nie w prawdziwym życiu, gdzie, co zauważam z odrobiną satysfakcji, mam bowiem wrodzoną sympatię do bałaganu, typy idealne nigdy nie są tymi, na których wyglądamy, o ile w ogóle dają się zaobserwować.

Powodem mojego narastającego zdumienia było cudo, które przyszło razem z nim. Była to chłodna blond piękność, istota z rezerwatów dla bogaczy, nieziemski jak z Botticellego i gładka jak z fotoszopa, o nogach długich i ustach czerwonych, ubrana z dyskretną elegancją charakterystyczną dla sekretarek z wyższej półki i patrząca obojętnie w jakiś punkt nade mną, co akurat mnie nie dziwiło. Gapilem się na nią, poszturchiwany przez Rozalię i bez tego wściekłą na całe to przedstawienie, w którego sens jej nie wtajemniczałem, jako że sam nie byłem go pewien, podczas gdy reszta zgromadzenia - oprócz tej jednej, na której spojrzenie chciałem zasłużyć - gapiała się na mnie bez sympatii i zrozumienia.

Nagle usłyszałem głos, który sprawił, że się ocknałem.

- Pamiętam cię, młody człowieku! - wykrzyknęła matka Harcownika. - Już wszystko rozumiem. Jesteś współnikiem tego

studenta...

- Zapewniam, że myli się pani w stu procentach - odparłem pospiesznie. - Nazywam się Robal Owaki i jestem przedstawicielem świetnej agencji detektywistycznej „A. A. Kowalski i Detektywi”. Ale zanim wyjaśnię swoją rolę w tej sprawie, chciałbym spytać, kim jest ta pani?

Wskazałem na blondynę, która nawet nie wzruszyła ramionami.

- To nasza sekretarka, Julia Kumkała - odparła Katarzyna Harcownik. - Przecież sam ją pan tu zaprosił!

- Jest pani pewna?

- Oczywiście! Cóż to za pytanie, młody człowieku?

- A czy zna pani niejaką Irminę, w skrócie Inę, dziewczynę o nieznanym mi nazwisku, lecz imieniu na tyle niepospolitym, byśmy sugerując się jej powierzchownością, mogli zidentyfikować ją bez żadnych wątpliwości? Nosi przydługie bure ubrania i wielkie okulary. Podaje się za państwa sekretarkę.

- Och, więc ciągle się podaje! - zdenerwowała się Katarzyna Harcownik. - To naprawdę oburzające! Ma pan na myśli naszą poprzednią sekretarkę, okropne, niewydarzone stworzenie z kończynami długimi jak pająk. Ciągle wtykała nos w nie swoje sprawy. Zwolniliśmy ją i przyjęliśmy na jej miejsce panią Kumkałę, kobietę o powierzchowności, kompetencji i manierach, które zasługują na najwyższe uznanie.

- Rozumiem, że ta szczęśliwa zmiana nastąpiła niedawno?

- Dokładnie siedemnastego września - odezwał się Harcownik, obrzucając uroczą postać swej sekretarki spojrzeniem wiernego spaniela.

Mimo to nie dawałem za wygraną.

- Czy może pani powiedzieć rododendron? - zwróciłem się do domniemanej sekretarki.

Julia Kumkała tym razem wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok z punktu nade mną na ususzoną dracnę.

- Pan jest niespełna rozumu, a to są najzwyczajsze szykany! - wybuchnął Sławomir Harcownik, dowodząc jednoznacznie, że

pod tą przyszarzałą powłoką buzuje wulkan emocji, napiętności i pasji.

- Ja również chciałbym się dowiedzieć, co tu się dzieje! - warknął Longin Palmister.

- Już się streszczam - zapewniłem pospiesznie. - Nim jednak wyjaśnię sprawę zaginionej powieści Haliny Mentiroso, a nie wątpię, że uda mi się to uczynić, chciałbym zadać państwu kilka pytań, prosząc jednocześnie o odpowiedzi na tyle szczerze i rzeczowe, na ile pozwala wam ocena faktów i lęk o własną skórę. Czy wyrażam się jasno?

- Dawaj, człowieku! - zirytowała się Rozalia.

- Zgaduję, że jest pani dobrą kucharką? - spytałem Katarzyny Harcownik.

- No pewnie - odrzekła słabo i powiodła po zgromadzonych skołowanym wzrokiem. - Ale co to ma do rzeczy?

- Obawiam się, że tracę czas - zdenerwował się Palmister, wstając.

- Czy wie pan, że Iwo Maj nie żyje? - rzuciłem ostro. Longin Palmister zbladł. Jedyne, co mógł wykrztusić, to piskliwe: - Słucham? - które nazbyt jasno dowodziło, że zaskoczyła go albo moja wiedza, albo śmierć Iwo Maja, ale na pewno nie to, że ktoś taki istniał.

- Niech pan siada i nie robi zamieszania - dorzuciłem ostrzegawczo.

Palmister klapnął na fotel, a Sławomir Harcownik zwrócił się do mnie z żywym zainteresowaniem:

- Pan mówi serio?

- Ależ synu, przecież... - wtrąciła jego matka i zasłoniła sobie usta.

- To jakaś paranoja - westchnęła Rozalia.

- Zachowujecie się jak banda gówniarzy - stwierdziłem gniewnie. - Czy mogę wreszcie prosić o spokój, czy chcecie opuścić to pomieszczenie tak samo tępi, jak tu wesłicie?

Rozalia znów wykonała sztuczkę z wciąganiem powietrza i otwieraniem oczu do rozmiaru pięciocztówki.

- Robal, nie poznaję cię - szepnęła.

W razie gdyby podejrzliwy czytelnik również nie uwierzył w moją psychiczną metamorfozę, muszę wyjaśnić, że wcale nie stałem się stanowczy, chłodny i złośliwy, lecz próbowałem jedynie wzbudzić w ten sposób posłuch audytorium, tak jak to robił jedyny prawdziwy autorytet w moim życiu - pan od zetpetów. Nie wiem, jak nazywa się w tej chwili ten przedmiot, czy istnieje nadal i czy służy równie szczytnym celom jak w czasach gospodarki niedoboru, kiedy byłem uczniem podstawówki. Panu od zetpetów zawdzięczam umiejętność szydełkowania oraz wykonania syrenki z blachy i wskaźnika do tablicy z pręta od dziecinnego łóżeczka, choć, szczerze mówiąc, żadna z tych umiejętności nie okazała się jeszcze warta wykorzystania, czy to w celu zgodnym z przeznaczeniem, czy po to, aby rzucić na kolana oziębłą kobietę, choć nie wątpię, że jeszcze kiedyś wrócimy do tych niesłusznie lekceważonych czasów i że wszystkie umiejętności, które wówczas naród posiadał, okażą się znów przydatne.

Tymczasem spojrzałem na zebranych wzrokiem ojcowsko-prokuratorskim i zwróciłem się do Katarzyny H.

- Więc umie pani gotować?

- Jak każda prawdziwa kobieta - odparła z naciskiem na „prawdziwa”.

- Potrawy tradycyjne?

- Tradycyjna kuchnia polska - przyświadczyła z dumą.

- Bitki, schabowe?

- A jakże! Żadne żalosne sałatki, którymi współczesne kobiety usiłują karmić swoich mężczyzn, o ile w ogóle to robią! - skrzywiła się z niesmakiem.

- A więc to pani była u Haliny Mentiroso w dniu jej śmierci i posłużyła się tłuczkiem do mięsa, żeby unieszkodliwić jej laptop?

- Ależ... - Katarzyna pobladła i umilkła.

- To jakiś nonsens - stwierdził Sławomir Harcownik.

- Na podstawie drobnej poszlaki wyciąga pan daleko idące wnioski. Jeśli chce pan powiedzieć, że moja matka wdarda się do

Haliny, zamordowała ją i ukradła jej książkę...

- Jestem pewien, że nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, ale zarazem uważam, że była w domu Haliny niedługo po jej śmierci i mogłaby rzucić nieco światła na kilka spraw, które niepotrzebnie zaciemniają obraz zbrodni. Pana matka jest cennym świadkiem, niech pan pozwoli jej mówić.

- Chyba rzeczywiście nie mam nic do ukrycia - Katarzyna Harcownik zgodziła się ze mną po dłuższym zastanowieniu. - Sprawa jest jasna - mordercą był Iwo Maj i to on ukradł książkę. Jeśli moje świadectwo jest panu na coś potrzebne, to proszę bardzo, powiem chętnie: tego ranka, kiedy Halina zginęła, pofatygowałam się do niej osobiście, żeby wybić jej z głowy pomysł wydania książki u Longina Palmistra, z czym zdradziła się poprzedniego dnia w rozmowie telefonicznej z moim synem.

- Mamo! - jęknął syn.

- Dlaczego nie poszła pani do Haliny jeszcze tego samego dnia, kiedy usłyszała pani rozmowę? - spytałem.

- Chłopcze, po tym pytaniu widzę, że brak ci religijnych korzeni. Po pracy wzięłam udział w nabożeństwie różańcowym, które odbywa się w październiku co wieczór. W domu czekał na mnie kot, serial i kolacja, a ponieważ po zmroku dostaję kurzej ślepoty, nie było mowy, żebym szwendała się po mieście.

- Rozumiem. Więc poszła pani nazajutrz i...

- I kiedy tam przyszłam, ona już nie żyła. Zdaje się, że walnęła głową o parapet i że nie sama to zrobiła, lecz sprowokowała kogoś swoim zachowaniem, co, szczerze mówiąc, powinno jej się przytrafić już dawno temu, a zaoszczędziłoby nam wielu żmartwień i kłopotów. Wrzód gniewu, ropiejący we mnie latami, pękł. Gdyby nie to, wezwałabym pogotowie, ale bałam się, że jeszcze ją odratują. Zamiast tego wyczyściłam jej regały z korespondencji z urzędem podatkowym, od którego domagała się zwrotu niesłusznie naliczonego podatku w wysokości dwa złote osiemdziesiąt groszy. Muszę wyjaśnić, że koszty procesowania się o te pieniądze idą już w dziesiątki tysięcy, urząd prześwieśla dokładnie wszystkie nasze operacje i nasyła na

nas sprzymierzone inspekcje, które miesiącami przesiadują w firmie, sprawdzając wszystko, co się da, od rachunków za papier toaletowy po ewidencję spinaczy. Tak więc pokryłam stygnące ciało Haliny ową feralną korespondencją, a potem wzięłam laptop, zbiłam go tłuczkiem do mięsa i utopiłam w wannie. Pewnie bierze mnie pan za głupią babę, sądząc, że spontanicznie posłużyłam się tą prymitywną kuchenną bronią. Otóż doskonale zdaję sobie sprawę, że powinnam przestrzelić dysk z broni dużego kalibru, ale niestety, takiej nie posiadam. Nie miała jej również Halina.

- Zauważyła pani, czy na biurku była ramka, w której brakowało zdjęcia?

- Pamiętam, że biurko było dokładnie przetrząśnięte. Nie spodziewałam się, że mogę tam coś znaleźć, więc nie traciłam czasu na szukanie i nie mogę powiedzieć, co tam było, a czego nie.

- A może przeglądała pani jakieś zdjęcia?

- Chłopcze, spędziłam tam najwyżej piętnaście minut. To naprawdę nie aż tak długo, by usiąść w fotelu i wspominać Halinę przy jej starych fotografiach. Zresztą, nawet gdybym siedziała zamknięta przez dziesięć lat w celi jedynie z albumem Haliny, nie przyszłoby mi do głowy, żeby do niego zajrzeć. Jak się domyślasz, nie przepadałam za swoją synową.

- Rozumiem. A więc zarzuciła pani Halinę papierami, zniszczyła twardy dysk jej komputera, zdeptała różne ślady, a inne z pewnością wytarła...

- Rzeczywiście, oczyściłam dom z odcisków palców, które, jak sądziłam, zostawił mój syn, po tym, jak pokłócił się z Haliną i...

- Mamo...- jęknął znów Harcownik.

- Wiem, synu, wiem to teraz dobrze, że w czasie, kiedy dokonano morderstwa, ty odbierałeś z izby wytrzeźwień swoją córkę Anetkę, toteż nie mogłeś uśmiercić jej matki...

Rozalia spojrzała na mnie z popłochem, ale wzrokiem nakazałem jej milczenie. Moja twarz wskazywała chyba w tym momencie to, co miała wskazywać, bo Rozalia się nie odezwała.

Pani Harcownik ciągnęła:

- Poza tym dziś jest już chyba jasne, przynajmniej dla mnie, że prawdziwym mordercą Haliny był Iwo Maj. Nie znałam go jeszcze wtedy. Nie wiedziałam, że ktoś taki istnieje. Ale potem, kiedy przyszedłam do jego pokoju w akademiku...

- Mamo... - jęknął Harcownik po raz trzeci i nie ostatni.

- Odkryłam, że zapach jego perfum, drogich i oryginalnych, czułam wcześniej w domu Haliny. To on wyszedł od niej, zanim tam weszłam. Oczywiście, wiem, że na to potrzebne są mocniejsze dowody. Obawiam się, że policja już ich nie znajdzie, ponieważ udało mi się je zniszczyć. A teraz w dodatku podejrzewają tę biedną siostrę Haliny, którą wyciągnęli jak królika z kapelusza...

- Jakim cudem, mamu, trafiłaś do tego chłopaka? - przerwał Sławomir Harcownik, najwyraźniej obojętny na los siostry Haliny.

- Kochany chłopcze, podsłuchałam twoją rozmowę z Iwo Majem. Zapisaleś sobie jego adres na kartce w bloczku, wyrwałeś kartkę i wzięłeś ze sobą. Wycieniowałam tę, która była pod spodem i wszystkiego się dowiedziałam - wyjawiała z dumą. - Pojechałam tam i odnalazłam go. Niestety, już nie żył. Myślałam wówczas, że mimo iż musiałeś jeszcze wpaść do banku po pieniądze, zdążyłeś mnie uprzedzić i sprzątnąć tego gnojka. Niepotrzebnie wyjęłam mu nóż z ciała, pozmywałam naczynia i przetrarłam wszystkie gładkie powierzchnie, a potem włożyłam biedaka do śpiwora i położyłam go do łóżka. Znowu działałam na korzyść mordercy, którym nie byłeś ty, na szczęście, lecz pan - zwróciła się do mnie surowo. - I choćby dlatego powinien mi pan być wdzięczny i oddać nam tę diabelską książkę.

- Nie zamordowałam Iwo Maja i choćby z tej przyczyny nie muszę być pani wdzięczny - odparłem.

- A więc tak się sprawy mają - jej oczy zwęziły się jak szparki. - No to posłuchaj, chłopcze. Wydaje ci się, że jestem moherową staruchą, którą można lekceważyć...

- Ależ zapewniam panią...

- Milcz, kiedy mówię - przerwała. - Należę do ginącego gatunku matek Polek. Całe życie poświęciłam dla dzieci, a konkretnie dla jednego, ponieważ pozostałe mi na to nie pozwoliły, rozprzestrzeniając się po całym świecie i nie zostawiając adresów zwrotnych. Moje życie jest może monotonne, lecz uporządkowane i oszczędne. Raz w tygodniu, nie licząc świąt oraz okolicznościowych nabożeństw, chodzę do kościoła, w niedzielę gotuję obiad dla całej rodziny, który potem przez cały tydzień zjadam z kotem, a w pozostałe dni pracuję od rana do wieczora. Nie mam perwersyjnych potrzeb w rodzaju kolacji w restauracji, rozbijania się taksówkami czy smarowania twarzy kremami do smarowania twarzy. Zamiast dziesiątków kosmetyków używam tylko mydła, nie zapalam światła w łazience i zawsze ceruję pończochy. Moja jedyna rozrywka to wieczorny serial i wizyta u wróżki raz na dwa tygodnie. Dzięki temu zaoszczędziłam sporo pieniędzy. Gdyby nie to, że trzymam je w szwajcarskim banku, a konto mam numeryczne, już dawno znalazłabym się na liście najbogatszych Polaków. Chcę przez to powiedzieć, że wszystko, co może ci zaoferować Palmister, wszystko, co może zaoferować ci ktokolwiek inny, to nic w porównaniu z tym, co ja mogę ci dać w zamian za tę książkę.

Milczałem, z lekka osłupiały. Wszyscy wpatrywali się w Katarzynę Harcownik z mieszaniną podziwu, niedowierzania i zawiści, nawet prześliczna sekretarka, której obojętność określiłbym już jako stan fizyczny, cudownie rozchyliła usta, co nie umknęło mojej uwadze, jako że nie odrywałem od niej wzroku.

Nagle w nabrzmiałą oszołomieniem ciszę wdarł się dyszkant Palmistra:

- Wykluczone! Ten człowiek pracuje dla mnie!
- Ach, to tak! - krzyknął Harcownik.
- A tak, tak! - odkrzyknął Palmister.
- Spokojnie, panowie, dostaniecie tę książkę dopiero wtedy, kiedy wszystko się wyjaśni - powiedziałem. - Tak się bowiem składa, że w ostatnim czasie stałem się maniakałnym

miłośnikiem prawdy. Co do mnie, jestem pewien, że nie zabiłem Iwo Maja. A pan, panie Sławomirze?

- Ależ ja przecież widziałam tam pana i poświadczę to przed policją! - krzyknęła Katarzyna Harcownik.

- Spokojnie, mam, nie mam sobie nic do zarzucenia i naprawdę jest mi przykro, że sądziłaś, że jestem zdolny do morderstwa. W dodatku szpiegujesz mnie i podsłuchujesz, co w rzeczy samej mnie już dziwi. Naprawdę, zawiodłem się na tobie, więc jeśli możesz, nic już nie mów i pozwól mi bronić się samemu.

Katarzyna - kolejna matka, której wysiłku nikt nie docenił - ukryła twarz w dłoniach i zaczęła chlipać.

- Nie widziałem Iwo Maja na oczy - powiedział Harcownik. - Ten chłopak zadzwonił do mnie na normalny biurowy telefon, który wziął zapewne z książki telefonicznej, powiedział, że sprzeda mi książkę Haliny i kazał przyjść do akademika z pewną sumą pieniędzy, którą uznałem za nieco wygórowaną, lecz jednak wartą tej książki.

- Chyba żartujesz?! - prychnął Palmister.

- Przeciwnie, uważam, że Halinie pierwszy raz w życiu udało się napisać coś wartościowego. Chętnie wydałbym tę książkę, nawet gdybym miał na niej stracić pieniądze i dobre imię, a ponieważ o to pierwsze nie dbam, a drugiego nie posiadam, ryzykowałem naprawdę niewiele. Rzeczywiście udałem się do banku, a potem pojechałem do akademika, gdzie portier wpuścił mnie bez trudu, kiedy podałem mu hasło, które kazał mi podać Iwo Maj. Brzmiało ono „wikary”.

Podczas gdy Palmister cicho jęczał w fotelu, Harcownik kontynuował:

- Poszedłem do wskazanego pokoju i długo pukałem do drzwi. Niestety, nikt mnie nie wpuścił, więc odszedłem z niczym.

- I nie zajrzałeś do środka? - zdumiał się Palmister.

- Jak mogłem wejść, skoro nikt mnie nie zaprosił?

- Mój Boże... - Palmister złapał się za głowę. - Już zdążyłem zapomnieć, co z ciebie za wariat!

- Świetnie - rzekłem. - To już prawie wszystko...
- Wierzysz im? - szepnęła Rozalia.
- Czemu nie? Wszystko trzyma się kupy, może z wyjątkiem jednego...

- No?

Ale zamiast odszepnąć Rozalii, powiedziałem głośno:

- Pozostaje nam już tylko jedna wątpliwość. Dlaczego tego dnia, o tej właśnie godzinie, w mieszkaniu Haliny zjawił się Iwo Maj? Może pan pomoże nam rozwiązać tę zagadkę, panie Palmistrze?

- Śmieć, bagno, szumowina, zgnilizna, szlam i robactwo, oto czym jesteś - odparł Longin Palmister. - Wszystko, co próbujesz mi imputować, to tylko frustracja marginesu, który wylewa się z ram, aby zbrukać najświętsze jądro narodu, którego wartości, poglądy i postawy tak odważnie i bezkompromisowo reprezentuję.

- Być może rzeczywiście jesteś jądrem, ale na pewno nie najświętszym - odparował Harcownik z sarkastycznym uśmiechem.

Zanim poczerwieniały z gniewu Palmister zdołał odszczeknąć, zgodnie ze swoim interesem spychając dyskusję na manowce, wtrąciłem chłodno:

- Postaram się uporządkować fakty, tak jak je widzę. Iwo Maj był znajomym Haliny, o czym pan, panie Palmistrze, nie wiedział. Poznał go pan w okolicznościach, które, jak sądzę, zostały przez nią sprowokowane. Halina spotykała się z nim regularnie, o czym świadczą litery „I” w jej kalendarzu, a także wykorzystywała waszą zażyłość, aby pana szantażować. Pan zaś, wierząc w szczerą intencje i prawdziwą przyjaźń tego młodzieńca, zdradził mu co nieco ze swoich planów względem książki Haliny. Również ona ze swej strony coś tam mu na ten temat opowiedziała. Biedny Iwo Maj posklejał jedno z drugim, jak potrafił, a ponieważ wiedział, że umawia się pan z Haliną na spotkanie, postanowił w tym czasie wpaść do jej domu i wykraść książkę. Czy do tej pory w moim rozumowaniu dostrzega pan

jakieś luki?

Longin Palmister milczał zgnębiony, wobec czego mówiłem dalej:

- Kiedy jednak Iwo Maj tam przyszedł, Halina już nie żyła. Zobaczył ją, zobaczył bałagan i pewnie chciał jak najszybciej zwać. Niestety, w tym momencie do mieszkania weszła pani Katarzyna Harcownik. Musiał się gdzieś ukryć i zaczekać, aż ona wyjdzie. Trochę to trwało...

- Skąd pan to wie? - wtrąciła Katarzyna.

- Był tam, zanim pani weszła, ponieważ wyczuła pani perfumy. Był tam również, kiedy pani wyszła, ponieważ my, ja i Rozalia, zjawiliśmy się niedługo później. Nie widziała nas pani, a Iwo Maj tak, o czym zawiadomił policję, wobec czego musiał opuścić dom Haliny po pani. Iwo Maj nie zabił Haliny ani nie ukradł jej książki. Sądził, tak samo zresztą jak pani, że obu tych czynów dokonał Sławomir Harcownik i dlatego następnego dnia zjawił się pod jego mieszkaniem, gdzie go spotkaliśmy...

- Więc to wy włamaliście się do mnie i ukradliście... - zaczął Harcownik i zamilkł.

- Tak – odparłem.

- Co? - spytała Katarzyna

- To, co Iwo Maj wziął za powieść Haliny, a co nią nie było. To właśnie próbował wam wcisnąć.

- Więc on nie miał tej książki?

- Nie.

- I nie zabił Haliny?

- Ależ skąd.

- Kto więc to zrobił? - spytał Sławomir Harcownik.

- Niech pan spyta swojej sekretarki - powiedziałem. Patrzyły na mnie cztery pary oczu w stanie silnego wytrzeszczu. Piąta para oczu, należąca do sekretarki, kontemplowała sufit.

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę - szepnęła do mnie Rozalia. - Ta wydra od początku mi się nie podobała.

- To jakieś bzdury! - sapnęła Katarzyna Harcownik.

- Pan oszalał - stwierdził gniewnie jej syn. - Jeszcze słowo tych

głupich insynuacji i oberwie pan po buzi.

- Na to zawsze mamy czas. Zapewniam pana, że jestem do tego przyzwyczajony, więc jeśli chce pan zaimponować kobiecie, niech się pan nie powstrzymuje. Ja również lubię melodramaty.

- Pan jest naprawdę szalony! - wykrzyknął.

- Wręcz przeciwnie - odparłem ze smutkiem. -Nie ma we mnie odrobiny szaleństwa, tylko rozum i lenistwo, dwie znoszące się siły. Niech pan posłucha. Halinę zamordował ktoś, kto dobrze ją znał. Sama wpuściła go do mieszkania, pewnie nawet w szlafroku...

- Zgadł pan! - wtrąciła Katarzyna Harcownik.

- Morderca musiał również bardzo dobrze znać tajemnice Haliny. Posłużył się nimi, by rzucić podejrzenie na osobę niewinną, to jest siostrę denatki. W tym celu przekopał biurko Haliny, to, w którym nigdy nie trzymała powieści, odnalazł album i feralne zdjęcie, które następnie przedarł i podrzucił tak, aby wpadło w ręce policji, oraz ukradł inne zdjęcie, to z biurka, na którym była Anetka. Znalazł także telefon do Aliny Pofiściel i wywabił ją do pewnej niezamieszkannej rudery, aby w ten sposób pozbawić ją alibi na czas bliski popełnieniu morderstwa. Wszystko to miało wskazywać na sentymentalną zbrodnię w afekcie.

- I pan sądzi, że tego wszystkiego dokonała właśnie pani Kumkała? - roześmiał się Harcownik.

- Nie będę o nic pytał pańskiej sekretarki, bo wiem, że mi nie odpowie. Ale pan lub pańska matka moglibyście mi powiedzieć, czy pani Kumkała nie mieszka czasem w pobliżu ulic Grzybowskiej i Okopowej?

Pani Harcownik wpatrywała się we mnie, zaskoczona. Sławomir Harcownik wciąż pałał świętym oburzeniem, które na szczęście odrobinę go przytkało.

- No więc, może i mieszka - odparła z ociąganiem

Katarzyna Harcownik. - Ale jakie to ma znaczenie?

- Tam właśnie stoi budynek, w którym pani Pofiściel oberwała w głowę od pani Kumkały. Pani Kumkała dostała polecenie od

mordercy, że ma tam czekać na tę biedną ofiarę (ofiarę zarówno w sensie prawnym, jak i życiowym) i na pewien czas ją unieszkodliwić...

- Pan oszalał! - wykrzyknął Harcownik. Facet lubił się powtarzać. - Julio! Powiedz coś!

Julia uśmiechnęła się pobłaźliwie, leciutko wzruszając ramionami.

- Potem spotkałem panią Kumkałę w akademiku. Ja siedziałem w szafie. Ona ścierała z noża odciski palców mordercy, a potem obszukiwała pokój. Widocznie morderca musiał opuścić pokój w dużym pośpiechu i sam nie zdążył tego zrobić, bo pan już pukał do drzwi. Jestem pewny, że morderca wiedział właśnie od pani Kumkały, że Iwo Maj zadzwonił do pana z propozycją wymiany po wieści na gotówkę i postanowił pana uprzedzić. Nie wiem, co poszło nie tak, że transakcja nie doszła do skutku. Pani Kumkała znów została wezwana, by ratować sytuację. Zatrzymałem ją, kiedy schroniła się w akademikowej kuchence, bo zobaczyła na horyzoncie panią Harcownik. Następnie poszedłem z nią do pewnej ekskluzywnej knajpki, gdzie opowiedziała mi łzawą historyjkę na temat swojej miłości do szefa, to jest pana - w tym momencie Sławomir Harcownik poczerwieniał (z zachwytu, jak sądzę). - Potem wyszła na chwilę do łazienki, zadzwoniła do mordercy i powiedziała mu, gdzie jest. Nie czekała jednak na niego, lecz opróżniła dużą liczbę listków środków przeciwbólowych i tabletki wrzuciła mi do kawy, wskutek czego omal nie pożegnałem się z życiem. Puste listki widziałem później w łazience, ale wówczas nie zwróciłem na nie uwagi. Sądzę, że nadal tam leżą między wieloma innymi rzeczami, o których lepiej nie wspominać. Panie Sławomirze, niech się pan jednak przedwcześnie nie cieszy z jej uczuć. Gdyby naprawdę pana kochała, nie byłaby tak gadatliwa i nie zrzuciłaby całej winy na pana, lecz upierałaby się, że nie wie, kto jest mordercą. Ta kobieta odgrywała, bardzo zresztą zręcznie, inną kobietę, ową Inę, której tak nie lubi pana matka. Pewnie od kogoś dokładnie znała jej uczucia, wiedziała również, jak zmienić

imidż, by ją przypominać...

- Jak więc może pan twierdzić, że to nie była Ina?! - zawołała ze świętym oburzeniem pani Harcownik.

- Jeżeli obie grasejują, to rzeczywiście jestem w kropce.

Zapadło ciężkie milczenie, którego nikt nie chciał przerwać, jednak po wzroku Sławomira Harcownika i jego matki odgadłem, że „r” owej felernej Iny było jednak bez zarzutu.

- Więc kto i dlaczego zamordował Iwo Maja? - podjął cicho Longin Palmister.

- Myślę, że ta osoba schowała się w barze naprzeciwko akademika, kiedy uciekła po piorunochronie z pokoju Iwo Maja. Po chwili zobaczyła, że Sławomir Harcownik wychodzi z budynku. Znając jego niezłomne zasady moralne, doszła do wniosku, że książka ciągle może być w pokoju, do którego z pewnością nawet nie zajrzał. Wezwała więc Julię i kazała jej przeszukać pokój. Sama nie mogła tam wrócić, nie budząc podejrzeń, bo przecież nie wyszła drzwiami na oczach portiera. Była w kontakcie z Julią i cały czas obserwowała, czy nie pojawia się policja.

Ostrzegła ją także przed nadejściem Katarzyny Harcownik. Myślę, że widziałem ją, kiedy wyjrzała z baru na widok Julii i szybko się cofnęła. To była niewysoka, pulchna kobieta...

- To byłem ja - powiedziała niewysoka, pulchna kobieta, stając w wejściu salonu Anetki Harcownik.

16. MIŁOŚNIK PRAWDY I JEGO KOCHANKA

Miała przemiły uśmiech i twarz, która musi budzić zaufanie i sympatię. Swoją kobiecość, siostrzano-maczną, podkreślała kaszmirowym swetrem w beżowym kolorze i miękką, puszystą fryzurą. Ten ciepły wizerunek psuł pistolet, który trzymała w dłoni. Był to niezawodny makarow, bardzo podobny do tego, jakim swego czasu Iwo Maj straszył mnie i Rozalię.

- Wróżka Dominika?! - pisnęła pani Harcownik.

- Powiedzmy, osoba, która zna meandry ludzkiej psychiki i lubi gromadzić tajemnice - odparła nowo przybyła.

- Dobre wejście - powiedziałem. - Mocne.

- Moja współpracowniczka włączyła telefon, żebym mogła słyszeć, o czym mówicie. Chyba już najwyższy czas, abym wyszła z cienia i pchnęła sprawy naprzód.

- Twoja współpracowniczka? - jęknęła Katarzyna Harcownik. - Ona? - wskazała na Rozalię.

- Nie, ty głucha, ślepa komendo. Julia. Od czasu do czasu ratuję skórę swoim klientkom, które wpadły w tarapaty. Kiedy Julia jakiś czas temu narobiła sobie kłopotów, umieściłam ją na miejscu dobrej, niemądrej Iny, szalenie zakochanej w swym szefie, nawiasem mówiąc, również mojej klientki. Julia miała cichą posadkę, a ja jej wdzięczność. Wydaje się, że to więcej niż szczęśliwy zbieg okoliczności, choć z drugiej strony i tak na nic mi się nie przydał. Ale dosyć tych niepotrzebnych dygresji. Gdzie jest książka, panie Owaki?

- Dostanie ją ten, kto da więcej - powiedziałem.

- Nie zamierzam się licytować. Sprzątnęłam już dwie osoby, więc jedna w tę lub w tę nie zrobi mi różnicy.

- Źle mnie pani zrozumiała. Nie chcę pieniędzy, tylko trochę faktów i całej prawdy.



- Na co to panu?

- Może przestało mi się podobać, że ktoś ciągle robi mnie w konia?

- To uczucie jest mi obce - odparła wróżka Dominika. - Zwykle to ja robię innych w konia. Ale zgoda, panie Owaki, cena nie jest wysoka, a ja chętnie pochwalę się swoimi sukcesami, o których przecież nie mieliście pojęcia. Halina była moja klientką i przyjaciółką, i to ja podsunęłam jej ten genialny, lecz jakże w istocie prosty pomysł z szantażem za pomocą powieści. Niestety, kiedy zadziałał, Halina wykazała się nieprawdopodobną wprost niewdzięcznością i zerwała ze mną wszelkie kontakty...

- I dlatego zginęła?

- O, nie... Istotnie, bardzo nie lubię niewdzięczników, ale nie jestem aż tak mściwa... Zwykle zadowolam się bardziej subtelnym i wyrafinowanym rewanżem, na który z pewnością przyszedłby czas. Niestety, Halinę zgubiła wybuchowa mieszanka głupoty, nieufności i wyrzutów sumienia. W tym dniu, dniu swojej śmierci, obudziła mnie telefonem chyba o szóstej rano. Twierdziła, że ukradłam książkę i że mam dwie godziny, żeby ją oddać. Zagroziła, że w przeciwnym razie naśle na mnie policję. Och, oczywiście wcale nie skradłam jej tej książki. Musicie jednak zrozumieć, że propozycja spotkania z policją nie była dla mnie zbyt miła... Zajmuję się przecież wieloma delikatnymi sprawami. Dlatego pojechałam do niej i próbowałam przemówić jej do rozsądku. Ale ona nie myślała racjonalnie. Najbardziej obawiamy się tych, których skrzywdziliśmy, to stara prawda. Halina sądziła, że ukradłam tę książkę nawet nie po to, żeby zrobić z niej jakiś użytek, ale z czystej złośliwości, tylko dlatego, by nie mogła udowodnić wszystkim niedowiarkom, że ma coś do powiedzenia. Nasza sprzeczka zmieniła się w przepychankę. To był naprawdę wypadek, podobnie jak śmierć tego głupiego chłopca... Pomyślałam, że skoro już zainwestowałam w tę książkę tak wiele - choćby swój czas i swoje bezpieczeństwo - skoro jest tak cenna, że ktoś naprawdę ją wykradł, to nie zaszkodziłoby ją zdobyć. Z taką myślą pojechałam do Iwo Maja.

Weszłam do jego pokoju i od razu zrozumiałam, że popełniłam błąd. On mnie rozpoznał. Nie znał mnie, tak jak ja nie znałam jego, ale rozpoznaliśmy się od pierwszej chwili. Tamtego dnia, kiedy zginęła Halina, minęliśmy się prawie pod jej domem. Kiedy wszłam do jego pokoju, on spojrzał na mnie i zrozumiał, jak i ja rozumiałam, że on wie, że nasze pierwsze spotkanie nie było przypadkowe, że to ja zabiłam Halinę, ponieważ on wszedł do niej tuż po mnie i odnalazł ją, jeszcze ciepłą... Chyba się bał, że i jego mogę wykończyć. A może rznął bohatera. Nie wiem, nawet nie zdążyłam mu zaproponować, żebyśmy się dogadali. Ten idiota wyciągnął broń, tak, tę właśnie, którą teraz trzymam, a w drugiej ręce trzymał telefon i zaczął dzwonić na policję. Cóż miałam robić? To była właściwie obrona konieczna. A potem ktoś zapukał, najpierw raz, potem drugi i zawołał: „panie Maj, proszę otworzyć, to ja, Sławomir Harcownik”. Otworzyłam okno... Gzyms nie był imponujący, ale udało mi się po nim przejść do piorunochronu. Co prawda, zerwałam go, zsuwając się na dół, w końcu ważyłam dobre sześćdziesiąt kilo... Julia parsknęła śmiechem.

- Może rzeczywiście trochę więcej, ale nie musisz być złośliwa, moja droga - powiedziała wróżka z wyrzutem. - Oczywiście, to był akademik, takie rzeczy bez przerwy się tam zdarzają, więc mało kto zwrócił na mnie uwagę. Schroniłam się w barze naprzeciwko, żeby doprowadzić się do porządku. Resztę już znacie.

- Do wszystkiego się pani przyznała - zauważył groźnie Harcownik, porażony bezmiarem cynizmu i głębią upadku moralnego.

- Liczą się dowody, odciski palców i tym podobne duperele - uśmiechnęła się wróżka Dominika. - Moje słowa to żaden dowód. Zresztą, wy i tak nikomu o niczym nie powiecie. Kiedy dostanę książkę, będę miała was w garści. Pan Harcownik poprosi swoją mamę, żeby milczała, a pan Palmister opłaci swoich łapsów, żeby też trzymali gęby na kłódkę...

Usłyszeliśmy rumor, jakby wszystkie buty w jednym momencie

wybiegły z szafy wnękowej do przedpokoju. Razem z nimi pojawił się dzielny inspektor Strzała.

- Ale ja jestem nieprzekupny! - wrzasnął. - Stać w imieniu prawa! Aresztuję was niniejszym!

Po czym wyrzucił na wpół zjedzonego banana, którym usiłował nastraszyć Dominikę i po krótkim zmaganiu z kaburą wyciągnął służbową broń.

- Głupia, czemuś go nie zastrzeliła? - zirytowała się Julia.

- Sama jesteś głupia. Ten pistolet to tylko atrapa. Myślisz, że gdyby był prawdziwy, wyszłabym żywa ze spotkania z Iwo Majem?

- Szczęście jest najlepszym przyjacielem policjanta - rzekł sentencjonalnie inspektor Strzała, odbierając fałszywego makarowa i skuwając podejrzanę. Dominika wyglądała jak rozjuszony pers na smyczy. Julia w kajdankach budziła tylko grzeszne emocje.

- Bałem się, że się pan zdrzemnął, inspektorze – powiedziałem.

- Rzeczywiście, trochę mi się kimnęło, kiedy głądziłeś. Wysłuchiwanie dwa razy tej samej historii nudzi mnie śmiertelnie. Niejednokrotnie podczas wielogodzinnych przesłuchań, w których jedna strona powtarza wciąż te same pytania, a druga wciąż te same kłamstwa, zdarza mi się przysypiać i wówczas przesłuchiwanie muszę polewać zimną wodą. Lecz tym razem nic mi nie umknęło. Perfidia tych kobiet stanowi doskonale potwierdzenie stereotypów, które wyznaję. Ta miła, ale zła. Ta piękna, ale głupia. Tylko brzydkie są dobre, podobno nawet w łóżku, lecz kogo to obchodzi.

- Mnie - odparł cicho Sławomir Harcownik.

- Czy to, co pan usłyszał, wystarczy, żeby je zamknąć? - spytała Katarzyna Harcownik, drżąc z żądzy zemsty.

- Kurde, skąd mam wiedzieć? Ja tylko łapię złych ludzi. I jestem w tym dobry, bo mam nosa. Niektórzy nazywają to kobiecą intuicją. Tych piorę po mordzie.

- Ale wszystko pan nagrał? - upewniłem się.

- Synu, ja wciąż nagrywam. Nie potrafię wyłączyć tego

zasranego urzędnika. Myślicie, że to wstyd dla dorosłego faceta? Każdy ma swoje ścięgno Achillesa. Może nie umiem wyłączyć dyktafonu, ale za to potrafię w trzy sekundy z zamkniętymi oczami złożyć kabkaesa. To również mój rekord w masturbacji. Moje życie jest pasmem sukcesów. Nie dalej jak wczoraj udało mi się rozwiązać zagadkę czerwonych majtek. Od dawna znajdujemy je na miejscu zbrodni. Nie mogły tego rozpracować cztery wydziały. Trwały nawet rozmowy nad powołaniem piątego, specjalnie do tej sprawy. I oto wczoraj odkryłem, że podrzuca je aspirant Pisztański. W ten sposób, jak twierdzi, rozładowuje stres. Doradził mu to nasz policyjny psycholog, oczywiście zanim popełnił samobójstwo, strzelając do siebie z budynku naprzeciwko i wypadając przez okno z czwartego piętra wprost pod koła niezidentyfikowanego radiowozu, który przejechał go cztery razy, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Przez głowę nawet mi przeszło, że to nie samobójstwo, ale prezent. Od dawna powtarzałem, że pozbycie się tego świra sprawiłoby mi dużą radość. Nie chcę jednak mówić o świrach. Chcę mówić o sobie. Niektórzy mnie także nazywają świrem. Może jestem świrem, ale przynajmniej nie żywię się w fastfudach. Do kurwy nędzy! Czuję, że całkiem straciłem wątek. Ach, tak. Chciałem spytać, czy chcecie o coś spytać?

- Nie, inspektorze - odparłem.

- No i dobrze. Jeszcze raz dziękuję za pomoc, przyjacielu. Zachowałeś się jak prawidłowy obywatel. W nagrodę przysyłamy ci dyplom i grzechotkę.

- Grzechotkę? - zdumiałem się, podejrzewając, że chce mnie obrazić.

- To taka prokreacyjna zachęta. Statystyki są nieubłagane. Jeśli społeczeństwo nie zacznie się rozmnażać, to za trzydzieści lat nie będziemy mieli kogo wsadzać do więzień. - Nagle piasnął się w czoło. - Wygadałem, a miała być niespodzianka!

- Udam, że jestem zdziwiony, inspektorze.

- Polubiłem cię, chłopcze - rzekł inspektor Strzała, z sympatią

szczypiąc mnie w pośladek. - Zadzwoń, jak będziesz chciał wyskoczyć na prawdziwą męską wódkę.

Miło się gawędziło, ale my będziemy już spadać. Panienki przodem.

- Świetnie, Owaki - powiedział Palmister, kiedy znikli za drzwiami. - Przedstawienie skończone. A teraz dawaj książkę.

- Nie mam jej, panie Palmistrze. O ile dobrze kombinuję, Anetka Harcownik była u Haliny wtedy, kiedy zadzwoniłem do niej z mieszkania Henryka Szczupaczydło. I właśnie ona ją zabrała, zanim jeszcze to wszystko się zaczęło.

17. CZEGO, KURDE!

- Niedobrze, niedobrze! - Longin Palmister zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo węszyć po pokoju. Pani Harcownik poszła w jego ślady, a jej syn siedział nieporuszony, skulony i nieobecny, jakby wszystkie błędy przeszłości obsiadły mu ramiona.

- Ja już przeszukałam mieszkanie - zwróciła się do Palmistra Rozalia.

- Na pewno niedokładnie - stwierdził, obmacując fotel. -

- No wie pan? Ja, niedokładnie? - oburzyła się moja współpracowniczka. - Moim zdaniem trzeba wyciągnąć tę małą z kibla i zmusić do gadania. Inaczej możemy szukać do...

- Świetny pomysł - podekscytował się Palmister, ale zanim ruszył w stronę toalety, Anetka weszła do salonu od strony kuchni

- Niech się pan nie wysila - powiedziała. - I ty też, babciu. Wyrzuciłam to świństwo.

Longin Palmister wpatrywał się w nią z nadzieją i napięciem.

- Co ty mówisz, dziecko?! - obruszyła się Katarzyna Harcownik. - Zniszczyłaś książkę?

- Sorry, babcia, nie wiedziałam, że jest taka cenna. Wiesz, że mama płaciła mi za przepisywanie do komputera tych swoich wypocin. Zaczęłam to przepisywać i wiesz... tam był taki rozdział... jakby o mnie... wkurzyłam się strasznie, zabrałam to i spaliłam, a resztki rozrzuciłam z Mostu Gdańskiego. Tam właśnie zgarnęła mnie policja. A resztę już znasz. Wlepili mi mandat i zawieźli na Kolską...

Anetka klapnęła na kanapę i zalała się łzami.

- Ona tam napisała, że ja nie jestem waszą córką. Okłamywaliście mnie tyle lat... Tato... Czy to prawda?

- Prawda czasem nie ma znaczenia, córeczko - odrzekł Sławomir Harcownik. - Prawdą jednak jest, że jeśli o mnie idzie, nic się nie zmienia. Jestem wciąż, ciągle i niezmiennie, twoim ojcem. Dwadzieścia lat temu przespałem się z jedną kobietą, a potem ożeniłem się z jej siostrą. Myślałem, że to była ta sama osoba. Przykra sprawa. Jeśli nawet kobieta, która jest twoją prawdziwą matką, nieco cię rozczaruje, będziesz miała przynajmniej dobry powód, żeby się zapijać, gdyż teraz, jak uważam, robisz to wyraźnie bez sensu.

- Tato? - jęknęła Anetka, odrywając ręce od twarzy i gapiąc się na niego wytrzeszczonymi oczyma. - No, co ty?

- Zniszczyłaś naprawdę dobrą książkę, nawet jej nie czytając, tylko dlatego, że znalazłaś tam kilka szczerych słów na swój temat. Ja również je znalazłem. Z pewnością ciekawi was, co Halina na mnie miała...

- Ja wiem - odparłem.

- Każdy głupi by to odkrył - spojrzał na mnie niezbyt łaskawie. - Stereotypy potrafią jednak oślepić najmądrzejszych. To ja byłem w tym wydawnictwie pisarką. Halina zajmowała się tylko księgowością.

- Kurde, tato, jaja sobie robisz? - jęknęła jego córka.

- Synu, nie! To nie może być prawda! - zawyla jego matka.

- A to dobre - zatarł ręce jego przyjaciel.

- No i co w tym takiego? - wzruszyła ramionami Rozalia.

Sławomir Harcownik spojrzał na nią roziskrzonym wzrokiem, po czym wziął ją w ramiona i złożył na jej czole pocałunek.

- Dziękuję, dziecko - rzekł. - A teraz wybaczcie, muszę coś załatwić.

- Nie powiem, że taki obrót sprawy mnie nie zadowala - rzekł Longin Palmister. - Gdybym wiedział o tym wcześniej! Niepotrzebne nerwy, czas, pieniądze! I jedno niepotrzebnie stracone życie - prawdziwy smutek przemknął mu przez twarz.

- Wydaje mi się, że on chciał coś panu przekazać... Jakby przeprosić, czy coś - powiedziałem.

- Nie wiem, o czym mówisz, synu - obruszył się Palmister. - Nie

mam z wami ani z tą sprawą nic wspólnego.

Palmister chwycił omdlałą dłoń pani Harcownik i mlasnął ją całusem.

- Żegnam panią i pani uroczą wnuczkę. Zdaje się, że mała wpadła kawalerowi w oko - mrugnął do Anetki, wskazując na mnie. - Au revoir! - rzekł wesoło i podśpiewując, wyszedł.

- Moje pieniądze! - krzyknęła Rozalia. - Robał, zrób coś! On nam nie zapłaci!

Wyciągnąłem z kieszeni jedno ze zdjęć z kolekcji wuja, które wzięłem ze sobą, i podałem Rozalii. Mimo że było najniewinniejsze ze wszystkich, moja przyjaciółka i tak radośnie krzyknęła z wrażenia.

- To potworne!

- To go przekona, że jednak powinien zapłacić.

- Więcej, niż myślisz, Robaczku - szepnęła Rozalia i pocałowała mnie w policzek.

Już wtedy pochwyciłem złe spojrzenie, którym obrzuciła ją Anetka Harcownik, ale nie przyłożyłem do niego właściwej wagi. Kiedy Rozalia wybiegła w podskokach za Palmistrem, spojrzałem na obie panie Harcownik z dotychczas obcym mi poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Jedna (młodsza) gapiała się we mnie z nieodgadnioną uporczywością, druga (starsza) z pełnym cierpieniem wyrzutem.

- To już chyba wszystko, prawda? - spytałem bez troski. - Aha, byłbym zapomniiał. Muszę jeszcze stuknąć w sufit.

Literacki coming-out Sławomira Harcownika nie wyszedł poza ściany mieszkania jego córki. Było to zresztą zgodne z moimi przypuszczeniami. Czy gdyby Harcownik zamierzał wydać książkę Haliny z rozdziałem poświęconym własnej osobie, niszczyłby ten fragment, który mu przesłała? A przecież musiał tak zrobić, skoro Rozalia, sekretarka doskonała, nie była w stanie go znaleźć. Harcownik miał może solidne zasady moralne, ale przebłycki odwagi, lub jak kto woli, szaleństwa, nie trwały u

niego zbyt długo.

Już na Wielkanoc właściciel wydawnictwa firmującego tandetne romanse poślubił swoją wierną sekretarkę Inę, która, co ze zdumieniem zarejestrowałem dzięki jednemu z popularnych brukowców, wyglądała nie jak Szara Mysz z lokalu „Kapriśio”, ale raczej jak piękność w kajdankach, z tą różnicą, że miała na twarzy szczęśliwy uśmiech panny młodej, a w rękach bukiet gardenii. Jeśli metamorfoza mogła zajść w jedną stronę, to widocznie mogła również i w drugą. Wkrótce Ina Harcownik okazała się zdolną i płodną pisarką romansów, która z królewską łaskawością rozdawała uśmiechy i autografy. Jeśli gnębił ją jakiś wstyd, kompleks, niespełnione ambicje, wszystko to na razie skutecznie zagłuszała miłość. Osobiście uważałem, że była to intryga szyta zbyt grubymi nićmi, ale nikomu to jakoś nie przeszkadzało.

Jeśli w tej sprawie pozostaje jeszcze jakaś tajemnica, to chyba tylko tajemnica owocowych koszulek Rozalii. Ponieważ moja ekswspółpracowniczka odwiedziła mnie któregoś dnia, żeby wręczyć mi jakiś finansowy ochłap wyrwany z gardła Palmistra (szlachetnie go odrzuciłem), spytałem ją o pierścionek i o koszulki. Wyznała, że zarówno jedno, jak i drugie to prezent od jej byłego chłopaka, syna właściciela firmy przetwórczej „Duży Owoc” (tu pośpiesznie starła wierzchem dłoni łzę, świadczącą o tym, że jej uczucia są wciąż żywe). W odpowiedzi zrewanżowałem się historią swoich koszulek, które stanowiły przejaw tęsknoty za utraconym dzieciństwem. Nie bardzo ją to zainteresowało. Stwierdziła, że chce rozkręcić jakiś biznes, do którego może bym się nadał, gdybym tylko zrezygnował z życia pozbawionego sensu. Odmówiłem. Musiałbym wtedy przecież coś robić. Miałem dość roboty na długie lata, a cicha wdzięczność Harcownika zapewniała mi stały dopływ tandetnych romansów, dzięki którym udawało mi się zapomnieć, na jakim świecie żyję.

Znieczulacz był mi tym bardziej potrzebny, że nieoczekiwanie i uparcie uczepiła się mnie Anetka Harcownik, za cichym

pozwoleniem Berty (z którą się zaprzyjaźniła). Zgodnie z przewidywaniami Harcownika prawdziwa matka Anetki głęboko ją rozczarowała. Była zbyt bezkrytyczna, zbyt oddana i zbyt z tego powodu cierpiąca. Anetka zapragnęła szybko uwolnić się od jej kurateli. Bez trudu machnęła książkę pod znamienym dla niej tytułem „Czego, kurde?”. Dzieło to podbiło listy bestsellerów i serca krytyków. Halina w niebie zacierała pewnie ręce. Alina Pofiściel wróciła do wieżowca na Jelonkach, Anetka spieniężyła nieszczęsną willę, w której zginęła jej przybrana matka, wynajęła swoje mieszkanie jakimś Wietnamczykom, którzy wreszcie dobrze się nim zaopiekowali, po czym wprowadziła się do mnie. Podobnie jak jej prawdziwa matka miała do mnie jakąś genetyczną słabość, przed którą nie umiałem się obronić.

Kiedy zamykam się w łazience i wyciągam zza rezerwuaru kolejną książkę Harcownika, spomiędzy zdań o pełnej cierpieniu i poświęceń drodze do miłości natrętnie przebijają się do mojej świadomości obrazy pełne gniewu i przemocy. Nocą bezsennie przewracam się na łóżku z chudym ciałem Anetki wczepionym we mnie jak młody torbaczk. Marzę o tym, żeby jakiś rycerz na czarnym harleyu porwał moją dziewczynę. Marzę o tym, żeby ślepy los swym nieubłaganym paluchem pchnął ją w bardziej przyjazne ramiona. Jestem wobec niej obojętny, ale to tylko roznieca żar jej uczuć. Staram się do niej nie odzywać, ale dzięki temu wydają jej się intrygujący. Kiedy podnoszę głos, dowodzę swojej siły. Kiedy mówię cicho, okazuję delikatność. Wszystkie moje słowa i czyny przemawiają na moją korzyść.

Coraz częściej skłaniam się ku myśli, że może mnie uratować tylko rodzina i praca. Wiem, że to ostateczność. Wiem, że sam nie wyjdę z tego bez szwanku. Patrę na telefon i wystukuję w myślach numer agencji „A. A. Kowalski i Detektywi”. Już dawno mnie u nich nie było. Już dawno się do nich nie odzywałem. Kiedy pomyślę, że wciąż wiele się tam dzieje, ale mnie to już nie dotyczy, ogarnia mnie cichy żal.

Być może kłamie nawet Halina Mentiroso,
słynna autorka trzeciorzędnych romansów,
twierdząc, że napisała wreszcie
niekomercyjne arcydzieło... Prawdą jest tylko
to, że pisarka zostaje zamordowana

UWAŻAJCIE!

W KONCERCIE ŁGARZY

WSZYSCY ŁŻĄ KONCERTOWO!

i przysypana sześćdziesięcioma
ośmioma kilogramami korespondencji
z Urzędem Skarbowym, a maszynopis

- znika. Kto jest mordercą? W czyich rękach jest książka? Co w niej jest takiego, że pragnie ją zdobyć wiele różnych dziwnych osób, którym wcale nie leży na sercu dobro literatury? Do akcji wkracza bardzo prywatny detektyw Robal Owaki. Razem z niejaką Rozalią Aik będą musieli stawić czoło intrygom snutym przez takie niewiniątka jak mąż nieboszczki, przebiegła teściowa, rozwydżona córka i tajemnicza siostra Alina Pofisćiel...

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-247-1283-0



Cena 24,90 zł

Nr 6578